

Zbigniew Nienacki

Pan Samochodzik i tajemnica tajemnic

Wydawnictwo Pojezierze
Olsztyn, 1983

Spis treści

Na kilka dni przed zakończeniem roku szkolnego przyszedł do mnie Baśka. Rozłożyliśmy na stole mapę Bieszczad i przez długie godziny wędrowaliśmy po niej końcem długopisu.

Baśka, który kończył właśnie drugą licealną, niedawno został zastępowym w jednej z warszawskich drużyn harcerskich. Nauczyciel geografii w jego klasie, zapalony turysta, zaproponował mu kilkudniową pieszą wędrowkę po kraju, w regionie, jaki chłopiec wybierze. Baśka postanowił zabrać na wycieczkę także swój zastęp, otrzymał na to zgodę macierzystej drużyny i chorągwi, a potem zwrócił się do mnie z pytaniem, dokąd powinni się udać. Bez namysłu oświadczyłem: w Bieszczady.

Miałem w tym swój ukryty cel. Z Baśką — a domyślcie się chyba, że był to chłopiec, ale o delikatnej urodzie dziewczynki, stąd i jego dziewczęce imię, jakie w charakterze przydomka dali mu koledzy — przeżyłem kilka przygód. Na Jezioraku walczyliśmy z bandą Czarnego Franka, we Fromborku rozwikłaliśmy zagadkę pułkownika Koeniga. Miałem do chłopca ogromne zaufanie i mogłem mu powierzyć pewną misję, nie kolidującą z jego wakacjami.

Wędrowaliśmy więc po Bieszczadach naszymi długopisami. Baśka prowadził go po górskich pasmach, zaczynając od Chryszczatej i Wołosania, poprzez Habkowce, Jasło, Rabią Skałę, Czerteż, Krzemieniec i Wielką Rawkę.

Był to szlak przez niemal bezludne okolice, wspaniałe lasy, dzikie ustronia pełne zwierza i górskich strumyków o przeczystej wodzie.

Szlak dla wytrwałych i silnych, bo trzeba przecież przez te górskie ostępy nieść na plecach namioty, śpiwory, kuchnię polową i żywność.

— A z Ustrzyk Górnych, panie Tomaszu — kontynuował Baśka swój trudny marsz — zrobimy jeszcze wycieczkę na Szeroki Wierch, Tarnicę, Halicz i przez Krzemień wrócimy na Bukowe Berdo.

Lecz mój długopis sunął dolinami.

— Radzę wam najpierw zwiedzić Lesko i okolice — mówiłem. — Potem Hoczew, Uherce, Ustianową, Ustrzyki Dolne, Hoszów, Czarną i Lutowiska. Następnie wrócić do Ustrzyk Dolnych i pomaszerować na Liskowate i wyżej, aż na Kuźminę i Tarnawę Wołoską, skąd przez Słonne Góry można dojść do Sanoka, gdzie jest piękne regionalne muzeum.

Baśka zrobił zdumioną minę.

— I to ma być wycieczka w Bieszczady? Pan chce, żebyśmy zamiast po górach, szli przez wioski i doliny, przez zamieszkałe okolice? Myśleliśmy o trudnej i niebezpiecznej wyprawie.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

— Zapewne tam, na szczytach Chryszczatej czy Wielkiej Rawki, na Haliczu i Wielkiej Semenowej, można zobaczyć wiele pięknych widoków. Ale kto wie, czy ciekawsze przeżycia nie czekają na was w dolinach, w bieszczadzkich wioskach?

Baśka popatrzył na mnie uważnie.

— Zdaje mi się, że rozumiem. Przecież pan w tym roku już dwukrotnie był w Bieszczadach. Po co? Niechże pan nareszcie powie, co panu leży na sercu.

Pochyliłem się nad mapą. Obok zaznaczonej kółkiem małej miejscowości koło Zagórza zrobiłem długopisem delikatny krzyżyk.

— Wkrótce będę tam po raz trzeci. Zostawisz dla mnie wiadomość o sobie u Jana Sekundusa koło Zagórza. Bardzo bym chciał, aby w liście do mnie znalazła się pewna informacja...

I wtajemniczyłem Baśkę w sprawę, która od dwóch miesięcy trzymała mnie w ciągłym niepokoju i napięciu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZŁY HUMOR MARCZAKA • GANG PRZEMYTNIKÓW • MOJA WIELKA PORAŻKA • KTO KUPUJE IKONY • DZIWNA HISTORIA PIESKA • SPOTKANIE Z BESTIĄ • KŁOPOTY Z PROTAZYM • GDY BESTIA KOCHA SAMOCHODY • SPOSÓB NA PROTA

Dyrektor Marczak wrócił z Wiednia w bardzo złym nastroju. Na jego oczach, na aukcji w słynnym salonie Paula Schuberta znowu sprzedano dwie stare ikony, co do których Marczak żywił głębokie przekonanie, że zostały przez kogoś przemycone z Polski. Na pytanie dyrektora, skąd pochodzą owe ikony, Paul Schubert wyjaśnił mu chłodno, że tego typu informacji może udzielić tylko policji wiedeńskiej. A jej trzeba przedstawić dowody, że dzieło sztuki, które znalazło się na aukcji, zostało komuś skradzione, co — jak zaznaczył pan Schubert — jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Marczak nie mógł przedstawić podobnych dowodów, nie było bowiem sygnałów, aby obrabowano z ikon jakiegoś zbieracza lub muzeum w Polsce. Istniały natomiast informacje, że od pewnego czasu, a ściślej od pół roku ktoś wykupywał ikony w polskich sklepach z dziełami sztuki. Potem te same ikony sprzedawano na aukcjach w salonie Paula Schuberta. Innymi słowy — przemycano je za granicę.

Doszła do naszych uszu wiadomość, że ktoś krąży po wsiach południowo-wschodniego skrawka Rzeszowszczyzny i od tamtejszych mieszkańców skupuje stare ikony, co w samej rzeczy nie jest czynnością zabronioną prawem, ale w zestawieniu z informacjami o wzroście podaży ikon na aukcjach zagranicznych wydawało się podejrzane.

W Polsce wolno każdemu sprzedawać, kupować i posiadać dzieła sztuki. Nie wolno ich tylko bez zezwolenia wywozić za granicę. A zezwolenie takie niełatwo jest uzyskać — wojna i okupacja zubożyła Polskę o wiele cennych obiektów. Dalsze jej zubożenie poprzez wywóz zabytków byłoby największą szkodą dla interesu narodowego. Stąd też, jeśli jakieś stare dzieło sztuki zawędruje z Polski do innego kraju, można być niemal pewnym, że stało się to nielegalnie.

Od roku jednak w salonie Schuberta, słynnego handlarza dziełami sztuki, pojawiły się stare ikony, pochodzące z województwa rzeszowskiego. Stare ikony stały się ostatnio bardzo modne i uzyskiwano za nie wysokie ceny. W Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków nabieraliśmy przekonania, że w Polsce zaczął działać gang zajmujący się przemycaaniem i sprzedażą ikon. Powiadomiliśmy o tym Komendę Główną MO i Główny Urząd Celny, lecz — jak na razie — bez rezultatu. Gang działał w dalszym ciągu w pełnej konspiracji i ze skutkiem, o czym przekonał się dyrektor Marczak podczas swego pobytu w Wiedniu.

Nic dziwnego, że powrócił do Polski w bardzo złym nastroju. I natychmiast wezwał mnie do swego gabinetu.

— Jakie są rezultaty śledztwa w sprawie skupowania i przemykania ikon? — zapytał mnie po krótkich słowach powitania.

— Żadne — odparłem, szczerze przyznając się do porażki.

Nie, to nie była porażka, raczej zupełna klęska. Pracowałem w Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki jako referent do specjalnych poruczeń, czyli coś w rodzaju detektywa. Do moich zadań należało przyglądanie się działalności różnego rodzaju handlarzy antyków, bacznie, aby jakiś cenny zabytek kultury nie został wywieziony za granicę. Zajmowałem się także wykrywaniem zaginionych podczas wojny zbiorów muzealnych i zabytkowych przedmiotów. Mogłem pochlubić się odnalezieniem cennych kolekcji dzieł sztuki, uznanych za bezpowrotnie zaginione, rozwikłałem kilka zagadek historycznych, które doprowadziły mnie do odkrycia skarbów kultury narodowej. Ale teraz, od dwóch miesięcy, kręciłem się jak wiewiórka w kole, daremnie usiłując wpaść na trop gangu przemytników. Ta sprawa dręczyła mnie w dzień i w noc. Zrobiłem setki kilometrów usiłując wpaść na trop tajemniczego gangu. I wszystko na próżno.

— Nie osiągnął pan żadnych rezultatów? — zdumiał się dyrektor Marczak. — Cóż to się stało, panie Tomaszu?

— Niestety, muszę przyznać się do klęski — bezradnie wzruszyłem ramionami. — Ta sprawa przerasta moje możliwości...

Dyrektor Marczak aż poczerwieniał z oburzenia.

— A więc sądzi pan, że powinniśmy z niej zrezygnować? Przecież nie każę panu aresztować przemytników, bo od tego jest milicja. Ale pozostaje w naszych możliwościach dowiedzieć

się, kto w sklepach Desy i u chłopów w Rzeszowskim wykupuje stare ikony. A już milicja po nitce trafi do kłębka i gang znajdzie się za kratkami.

Westchnąłem ciężko.

— Jak panu wiadomo, dyrektorze, nabywcy dzieł sztuki w sklepach Desy nie muszą się legitymować. A mimo dwukrotnego pobytu na Rzeszowszczyźnie, niestety, nie udało mi się trafić na ślad osobnika, który w tamtejszych wsiach kupował stare ikony. W każdym bądź razie musi to być człowiek znający miejscowe stosunki i doskonale zorientowany, kto posiada jakąś starą ikonę. Ludzie, którzy je sprzedali, nie rozpowiadali o tym na prawo i lewo. Mimo tego zdołałem dotrzeć do dwóch takich, którzy stwierdzili, że nabywcą był jakiś młodzieniec na motocyklu. Niestety, nie udało mi się go odnaleźć.

— Już dwukrotnie jeździł pan w Rzeszowskie, pojedzie pan trzeci raz. I to jeszcze dzisiaj. Musimy odnaleźć tego młodzieńca i przerwać działalność przemytników!

— Tak jest, panie dyrektorze — z roztargnieniem podrapałem się po głowie. — Tylko... że dziś muszę załatwić sprawę psa...

— Psa? Pan chyba żartuje? Należy natychmiast podjąć akcję przeciw przemytnikom.

— Wysłałem listy w tej sprawie do znajomych rzeczoznawców w stolicach krajów demokracji ludowej — oświadczyłem. — Być może i oni zetknęli się z działalnością gangu i przekażą nam jakieś informacje o nich. A co do psa...

— Pan znowu o psie? — oburzył się Marczak. — Co ma wspólnego z naszą sprawą jakiś pies? Na wskazanie tropu przemytników daję panu... — zamyślił się — no, powiedzmy, miesiąc.

— Tak jest, panie dyrektorze — zgodziłem się posłusznie. — Tylko że dopiero jutro będę mógł pojechać w Bieszczady. Bo... ten pies, panie dyrektorze...

Nie dał mi dokończyć.

— Niech pan jedzie jutro, skoro pan dziś nie może. Ale nie chcę już więcej słyszeć o żadnym psie. Nie jesteśmy w Związku Kynologicznym, lecz w Departamencie Muzeów i Ochrony Zabytków.

Opuściłem gabinet dyrektora i na korytarzu znowu z roztargnieniem podrapałem się po głowie. Bez przerwy bowiem trapiła mnie myśl o psie.

Wczoraj zadzwonił do mnie znajomy lekarz i poprosił, żebym wziął od niego pieska.

— Otrzymałem go, Tomaszu, od swojego pacjenta w szpitalu — mówił mi przez telefon. — Pacjent ten, niestety, zmarł. Piesek trafił do mnie przed miesiącem. Bardzo sympatyczny. Tylko że ja już jutro wyjeżdżam na dłuższy czas do Indii i pieska z sobą zabrać nie mogę. Wybuchła tam znowu epidemia cholery i nasz rząd postanowił natychmiast wysłać ekipę lekarską, do której i mnie włączono. Co zrobię z pieskiem? Pomyślałem o tobie. Jesteś samotny, przyda ci się przyjaciel. Przyjdź dzisiaj, to ci o nim sporo opowiem. A jeśli dziś nie

zdasz, to jutro wyda ci go moja gospodyni. Jej go zostawić nie mogę, bo to za duży kłopot dla starej kobiety. Weź pieska, Tomaszu. Nie będziesz żałował.

Namówił mnie. Przyrzekłem, że po pieska przyjdę.

Tak się złożyło, że tego dnia bardzo pilne zajęcia aż do nocy zatrzymały mnie w ministerstwie. A nazajutrz, jak wiecie, wezwał mnie do gabinetu dyrektor Marczak. Czyż mogłem natychmiast wyruszyć w Bieszczady, skoro miałem jechać po psa?

„Jak wygląda ten piesek? Czy potrafi przywiązać się do mnie? — rozmyślałem. — A w ogóle, czy będzie nam razem wygodnie w mojej kawalerce na Starym Mieście?”

Miałem maleńki pokoik i mikroskopijną kuchenkę. W pokoju stał tapczan, biurko, dwa fotele i pod ścianami wznosiły się regały z książkami. Dla pieska oczywiście dałoby się wygospodarować odrobinę miejsca. „Jamnik mógłby spać pod szafą — myślałem. — Ale może to pudełek? Tak, to będzie zapewne czarny pudełek.”

Skończyły się godziny urzędowania, opuściłem gmach ministerstwa na Krakowskim Przedmieściu, wsiadłem do swego wehikułu i pojechałem na Bielany.

Zatrzymałem się przed dużym blokiem mieszkalnym, zadzwoniłem do malowanych na zielono drzwi ze znajomym nazwiskiem lekarza.

Otworzyła mi drzwi stara kobieta w chustce na głowie.

— Nie ma pana doktora. Już wyjechał w świat — oświadczyła trochę opryskliwie.

— Ja po pieska — wyjaśniłem.

Rozpromieniła się.

— O, chwała Bogu. On ciągle chce wychodzić na spacer, a ja mam reumatyzm i ledwo łążę. Doktor mówił mi, że pan przyjdzie. Proszę bardzo, niech go pan zabiera.

I wprowadziła mnie do przedpokoju, nie przestając przy tym gadać nieco zrzędliwie:

— Nie lubię psów. A jeszcze takiego psa, to już za żadną cenę mieć bym nie chciała. Zły jest jak sto diabłów.

To mówiąc uchyliła drzwi od kuchni. Zaznaczam, uchyliła je nieco, ale natychmiast dojrzałem w szparze jakąś wielką łapę, a po sekundzie do przedpokoju wtargnął olbrzymi stalowoszary pies. Miał chyba dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, łeb wielki jak u cielaka i sterczące uszy. Był długi, ledwie by się zmieścił na tylnym siedzeniu mojego wozu.

Wtargnął do przedpokoju i ruszył na mnie z takim impetem, aż się cofnąłem pod ścianę i przywarłem do niej plecami.

— Pójdiesz ty! — krzyknęła na niego gospodyni i zamachnęła się ścierką.

Czuł chyba przed nią respekt, bo położył uszy po sobie i tylko obwąchiwał mnie, cicho powarkując.

Nie znam się na rasach psów. Ale nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nigdy w życiu nie widziałem aż tak wielkiego.

— Doktor mówił o piesku... — bąknąłem przerażony.

— To przecież piesek — odrzekła gosposia.

— To pies, proszę pani — odparłem stanowczo.

— Co, nie zabierze go pan? — zaniepokoiła się. — Przecież pan obiecał doktorowi. Co ja z nim zrobię? Niech się pan zlituje. Pan obiecał doktorowi zabrać tego pieska.

— Psa — burknąłem.

A potężne zwierzę, które przez cały czas naszej rozmowy nie przestawało mnie czujnie obserwować, raptem przysiadło na zadzie i wyciągnęło do mnie wielką łapę.

— Co on chce? — zapytałem.

— Pan nie rozumie? Zdecydował się z panem przywitać — wyjaśniła gospodyni.

Z obawą ująłem w dłoń szorstką łapę i potrząsnąłem nią kilkakrotnie, jakbym witał się z dobrym znajomym.

— Jak on się wabi?

— Prot. Protazy, proszę pana. Zaraz przyniosę kaganiec, obrozę i smycz — i natychmiast popędziła do kuchni. Zapewne uważała, że skoro przywitałem się z psem i zapytałem o imię, to go zabiorę. A ja byłem w rozterce. Przerażała mnie myśl o trzymaniu Prota w moim ciasnym mieszkaniu. Z drugiej jednak strony rzeczywiście przyrzekłem doktorowi, że psa zabiorę. Tylko że doktor wspomniał o piesku, nie o potężnej bestii...

Ale zostawić starą kobietę z tak wielkim zwierzęciem? Toż ona nie zdoła utrzymać go na smyczy, jeśli zechce się jej wyszarpnąć na spacerze.

Przyniosła obrozę, kaganiec i smycz. Prot zaczął machać ogonem, gdyż pomyślał, że pójdzie na spacer. Jego ogon, długi i silny jak pejcz, walił głośno o ścianę pokoju.

— Co on jada?

— Wszystko, proszę pana. Wszystko to, co i człowiek. A najlepiej to mu dawać mleko z bułką, wołowinę, kaszę gotowaną, kaszanke.

Nałożyła mu na pysk druciany kaganiec, zapięła krótką smycz na obroży.

— Czy on się do mnie przyzwyczai? — wciąż byłem pełen obaw.

— Co ma się nie przyzwyczaić, proszę pana. Podobno jest tresowany. Ma dopiero dwa lata. Do doktora się przyzwyczaił, to i pana polubi. Groźny jest, ale mojej ścierki się boi — stwierdziła nie bez satysfakcji.

Z tym byłem skłonny się zgodzić. Czytałem w jakiejś książce, że w dawnych latach w starych dworach, gdzie chowano zawsze wiele groźnych psów, co to gotowe były każdego rozszarpać na strzępy, czuły zawsze one respekt przed kucharkami. Machniecie ścierki gospośki czy kucharki wyganiało z kuchni nawet najgroźniejszego zwierzaka.

Natomiast gdy ja ująłem smycz, pies cicho warknął. Zapewne sądził, że to stara gospośka wyjdzie z nim na spacer. Raptem okazało się, że zabiera go jakiś obcy człowiek.

— No chodź, Prot — powiedziałem rozkazująco, bo słyszałem, że tak należy postępować z psami. Człowiek powinien narzucić zwierzęciu swoją wolę.

Gospośka szybko otworzyła drzwi.

— Chodź — powtórzyłem ostro i pociągnąłem psa za smycz.

Ruszył ze mną na schody. I szedł posłusznie.

„Trudno, co będzie — to będzie” — pomyślałem otwierając przed nim drzwiczki wozu.

A Prot na widok wehikułu radośnie zamachał ogonem i nie namyślając się wiele, błyskawicznie usadowił się na tylnym siedzeniu.

„No, mam cię, bratku. Tym ja cię przekupię” — ucieszyłem się.

Od wielu osób bowiem słyszałem, że większość psów uwielbia jazdę samochodem. To dość dziwne, ale faktem jest, że psy, niemal jedyne spośród zwierząt, najprędzej polubiły uroki podróży pojazdami mechanicznymi. Znam pewnego leśniczego, który posiada bardzo groźnego brytana. Ten na wpół dziki zwierzaka nie daje się przekupić kąskiem najsmaczniejszej kielbasy, ale niech no pojawi się ktoś samochodem, pies tylko czeka na sposobną chwilę, żeby wśliznąć się do wnętrza. I może go z leśniczówki wywieźć każdy właściciel samochodu, tak sobie ceni uroki pojazdów mechanicznych.

Prot rozsiadł się wygodnie i wydawał się zachwycony perspektywą jazdy. Natomiast moja osoba nie budziła jego zainteresowania.

— Prot, Proteczku, Protazeńku — przemawiałem do niego. — Nie dąsaj się na mnie, bo w gruncie rzeczy jestem człowiekiem poczciwym i lubię zwierzęta. Będzie ci u mnie dobrze, choć trochę ciasno. Na szczęście często wyjeżdżam w teren i staniesz się moim towarzyszem. Niekiedy zdarza mi się znaleźć w dość niebezpiecznych sytuacjach, a więc na brak rozrywek nie powinieneś narzekać. Jestem kawalerem, a ponieważ i ty pozostajesz w stanie wolnym, wydaje mi się, że znajdziemy wspólny język.

Tak do niego mówiłem, albowiem w „Księdze z San Michel” wyczytałem, że do zwierząt należy przemawiać łagodnie i monotonna, a wtedy one stają się łaskawe i nabierają do nas sympatii. Nie wiem jednak, jak to było w przypadku Axela Munthe, bo jeśli chodzi o Prota, to udawał, że mnie nie słyszy. Nawet moje najczulsze zwroty nie robiły na nim żadnego

wrażenia. Nie drgnęła mu powieka, nie poruszył oczami. Patrzył w okno — zimny, wyniosły, obojętny, wrogi.

Umilkłem, bo miałem uczucie, że jestem dla niego powietrzem, prochem marnym, nicością, niewartą jego najmniejszej uwagi.

Byłem przekonany, że mojej osobie nie poświęcił nawet jednej myśli, o ile — rzecz jasna — pies myśli, co nie jest całkiem dowiedzione. W każdym razie ja rozmyślałem. Przede wszystkim o głębokiej prawdzie przysłowia: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię”.

Postanowiłem, że dla Prota urządzę leże w moim małym przedpokoju. Kupiłem kawałek mikro gumy i tani koc, a potem zatrzymałem wehikuł przed sklepem z delikatesami, wysiadłem i stanąłem w kolejce po kaszanke. Gdy wróciłem do wehikułu po pół godziny, Prot siedział na przednim siedzeniu. To znaczy na moim miejscu. I trzymał łapy na kierownicy.

— Bądź łaskaw przenieść się na drugie siedzenie i ustąp mi mojego fotela — odezwałem się do niego bardzo grzecznie. — Chyba nie zamierzasz kierować samochodem?

Ani drgnął. Trzymał wciąż łapy na kierownicy i nawet nią trochę poruszał, jak dzieci, gdy się bawią w jazdę samochodem.

— Prot. Protecisku — przemówiłem błagalnie. — Popatrz, kupiłem ci smaczną kaszanke.

Uchyliłem nieco papieru, aby własnymi oczami i własnym nosem przekonał się, jaki to czeka go smakołyk. Lecz on nawet nie poruszył uszami. Nie spojrział na mnie, tylko przez przednią szybę przyglądał się ludziom chodzącym po ulicy.

— Posuń się — powiedziałem nieco gniewnie i spróbowałem biodrem zepchnąć go na drugie siedzenie.

Warknął. Był w kagańcu, lecz mimo tego trochę się przestraszyłem.

„I co ja teraz zrobię?” — rozmyślałem gorączkowo.

Przychodziły mi do głowy najróżniejsze pomysły. Żeby wezwać milicjanta i poprosić go o usunięcie intruza z wehikułu. Może na widok munduru Prot zreflektuje się? Lecz jeśli milicjant powie: „To pański pies, martw się pan o niego, a mnie pan głowy nie zawracaj”?

— Prot. Protecisku — znowu przybrałem proszący wyraz twarzy i głos miałem błagalny.

Ani drgnął, bestia. Wyglądało na to, jakby naprawdę zamierzał kierować wehikułem.

Z Delikatesów wyszedł dyrektor Marczak. Niósł w ręku paczkę dość dużych rozmiarów, widać zrobił jakieś spore zakupy.

Przykucnąłem za samochodem, żeby mnie nie zauważył, ale charakterystyczna sylwetka wehikułu natychmiast rzuciła mu się w oczy.

— A, to pan! — zawołał radośnie z chodnika. — Bardzo się cieszę, że pana spotkałem. Taksówkę jak na lekarstwo, a ja mam ciężką paczkę. Podrzuci mnie pan do domu?

Nie wiem, czy istnieją pracownicy, którzy swemu szefowi potrafią odmówić podwiezienia do domu, gdy szef ma sporą paczkę.

— Bardzo chętnie — oświadczyłem. — Tylko... że pies...

— Co, znowu pies? — zdumiał się Marczak. — Jezus Maria, czy pan się nie wyzwoli od tej psiej manii prześladowczej?

Zobaczył Prota na przednim siedzeniu wehikułu.

— Hm... — chrząknął i zapytał: — Co to jest?

— Piesek, panie dyrektorze. Otrzymałem go w podarunku od pewnego lekarza. Właśnie dziś rano wspominałem panu...

— Nie wiem, po co panu pies. W każdym razie mnie on nie przeszkadza. Podrzuci mnie pan, prawda?

— Obawiam się, że to będzie niemożliwe — wyjąkałem przestępując z nogi na nogę.

— A dlaczego?

— Właśnie proszę go, aby się usunął z przedniego siedzenia i pozwolił mi zasiąść za kierownicą.

— I nie słucha?

— Warczy.

— Zdumiewające — stwierdził Marczak. — Pan chyba nie ma właściwego podejścia do zwierząt. Do nich trzeba ostro, powinny znać mores.

To mówiąc dyrektor Marczak stanowczym krokiem zbliżył się do wehikułu i zawołał do Prota:

— No, jazda stąd! Usun się, piesku.

Trzeba było usłyszeć ten straszliwy warkot, który wydobył się z gardzieli Prota. Myślałem, że pies rzuci się na Marcza. Całe szczęście, że był w kagańcu.

— To wściekła bestia! — burknął dyrektor odskakując od samochodu. — Wolę poszukać taksówki.

— Panie dyrektorze, niech pan mnie nie zostawia w takiej sytuacji.

— A co ja mogę panu pomóc?

— Może pan jeszcze raz spróbuje go przekonać, żeby mi pozwolił zasiąść za kierownicą. Tylu pracowników słucha pana w naszym departamencie, a zwykły pies nie miałby pana posłuchać?

Dyrektorowi pochlebily widać moje słowa.

— No cóż, spróbuję. A jak on się wabi?

— Prot, panie dyrektorze. Zdrobienie od Protazy.

— Aha, rozumiem. No więc, spróbuję.

Podszedł do otwartych drzwi wehikułu i przemówił groźnie:

— Usuń się na tylne siedzenie, Prot! Jazda na tylne siedzenie!

Pies ani drgnął.

— Nie słucha pana — stwierdziłem.

— Ja sam widzę, że mnie nie słucha — odburknął dyrektor czując, że jego autorytet został nadszarpnięty. — Ten pies został źle wychowany. Idę jednak szukać taksówki. Panu radzę zrobić to samo. Pojedzie pan taksówką do domu i zjawi się pan tu za kilka godzin. Pies trochę zgłodnieje i stanie się bardziej ustępliwy. Do zobaczenia.

I odszedł.

— Prot. Protecisku... — szepnąłem błagalnie.

Bestia ani drgnęła.

I byłbym tak stał chyba do końca świata — albo za radą dyrektora poszedłbym na poszukiwanie taksówki, gdybym sobie nagle nie przypomniał, co mi mówiła gosposia lekarza. Że Prot był tresowany.

— Prot! — krzyknąłem rozkazująco. — Do nogi! Broń pana!

W oka mgnieniu pies wyskoczył z wehikułu i stanął przy mojej lewej nodze. Wściekłym wzrokiem toczył wokół siebie, szukając przeciwnika do walki.

A ja prędyutko wskoczyłem na swoje miejsce za kierownicą. Otworzyłem tylne drzwi wehikułu.

— Prot! Na miejsce! — zawołałem wskazując tylne siedzenie.

Posłuchał błyskawicznie i usadowił się z tyłu. Uruchomiłem silnik. Potem ostro ruszyłem na Stare Miasto. W pewnej chwili, jadąc ulicą, wydało mi się, że w gromadzie ludzi czekających na postoju taksówek dostrzegłem dyrektora Marczaaka. Ale może to było tylko złudzenie?

Odstawiłem wehikuł do garażu. Powiedziałem zdecydowanie do Prota:

— Idziemy. Marsz!

W mieszkaniu zdjąłem mu z pyska kaganiec. Chciałem go pogłaskać, ale stchórzyłem. „Bestia — myślałem — gotów mnie ugryźć.”

Nakarmiłem psa kupioną w mieście kaszanką. Najadł się do syta, a potem — mimo że wskazałem mu dywanik koło szafy — wskoczył na mój tapczan i legł na nim jak długi. Westchnąłem ciężko, bo zabrakło mi odwagi, żeby go stamtąd przepędzić.

ROZDZIAŁ DRUGI

LIST Z PRAGI • WŁAŚCIWY CZY FAŁSZYWY TROP • KRADZIEŻ W DOMKU SEKUNDUSA • PO CZYM POZNAĆ IKONĘ HALICKĄ • CO CZUJE POSIADACZ PSA • PIERWSZA KORZYŚĆ Z PROTA • INFORMACJA O PSACH BOJOWYCH • „MASZ BABO PLACEK” • WALKA O PRZEWODNICTWO W STADZIE • CZY PROTAZY ZAJMIE MOJĄ POSADĘ • NA POSZUKIWANIE PRZEMYTNIKÓW

Zajrzałem do skrzynki pocztowej i znalazłem w niej list z Pragi Czeskiej. Pisał do mnie pan Jarosław Dohnal, rzeczoznawca praskich sklepów z dziełami sztuki.

Drogi Panie Tomaszu!

W odpowiedzi na Pana zapytanie dotyczące wspomnianej przez Pana sprawy starych ikon, informuję Pana, że nic nam tu w Pradze nie wiadomo o jakimś gangu handlarzy ikonami. W naszych sklepach z dziełami sztuki bardzo rzadko pojawiają się tego rodzaju rzeczy. Ostatnio jednak, a ściślej przed czterema dniami, w sklepie na Vaclavskim Namiesti poproszono mnie o wycenę ikony, którą oddano do komisowej sprzedaży. Była to ikona ze „szkoły halickiej”, oddał ją do sprzedania niejaki Zdenek Blacha. Nie wiem, czy ta historia zainteresuje Pana, ale zgodnie z Pana prośbą informuję o wszystkim, co ma jakikolwiek związek z ikonami ze „szkoły halickiej”. Jeśli mój list spowoduje Pański przyjazd do Pragi, będę bardzo rad gościć Pana u siebie w domu. Tym bardziej że mam dla Pana pewną zagadkę, a wiem, że lubi Pan podobne historie.

*Ściskam dłoń i pozdrawiam,
Jarosław Dohnal*

Odłożyłem list i zamyśliłem się głęboko.

Czy informacja przysłana mi przez pana Dohnala miała coś wspólnego z naszym gangiem przemytników?

Ikona ze szkoły halickiej mogła do Pragi trafić jeszcze przed wielu laty, podczas przeróżnych migracji ludnościowych, i dopiero teraz ktoś ją oddał do sprzedania. Lecz równie dobrze fakt ten miałem prawo kojarzyć z działalnością gangu przemytników, albowiem droga z Polski do Wiednia prowadzi przez Czechosłowację. Tylko w jakim celu przemytnicy sprzedawaliby w Pradze przemycaną ikonę, skoro w Wiedniu otrzymaliby za nią z pewnością większą sumę, i to w „twardej walucie”?

„Jechać do Pragi czy wyruszyć znowu na Rzeszowszczyznę?” — zastanawiałem się długo.

Sygnal z Pragi nie brzmiał w mych uszach zbyt donośnie, nie budził we mnie alarmu. Ale w Rzeszowskim byłem już dwukrotnie i poza adresami ludzi, którzy sprzedali komuś ikony, nie wpadłem na żaden konkretny trop. Jechać więc jeszcze raz, mając poczucie bezowocności tego przedsięwzięcia?

No, nie były to tak zupełnie bezowocne wyjazdy. Wprawdzie nie wpadłem na trop gangu, ale przecież udało mi się zrobić coś dobrego dla sprawy zabezpieczenia zabytków kulturalnych, właśnie ikon ze szkoły halickiej.

Ogromne i bezcenne zbiory tych ikon posiadają muzea w Łańcucie, Rzeszowie i Sanoku. Bogaty i ciekawy zbiór ikon miał również prywatny kolekcjoner, nazwiskiem Jan Sekundus, mieszkający w małej wiosce koło Zagórza, niedaleko Leska.

Podczas swych dwukrotnych wyjazdów na Rzeszowszczyznę odwiedziłem Sekundusa i przekonywałem go, aby przynajmniej najcenniejsze okazy ze swej kolekcji przekazał w depozyt któremuś z naszych państwowych muzeów. Staruszek jednak pozostawał pod tym względem bardzo uparty. Ten były nauczyciel z okolic Bieszczad przez całe swoje życie zbierał i kolekcjonował stare ikony i był do nich ogromnie przywiązany. Gdy wojna objęła Bieszczady, niekiedy z narażeniem zdrowia, a nawet głowy, ratował ikony z płonących bieszczadzskich cerkiewek, wykupywał je od tamtejszych mieszkańców. Kolekcję zebrał naprawdę wspaniałą, ale trzymał ją w swoim małym domku, na uboczu wsi. Domek nie był zabezpieczony przed kradzieżą, staruszek mieszkał w nim samotnie, co mogło zachęcić złodziei i spowodować nieodwracalne szkody. Przed rokiem takie włamanie zresztą nastąpiło. Na szczęście, łupem złodzieja padł tylko egzemplarz bardzo starej i cennej książki Dawida Katza, traktującej o czarodziejskich właściwościach szlachetnych kamieni. Ów Dawid Katz, słynny czarnoksiężnik i kabalista, pochodził z Leska, tu zmarł i został pochowany. Pan Sekundus szczycił się posiadaniem tego unikatowego egzemplarza, lecz jak zaznaczyłem, książka ta została mu skradziona.

Kto to zrobił? Dlaczego?

Byliśmy zgodni co do tego, że uczynił to jakiś zwariowany kolekcjoner białych kruków, bo przecież nie skradziono nic innego, a w domku Sekundusa były rzeczy o wiele cenniejsze, między innymi szesnastowieczne ikony. Włamanie i kradzież nastąpiły zresztą wkrótce po ukazaniu się w prasie reportażu z małego muzeum Sekundusa. Reporter opisywał szczegółowo ciekawą kolekcję, wymieniał też posiadane przez starego nauczyciela białe kruki. Zapewne złodziej dowiedział się z reportażu o tym, że Sekundus posiada dzieło Katza, i włamał się do małego domku.

Ale właśnie ten fakt dopomógł mi do przekonania Sekundusa, aby przynajmniej najcenniejsze eksponaty przekazał w depozyt państwowemu muzeum. Podczas mego drugiego pobytu w

Bieszczadach Sekundus przyrzekł mi, że w przyszłym roku postąpi tak, jak mu radzę. I dlatego, choć nie udało mi się wpaść na trop gangu, to przecież, jak powiadam, nie mogłem swych podróży uznać za zupełnie bezowocne.

Niemniej jednak ważna była przede wszystkim zagadkowa sprawa przemytu. A ja, niestety, nie zbliżyłem się ani o krok do jej rozwiązania.

I właśnie teraz przyszedł list z Pragi...

W tym miejscu należą się Czytelnikowi pewne wyjaśnienia. Na świecie znane są różnego rodzaju ikony. Fakt, że ktoś tam gdzieś tam sprzedał lub kupił jakąś starą ikonę, nie musi oczywiście budzić podejrzeń. Ale — jak już wspomniałem — chodziło o ikonę ze szkoły halickiej, do której zalicza się tego rodzaju malarstwo z terenów Polski. Malarstwo to było artystycznym wyrazem kultury ludności wyznania prawosławnego i greckokatolickiego, zamieszkującej południowo-wschodni obszar naszego kraju, i rozwinęło się stosunkowo późno, bo dopiero w XIV i późniejszych wiekach. Oczywiście, zasięg oddziaływania tej szkoły nie zbiega się z granicami Rzeczypospolitej — obejmuje swoim wpływem dawną Ruś Czerwoną i Podkarpacie, sięgając na zachód aż po rzekę Muszynę. Głównymi ośrodkami były zapewne Lwów i Przemyśl, ale wiadomo także, że warsztaty rybotyckie, gdzie rodziły się ikony, znajdowały się także w Jaworowie i Poczajewie, malarze ikon pracowali w Samborze, Leżajsku i Nowym Sączu. Dlatego gwoździą prawdy stwierdzić należy, że z różnych miejsc w najróżniejszym czasie i najróżniejszymi drogami mogła ikona ze szkoły halickiej znaleźć się w rękę jakiegoś Zdenka Blachy i trafić do sklepu na Vaclavskim Namiesti.

Po czym poznać ikonę ze szkoły halickiej, jak ją odróżnić od innych, a jest ich wielka różnorodność? Otóż należy stwierdzić, że szkoła halicka miała swój indywidualny charakter. Wyróżniającą cechą jest konkretne, w duchu naiwnego realizmu ujmowanie tematu, skłonność do bajkowej fantastyki, przejrzysta, monumentalna kompozycja, mocny soczysty koloryt, najczęściej utrzymany w jednej gamie barwnej. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że ten styl cerkiewnej sztuki rodził się na styku ze sztuką kościelną, co szczególnie wyraźne piętno wywarło na tych ikonach w okresie Odrodzenia. Znajdujemy w nich renesansowe detale i głębię perspektywiczną, czego nie posiadają ikony z innych obszarów. Jednym słowem, taką ikonę dobry historyk sztuki i fachowiec rozpozna wśród wielu innych. Jeśli więc pan Dohnal napisał mi, że „halicką” ikonę wyceniał w sklepie na Vaclavskim Namiesti, można mu było zaufać.

I chyba jednak należało zbadać, skąd ona wzięła się w Pradze Czeskiej akurat w tym samym czasie, gdy rodziły się w nas podejrzenia, że właśnie przez Czechosłowację przemyca się z Polski ikony do Wiednia.

„O tym jednak niech zadecyduje dyrektor Marczak” — zakończyłem swoje rozważania.

Protazy ciągle jeszcze wylegiwał się na tapczanie. „Jak go przepędzić?” — zastanawiałem się chwilę.

A potem wziąłem do ręki smycz i gwizdnąłem na psa.

Natychmiast zeskoczył z tapczanu, bardzo rad z oczekującego go spaceru.

Wyprowadziłem go na ulicę i pomaszerowałem w kierunku Wisły.

Szedłem zamyślony, ciągle jeszcze snując domysły na temat listu od pana Dohnała, i dlatego być może z początku uszło mojej uwadze, że na nasz widok przechodnie niekiedy zachowywali się dość dziwnie.

Przede wszystkim jakoś bardzo chętnie ustępowano mi z drogi, ten i ów nawet schodził na jezdnię z wąskiego chodnika. Panie, spacerujące z pekińczykami i jamnikami, szybko brały na ręce swoje pupile, a tarasująca zazwyczaj chodnik hałaśliwa gromada niechlujnie ubranych mężczyzn koło budki z piwem rozstąpiła się przede mną z ogromnym szacunkiem.

To oczywiście nie ja byłem tego przyczyną, lecz idący u mego boku ogromny stalowoszary pies. No cóż, nie tak często spotyka się na ulicach miast psy wielkie jak cielaki, z ogromną paszczą i sterczącymi do góry uszami, które sprawiają wrażenie, że w każdej chwili gotowe są do walki. A biada temu, na kogo by się takie zwierzę rzuciło, bo już samym pchnięciem potężnego cielska bez trudu przewróciłoby dorosłego mężczyznę. Jedno uderzenie jego potężnej łapy rozpląszczyłoby na chodniku każdego pekińczyka lub jamnika.

W tym ogromnym cielsku nie widziało się jednak ani odrobiny ociężałości. Protazy stąpał z gracją i lekko jak baletnica na scenie, robiąc drobne, sprężyste kroki, aby nie wyprzedzać mnie i nie pozostawać w tyle. „Jest piękny” — pomyślałem o nim.

I jeszcze jedna przyjazna dla niego myśl przyszła mi do głowy. Była ciepła przedwieczorna pora, a ja wyszedłem na spacer. Gdyby nie konieczność wyprowadzenia Prota, o tej porze, jak zwykle, siedziałbym w swoim mieszkaniu, pochylony nad jakimiś książkami czy papierzyskami, i tak prześlęczałbym nad nimi aż do późnej nocy, nawet nie wiedząc, jak piękny jest czerwcowy wieczór nad Wisłą w Warszawie.

Wkrótce zrobiłem szereg innych spostrzeżeń i nagle stwierdziłem, że ten, kto posiada psa, jest jakby zupełnie innym człowiekiem.

Ile psów jest w Warszawie? Nie zastanawiałem się nigdy nad tą kwestią, w ogóle chyba psy nie budziły mego zainteresowania. Teraz zaś, prowadząc Prota na smyczy, raptem spostrzegłem, że psów w Warszawie jest bardzo wiele, i to przeróżnych, małych i dużych, pięknych i brzydkich. Nie, chyba wszystkie były ładne, nawet te śmieszne kundły biegające na nadwiślańskim nadbrzeżu. Łaziły po skwerach, kręciły się nad brzegiem rzeki, kroczyły statecznie ze swoimi panami. Pudle, owczarki, pekińczyki, jamniki — jak zaznaczyłem, nie znam się zresztą na rasach. Nie miałem również pojęcia, do jakiej zaliczyć prowadzonego przeze mnie wielkoluda, przepraszam, raczej wielkopsa.

Na Starym Mieście mieszkam od kilku lat. Dotychczas nie znałem osobiście nikogo z mojej klatki schodowej. A oto wysoki, chudy pan, mieszkający o piętro wyżej, ukłonił mi się grzecznie i rzekł z pochwałą w głosie:

— Pięknego ma pan psa. Jak się wabi?

— Prot — odrzekłem.

Mój sąsiad miał pudła. I w ten sposób poznaliśmy się osobiście, aczkolwiek do tej pory znaliśmy się jedynie z widzenia. Okazuje się, że człowiek człowiekowi staje się bliższy, jeśli obydwaj mają psy.

W kilka minut później zobaczyłem spacerującą z jamnikiem bardzo piękną panią z sąsiedniej klatki schodowej. Ile to razy marzyłem, że ją kiedyś poznam i nawiążę znajomość. Ale w jaki sposób miałem to uczynić? Zaczepić na ulicy? To niemożliwe. Więc często mijałem ją bez słowa i żegnałem jedynie smutnym spojrzeniem. A teraz? Oto ona szła z jamnikiem, a ja prowadziłem Prota.

— Przepraszam panią — zagadnąłem — czy pani również karmi swego psa kaszanką?

— Nie, kupuję mu najczęściej płucka — odrzekła grzecznie piękna pani, albowiem nie ma w tym nic niestosownego, jeśli właściciel psa zagada na spacerze do właściciela innego psa.

Tylko że owa piękna pani miała gruby, chropawy męski głos. I cały czar przysł błyskawicznie. Nie wydawała mi się już ani piękna, ani interesująca. Oto jeszcze jedna korzyść z psa — człowiek pozbywa się złudzeń.

Ze spaceru powróciłem po dwóch godzinach. Prot znowu wskoczył na tapczan i rozwalił się na nim jak długi i szeroki.

— Złaż! — rozkazałem mu.

A on tylko warknął obnażając kły.

„Ugryzie mnie bestia” — pomyślałem ze strachem. I jak to wyczytałem u Axela Munthe, zacząłem do Prota przemawiać łagodnym, monotonnym głosem, prosząc go, aby zlął z tapczanu i ustąpił mi na nim miejsca.

Niestety, nie udało mi się to. Może Axel Munthe z innymi psami miał do czynienia? Albo to mój egzemplarz był jakimś wyjątkiem?

Dałem spokój. Przygotowałem sobie kolację, potem z książką w ręku zasiadłem w fotelu.

Zapadł zmrok, zachciało mi się spać. Ale na moim tapczanie leżał wielki pies i ani myślał ustąpić mi leża. „Czy on chce, żebym to ja spał na dywaniku?” — medytowałem smętnie.

I ratunku zacząłem szukać w książkach. Miałem w swej bibliotece kilka książek o psach. Zapadła już noc, pogasły światła w większości mieszkań na Starym Mieście, a ja wciąż wertowałem psie mądrości. A im dłużej zgłębiałem swą wiedzę kynologiczną, tym większy budził się we mnie niepokój.

Najpierw przejrzałem zamieszczone w książkach fotografie przedstawicieli różnych psich ras. I aż włos mi się zjeżył.

Oto zobaczyłem fotografie psiego osobnika, wyglądem do złudzenia przypominającego mojego Prota. Pod fotografią widniał podpis: „Dog niemiecki”. Nieco dalej znalazłem informacje, że „dog niemiecki” należy do grupy tak zwanych „psów bojowych”. Jest największym psem kontynentu europejskiego i nawet mastif ma wzrost niższy, tyle tylko, że odznacza się silniejszą budową. Ale mastifów żyje bardzo mało.

Dog niemiecki ma osiemdziesiąt i więcej centymetrów wzrostu, waży co najmniej pięćdziesiąt pięć kilogramów. Kiedyś używano dogi do pilnowania karawan, obozów wojskowych, do walki z dzikimi zwierzętami na arenach, do łowów na grubą zwierzynę, taką jak tur i żubr. Istnieją na świecie dogi czarne, pręgowane, żółte, arlekiny (w czarne łaty na białym tle) oraz dogi błękitne, o maści stalowo-niebieskiej.

A właśnie taki był mój Prot. Stanowił chyba wspaniały egzemplarz błękitnego doga, bo miał tylko kilka białych plamek, jedną na piersi, a drugą na wewnętrznej stronie nóg, tuż nad stopą.

„Dogi — wyczytałem w książce — są groźnymi psami bojowymi, niehałaśliwymi towarzyszami i znakomitymi obrońcami człowieka. Niestety, często trafiają się wśród nich okazy bardzo agresywne, dlatego szkolenie ich wymaga niewątpliwie dużego opanowania i znajomości psychiki psa bojowego. W pracy nad nimi tylko zdolny przewodnik może osiągnąć dobre wyniki. Odradzamy je amatorom.”

A ja? Czy byłem opanowany? Czy w ogóle wiedziałem coś o psychice psów bojowych? Przecież w życiu swoim nigdy nie miałem psa.

Wertowałem więc dalej książki, aby zrozumieć psychikę psa bojowego, bez czego — jak twierdzili znawcy — nie uda mi się współżyć z dogiem.

I oto co wyczytałem:

„Psy są zwierzętami, które żyły zawsze w sforze, w której rządził jeden najsilniejszy osobnik, tak zwany przewodnik. Rolę przewodnika może objąć człowiek, pod warunkiem że zdoła sobie psa podporządkować. Zwłaszcza dotyczy to wielkich psów bojowych i obronnych. Walka o przewodnictwo między człowiekiem i wielkim psem bojowym może przybrać niebezpieczny charakter. Niestety, jeśli człowiek nie zdoła podporządkować sobie psa, wielki pies bojowy będzie walczył o podporządkowanie sobie człowieka”.

„Masz, babo, placek” — pomyślałem z przerażeniem.

Stało się to najgorsze. Prot leżał na moim tapczanie, a ja miałem, jego zdaniem, spać na dywaniku koło szafy.

— Złaz — powiedziałem groźnie, zbliżając się do tapczanu.

Warknął obnażając kły. A paszczę miał potężną, ogromne zębiska tkwiły w niej jak klawiatura w fortepianie.

Wzruszyłem ramionami i odstałem od tapczanu. Wyjąłem z szafy ciepły koc i ułożyłem się do snu w swoim fotelu.

„Jutro wrócisz do domu doktora” — pomyślałem mściwie. Nie prowadziłem karawan objuczonych towarami, nie zamierzałem polować na grubego zwierza ani występować na cyrkowej arenie. Nie miałem też najmniejszego zamiaru tracić energii na walkę o przewodnictwo w swoim domu.

Niestety, nazajutrz rano mieszkanie doktora zastałem zamknięte na głucho. Dobijałem się tak długo i wytrwale, aż wreszcie otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i wyjrzała z nich jakaś pani w papilotach.

— Pan do doktora? — zapytała. — Wyjechał za granicę.

— A jego gospodyni?

— Też wyjechała. Wczoraj wieczorem. Do swoich krewnych na wsi. Pozbyła się psa i czym prędzej wyjechała z Warszawy. Ach, co to była za bestia ten ich pies, proszę pana...

Nie słuchałem jej dalszych wywodów. Sam przecież dobrze wiedziałem, co to była za bestia. Wypadłem z klatki schodowej, wsiadłem do wehikułu, gdzie czekał Prot. Oczywiście zawiozłem go z powrotem do swego domu i czym prędzej pojechałem do Ministerstwa Kultury i Sztuki, aby poinformować dyrektora Marczaka o liście z Pragi.

Zacząłem jednak od skarg.

— Całą noc oka nie zmrzyłem. Ten diabelski pies...

I opowiedziałem dyrektorowi o wszystkich moich kłopotach związanych z Protazym. Sądziłem, że dyrektor Marczak okaże mi odrobinę współczucia. A on niemal z satysfakcją zatarł ręce.

— No, będzie pan miał za swoje, panie Tomaszu. Bardzo mi się podoba pańska psina. Włazł na pański tapczan, a pana zepchnął na dywanik? Wspaniale, wspaniale — rechotał radośnie. — Gdyby tak jeszcze potrafił chwytać przemytników starych ikon, moglibyśmy zatrudnić go w naszym departamencie. Skoro zajął pański tapczan, to może zasiąść i za pańskim biurkiem. Co pan na to, panie Tomaszu?

Nie miałem ochoty na żarty, bo po nocy spędzonej w fotelu bolały mnie wszystkie kości. Dlatego, aby zmienić temat, wyjąłem z kieszeni list od pana Dohnała z Pragi i podałem go dyrektorowi.

— Pan sądzi, że to jest jakiś ślad w naszej sprawie? — spytał Marczak zapoznawszy się z treścią listu.

— Owszem — skinąłem głową. — Wydaje mi się, że to może być ślad, jaki pozostawił gang przemytników.

— Używa pan określenia „gang”, co sugeruje, że mamy do czynienia z kilkoma osobami. A jeśli to tylko ktoś jeden sprawia nam tyle kłopotu?

— Ach, to nie ma przecież żadnego znaczenia, panie dyrektorze. Ale moim zdaniem w interesującej nas sprawie bierze udział kilka osób. Przede wszystkim jest ktoś, jakiś młodzieniec na motocyklu, który jeździ po Rzeszowszczyźnie i skupuje od ludzi stare ikony. Nie sądzę, aby ten sam młodzieniec na motocyklu przewoził ikony przez dwie granice i sprzedawał je w Wiedniu. Skłonny jestem raczej myśleć, że młodzieniec ów kupuje ikony dla kogoś innego, może nawet nie zdając sobie sprawy, że ikony są potem przemycane za granicę. A więc już dwie, a może trzy osoby są zaangażowane w akcję...

— Yhm — chrząknął dyrektor Marczak zastanawiając się głęboko. — Jedno się tu tylko nie zgadza: ikonę oddano do sprzedania w Pradze, nie w Wiedniu. Czyżby przemytnikom nagle miłsze stawały się korony czeskie od austriackich szylingów?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Tego już wyjaśnić nie potrafię, panie dyrektorze. Jeśli jednak przyjmiemy założenie, że ikony przemycane są samochodem, uwzględnić trzeba również, że musi on przebyć aż dwie granice: polsko-czeską i czesko-austriacką. Nie znamy okoliczności sprawy, dlatego pozostają tylko domysły. Ale przecież można sobie wyobrazić sytuację, gdy po bezpiecznym przebyciu granicy polsko-czeskiej przemytnicy nagle dowiadują się, że na granicy czesko-austriackiej wzmożono kontrole samochodów?

— Pozostawiliby u kogoś ikonę do lepszej okazji — odparował Marczak.

— Przyszła mi do głowy inna myśl. Pan nie jest samochodziarzem, panie dyrektorze, więc nawet sobie pan nie wyobraża, ile może wyniknąć przeróżnych kłopotów, gdy się jedzie swoim wozem przez obcy kraj. Pan kogoś stuknie i rozbije mu pan wóz. Ktoś pana stuknie i rozbije panu samochód, uniemożliwiając dalszą jazdę. Albo po prostu wysiądzie panu w samochodzie jakaś część, którą trzeba kupić. Oczywiście, samochody wyjeżdżające za granicę są ubezpieczone. Ale zanim zrealizuje się ubezpieczenie, zanim panu wypłacą odszkodowanie, czas mija, a panu się spieszy i decyduje się pan remontować na swój koszt, potem dopiero odbierając odszkodowanie. A za co kupić część, która się zepsuła? Na wszystko potrzebne są pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Moim zdaniem, przemytnicy znaleźli się w Czechosłowacji w takiej sytuacji, że zmuszeni byli sprzedać ikonę, aby zdobyć czeskie korony.

Dyrektor Marczak jakiś czas rozważał w milczeniu. Bębnił palcami po biurku, marszczył groźnie brwi, coś tam mrucał pod nosem. Ale mimo swoich licznych dziwactw i śmieszności był to człowiek niezwykle rozsądny, znakomity fachowiec i świetny organizator. Dobrze się pracowało pod jego kierownictwem, nigdy bowiem nie tłumił inicjatywy swych podwładnych.

— Zgoda — powiedział w końcu. — Pojedzie pan do Pragi i wyjaśni pan pochodzenie ikony, która znalazła się na Vaclavskim Namiesti.

— Mogę wyjechać choćby jutro. Tylko, co ja zrobię z psem?... — zafrasowałem się.

— Pies? Pan znowu o psie? — niemal warknął dyrektor Marczak. I spojrzął na mnie takim wzrokiem, że nic więcej nie powiedziałem.

Nie pozostało mi nic innego, jak dopełnić formalności z przewozem psa przez granicę.

ROZDZIAŁ TRZECI

SPOSÓB NA BESTIĘ • PRZYGODA PODCZAS PODRÓŻY • O UROKACH PRAGI
SŁÓW KILKA • PIES, KTÓRY PILNUJE RĘCZNIKA • IKONA ZA PIĘTNAŚCIE
TYSIĘCY KORON • PAN DOHNAL I JEGO CÓRKI • KOBIETA CZY MĘŻCZYŻNA •

POJAWIENIE SIĘ SUPERMANA • PROTAZY GRYZIE MAGISTRA SKWARKA I CO Z TEGO WYNIKŁO

Do Pragi przyjechałem swoim pokracznym wehikułem. Było słoneczne prześliczne popołudnie, a ponieważ wybrałem trasę przez Szklarską Porębę i tam nocowałem, przybyłem do celu wypoczęty, lecz — niestety — w nie najlepszym humorze. Przez całą drogę irytowała mnie obecność Protazego, który rozsiadł się na przednim siedzeniu i czujnym okiem śledził ruchy kierowicy. Bez przerwy odnosiłem wrażenie, że krytycznie obserwuje mój sposób prowadzenia samochodu. Co jakiś czas zresztą czynił pewne wysiłki, aby zająć moje miejsce, i tylko mój karzący głos hamował te zamiary.

Przed wyjazdem do Pragi próbowałem różnym znajomym podrzucić psa. Owszem, znalazło się kilku chętnych. „Proszę bardzo, zaopiekujemy się twoim pieskiem” — odpowiadano na moje telefoniczne propozycje. Inaczej jednak wszystko wyglądało, gdy przywoziłem Prota i w jego towarzystwie dzwoniłem do drzwi. Przerażone miny i protesty — oto jaki wynik przynosiły oględziny „pieska”.

„Już raczej wolałbym tygrysa” — odpowiedział jeden z mych przyjaciół. A drugi dodał: „To przepiękny pies. Niestety, ja nie jestem pogromcą zwierząt”.

Albowiem Prot przy każdej próbie naszego rozstania zaczynał warczeć i szczerzyć kły. A gdy wreszcie udało mi się go zostawić w pokoju u znajomego i wymknąłem się cichaczem na korytarz, z taką siłą uderzył w drzwi, że po prostu je wyłamał. No cóż, w nowych blokach drzwi nie są z dębu, lecz z płyty spilśnionej albo z dykty.

„Może mnie trochę polubił” — pomyślałem. Choć, dalipan, nie dałem mu ku temu żadnych powodów. Odwrotnie, udało mi się nawet spędzić go z tapczanu i zaczął sypiać na dywaniku koło szafy.

Nie sądźcie, że zdołałem osiągnąć to zwycięstwo przy pomocy odwagi lub siły fizycznej. Nie, taki bohater to ja nie jestem. Zatopiłem nos w książkach o psach i dowiedziałem się z nich, że psy mają znakomity węch i nie znoszą zapachu wszelkiego rodzaju perfum. Wobec tego nabyłem w kiosku „Ruchu” perfumy „Alicja” w aerozolu i spryskałem nimi swój tapczan. Kiedy Prot wskoczył na tapczan, wciągnął nosem zapach perfum, kichnął, parsknął i zlął. Wskazałem mu dywanik koło szafy. Posłusznie położył się tam, zapewne dziwiąc się, że ja położyłem się na czymś, co tak okropnie wonieje.

No cóż, człowiek to zwierzę inteligentne. Zrozumiawszy, że jednak istnieje sposób na ujarzmienie Prota, w tym samym kiosku „Ruchu” nabyłem gumową gruszkę-dyngusówkę i napełniłem ją pachnącą wodą. Ilekroć Prot nie chciał wykonać jakiegoś mojego rozkazu lub wykonywał go opieszale, wyjmowałem z kieszeni dyngusówkę i pryskałem na niego. Po jakimś czasie wystarczyło mi włożyć rękę do kieszeni, a spełniał każde moje polecenie w rodzaju: „siad”, „leż”, „waruj”, „chodź”. Wymowne sięganie ręką do kieszeni również ostudzało jego zamiary kierowania wehikułem.

Mimo wszystko jednak obecność wielkopsa w podróży była absorbująca. Tym bardziej że zepsuł mi się zamek w drzwiczkach i nie mogłem samochodu zamykać.

W Szklarskiej Porębie z tego powodu o mało nie doszło do przykrego wydarzenia. Zatrzymałem się przed hotelem i poszedłem do recepcji, aby zapytać o wolny pokój. Prot w tym czasie spał zmęczony podróżą i nie było go widać przez szyby. Jakiś wyrostek zauważył, że nie zamknąłem drzwi, i chciał skorzystać z okazji, by ukraść leżący na wierzchu aparat fotograficzny. Wsunął rękę do samochodu i nagle tuż przed swoją twarzą ujrzał rozwartą paszczę, pełną straszliwego charkotu. Chłopak odskoczył tak gwałtownie, że potknął się i jak długi runął plecami na chodnik. Bardzo się przy tym potłukł i gdy wybiegłem z hotelu, wywabiony tubalnym szczekaniem Prota, umykał ulicą, mocno kulejąc. Notabene pokoju nie dostałem i spaliśmy z Protelem w wehikule, przy bocznej drodze leśnej.

„Jak będzie z Protelem w niezwykle ruchliwej Pradze?” — zastanawiałem się przez cały czas. Wyobrażałem sobie liczne nowe kłopoty i to właśnie spowodowało ponury nastrój, w jakim powitałem przedmieścia Pragi.

A Praga — jak chyba wiecie — to miasto przepiękne i prawdziwy raj dla ludzi mojego pokroju, to znaczy zakochanych w starociach i zabytkach. Historyk sztuki może tu spędzić wiele miesięcy i nigdy się nie znudzi oglądaniem miasta, ulic, kościołów, galerii.

Praga liczy sobie ponad tysiąc lat i z powstaniem jej, jak z każdym starym miastem, związana jest legenda. Czeska — opowiada o księżnej Libuszy, która miała swój warowny gród na Vyszehradzkiej Skale i dla wzmocnienia obronności swej ziemi kazała wznieść po drugiej stronie rzeki drugą warownię, a przy niej powstało miasto — Praga. Legenda mówi również o złotej kolebce królów czeskich, którą Libusza ukryła w nurtach Wełtawy.

Miasto leży na siedmiu wzgórzach, po obydwu stronach Wełtawy, której piękno tak niezwykle i niepowtarzalnie wyraził w swej muzyce Bedrich Smetana. Obydwa brzegi rzeki łączą wiele mostów, a najpiękniejszy chyba i najstarszy to słynny most Karola.

Która Praga jest ciekawsza i piękniejsza: lewobrzeżna czy prawobrzeżna?

Nie wiem i myślę, że nikt na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć. Na lewym brzegu wznoszą się Hradczany, słynny Praski Hrad, z zamkami, pałacami, świątyniami o niezwykłej urodzie. Na lewym brzegu leży Mała Strana, o malowniczych wąskich uliczkach i uroczych ogrodach. Tu każdy miłośnik literatury skieruje swoje kroki na wzgórze Petrzin, gdzie w starym klasztorze na Strahovie mieści się Instytut Czeskiej Literatury i Muzeum Piśmiennictwa. Przeurocza jest wyspa Kampa, z rzeką Czertovką i domami wyrastającymi z wody, jak w Wenecji.

A prawy brzeg? Stare Miasto ze wspaniałym ratuszem i niezliczonymi zabytkami architektury. Josefov — żydowska dzielnica ze starym cmentarzem i kilkoma synagogami. Nowe Miasto, Plac Waclawa, czyli słynne Vaclavskie Namiesti — ruchliwe centrum miasta, Muzeum Narodowe, Teatr Narodowy. Na prawym brzegu rozciągają się także ogrody Vyszehradu.

Jeśli ktoś chce się kierować metryką, warto, aby wiedział, że najstarsze jest Stare Miasto, bo powstało w 1232 roku, Mała Strana — w 1257 roku, Hradczany na początku XIV wieku i Nowe Miasto — w 1348 roku. Praga w przeszłości to były aż cztery miasta, otoczone murami i posiadające swoje własne przywileje. Ba, tych miast było właściwie nawet pięć, bo istniała przecie specjalna dzielnica żydowska, Josefov, z własnym ratuszem i własnymi władzami. Trzeba o tym pamiętać, gdy się zwiedza Pragę, i nie dziwić się, jeśli wam wskażą ratusz

staromiejski, a potem nowomiejski, rynek na Starym Mieście i rynek na Nowym Mieście, i rynek na Małej Stranie. To były bowiem, jak wspomniałem, cztery, a nawet pięć oddzielnych miast, które scalono w jedno stosunkowo późno, dopiero w 1784 roku. Josefow stał się częścią Pragi jeszcze później, bo w 1850 roku.

Do Pragi jechałem już po raz drugi. Z pierwszego swego pobytu, który wypełniony był nieustannym zwiedzaniem zabytków, utrwalił się w mej pamięci obraz miasta o niepowtarzalnej urodzie. Wędrówka po nim jest nieustającą przygodą, bo co krok zaskakuje jakiś piękny zakątek. Trzeba by tu żyć długie lata, aby poznać wszystkie urocze zaułki, bulwary, skwery, place i placyki.

I żyją tu ludzie bezgranicznie zakochani w swoim mieście. Potrafią cię o każdej porze wprowadzać po jego ulicach, abyś ty także nauczył się je podziwiać.

Do takich należał i pan Jarosław Dohnal, do którego jechałem. Z wykształcenia, podobnie jak ja, był historykiem sztuki, przez wiele lat pracował w jednym z praskich muzeów, a obecnie — na skutek przebytej choroby — przeszedł na rentę i dorabiał sobie jako rzeczoznawca w sklepach z dziełami sztuki.

W jego mieszkaniu, przy ulicy Paryskiej, można było obejrzeć wiele staroci, które zbierał przez całe lata. Panowała tam zawsze atmosfera miłości do staroświecczożyny. Jego córka, panna Helena Dohnalova, ukończyła również historię sztuki i pracowała jako kustosz w zamienionej ostatnio na muzeum, słynnej Złotej Uliczce. Podczas mego poprzedniego pobytu w Pradze wyjechała akurat za granicę, więc jej nie poznałem. Słyszałem jednak, że jest bardzo ładna. To ona prowadziła gospodarstwo panu Jarosławowi, jako że żona jego zmarła przed pięcioma laty. Druga córka, piętnastoletnia Ludmiła, ku ubolewaniu ojca nie chciała studiować historii sztuki, a zamierzała zostać operatorem filmowym. Bez przerwy kręciła się po Pradze z amatorską kamerą. Jej małe, krótkie filmiki wyświetlał pan Dohnal swoim gościom, a tematem prac Ludmiły były przeważnie uliczki i zabytki Pragi. To jedno — że filmowała Pragę — łagodziło żal ojca, że zrezygnowała z kariery historyka sztuki.

Pan Dohnal zajmował trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze secesyjnej kamienicy, prawie naprzeciw Staronovej Synagogi. Wiedziałem, że gdybym po przybyciu do Pragi pierwsze swe kroki tam skierował, musiałbym już u niego zamieszkać, tak był gościnnie.

Ale zamieszkać u niego z dogiem, który miał ogon jak pałka milicjanta? W mieszkaniu pana Dohnala stały na etażerkach i półeczkach przeróżne śliczne cacuszka z porcelany i fajansu. Jedno machnięcie Protowego ogona zmiotłoby z półek te delikatne cudowności. Nie, z Protom nie miałem się co pokazywać u przemilego Czecha.

Z ministerstwa otrzymałem trochę koron, stać mnie było na zamieszkanie w hotelu. Ale dostać pokój hotelowy pod koniec czerwca? To było marzenie nierealne i nieziszczalne. Nawet nie skierowałem wehikułu na Vaclavskie Namiesti, gdzie dumnie wznosiły się hotele „Ambasador” lub „Jařta”.

Po cóż zresztą był mi hotel czy mieszkanie z czterema ścianami i sufitem? Czyż nie miałem rozkładanych siedzeń w swoim wehikule i czy nie starczyło miejsca dla mnie i dla Prota?

Pojechałem więc na camping przy ulicy Uledaren 55a, opłaciłem należność za parking, skorzystałem ze znajdującego się na campingu natrysku, zjadłem obiado-kolację w

campingowej restauracji, nakarmiłem Prota i zatelefonowałem do pana Dohnała, aby poinformować go, że zjawiłem się w Pradze.

Odebrała telefon Ludmiła.

— Ach, to pan Tomasz! — zawołała uradowana, gdy się przedstawiłem. — Proszę do nas zaraz przyjechać! Ojciec strasznie się ucieszy. Nie ma go w tej chwili, ale zaraz wróci. I Helena także. Wysłała, żeby na Przikopie kupić pamiątkę dla magistra Skwarka, bo ona poznała tu pewnego Polaka, pana Skwarka. Halo, dlaczego pan milczy? Czy pan mnie słyszy?

Ludmiła trajkotała. Oczywiście po czesku. Znam dość dobrze ten język, więc rozumiałem, o czym mówi. Jeśli milczałem, była tego inna przyczyna. Po prostu, przez szybę kabiny telefonicznej, która stała niemal na środku campingu, widziałem zbierający się tłum turystów przy drzwiach do budynku z umywalnią i natryskami. Ten tłum zachowywał się bardzo dziwnie: jedni uciekali spod drzwi, inni skradali się do nich i po chwili czmychali jak zające. A we mnie powoli narastały złe przeczucia.

— Przyjadę. Zараż do was przyjadę. Tylko ten diabelski pies... — powiedziałem wreszcie do telefonu.

— Pies? — uradowała się jeszcze bardziej Ludmiła. — Niech pan przyjedzie z psem. Uwielbiam psy! Postanowiłam zrobić kolekcję fotograficzną psich fizjonomii.

Powiesiłem słuchawkę i wybiegłem z kabiny. Moje złe przeczucia przerodziły się w pewność. Albowiem od strony natrysków usłyszałem groźne ujadanie Prota.

Tłum turystów kłębił się wciąż przed drzwiami do umywalni.

— To jakaś szalona bestia! Czy on się nie wyrwał ze zwierzyńca? A może jest wściekły? Czyj to pies? Kto z państwa wie?

Te okrzyki padały w najróżniejszych językach. Po niemiecku, po angielsku i po francusku. A jakiś Włoch wykrzykiwał biegając przed drzwiami umywalni i wymachując rękami:

— Santa Madonna, on nas pożre! To lampart, nie pies! Czy nikt z państwa nie jest pogromcą zwierząt?

Rozepchnąłem tłum ludzi i wpadłem do umywalni, gdzie szalał rozwścieczony Protazy.

— Spokój! Na miejsce! Co się stało? — krzyknąłem na niego. Znieruchomiał, przestał ujadać, pomachał przyjaźnie ogonem.

A potem zadarł łeb do góry i wymownie spojrzał na mój zielony ręcznik wiszący przy umywalni. Tak, pilnował zapomnianego przeze mnie ręcznika i każdego, kto wchodził do umywalni, podejrzewał, że chce ten ręcznik ukraść.

Zdjąłem z wieszaka ręcznik. Przewiesiłem go przez ramię i wymaszerowałem z umywalni. Za mną krok w krok i ze stulonymi uszami wyszedł Protazy. Tłum rozstał się lękliwie, a pies, nawet nie zwróciwszy na nikogo uwagi, pomaszerował do wehikułu.

Ten i ów próbował na mnie krzyżeć z powodu strachu, którego wszystkim Prot napędził. Przystanąłem i uprzejmie wyjaśniłem po angielsku i niemiecku, że mój pies bardzo nie lubi, gdy się na mnie krzyczy. Może wtedy ugryźć.

Otworzyłem drzwiczki wehikułu i powiedziałem do Prota:

— Jesteśmy za granicą, czy ty to rozumiesz, durniu? Ten ręcznik nie był wart hałasu, który narobiłeś. Wstyd mi za ciebie.

Prot otworzył szeroko pysk i ziewnął głośno. Dał mi do zrozumienia, że bardzo lubi takie zabawy, jak ta w umywalni.

Po drodze do domu pana Dohnała wstąpiłem do warsztatu samochodowego z prośbą o naprawę zamka w drzwiczkach. Okazało się, niestety, że zamka nie uda się zreperować i trzeba go wymienić na inny. A tę robotę w warsztacie zgodzono się wykonać dopiero nazajutrz. Tak więc tego dnia musiałem jeździć z zepsutym zamkiem, co mogło mnie narazić na mandaty, jako że karze się tych, co pozostawiają na ulicy nie zamknięte samochody.

Gdy przyjechałem na ulicę Paryską, pan Dohnal zdążył już nadejść i czekał na mnie w swoim gabinecie, Ludmiła zaś kręciła się w kuchni, parząc dla nas czarną kawę.

— Gdzie pies? — zapytała otwierając mi drzwi.

— Ach, pies... — machnąłem ręką nie spiesząc się z wyjaśnieniami, gdyż przerażała mnie myśl, że zechce, abym Prota sprowadził do mieszkania.

Na szczęście pan Jarosław zaraz zaciągnął mnie do swego gabinetu, gdzie znajdowały się kryte skórą fotele i stała ogromna szafa biblioteczna. W oszklonej serwantce mieniły się różnokolorowe filiżanki z sewrskiej i miśnieńskiej porcelany, na stoliczku chińskie wazy prześlicznie malowane, a na ścianie wisiało kilka starych zegarów.

— Przyjechałem do Pragi po otrzymaniu pańskiego listu — powiedziałem sadowiąc się w wygodnym fotelu. — Zainteresowała mnie sprawa halickiej ikony. Może to jednak jest jakiś ślad gangu przemytników?

Westchnął.

— Obawiam się, że dałem powód do fałszywego alarmu i stracił pan tylko sporo czasu. Halicką ikonę, jak panu już pisałem, oddał do sprzedaży niejaki Zdenek Blacha. Pomny na pański list, zwróciłem na niego uwagę. To młody człowiek lat około dwudziestu. Spytałem go, skąd ma ikonę. Odpowiedział, że jego ojciec zaraz po wojnie skądś ją wyszabrował i ikona leżała w komórce wśród rupieci. Ostatnio Zdenek robił porządki w komórce, zwrócił uwagę na ikonę, a ponieważ był bez forsy, zainteresował się, czy tego starego obrazu nie można gdzieś sprzedać. I tak trafił do sklepu, w którym jestem rzeczoznawcą. Ikonę kupiło natychmiast za piętnaście tysięcy jedno z praskich muzeów.

— Czy mógłbym ją zobaczyć?

— Naturalnie, to się da załatwić. Jeszcze dziś zadzwonię do dyrektora muzeum.

— Świetnie. A może pan zna także adres Zdenka Blachy?

Pan Jarosław sięgnął do kieszeni, wyjął notatnik, przewertował kilka stroniczek.

— Blacha mieszka tuż koło staropraskiej gospody „U Kalicha”. Byliśmy tam kiedyś razem, pamięta pan? To ta gospoda, w której bywał Szwejk z powieści Jarosława Haszka.

— Świetnie, że zanotował pan adres Blachy — powiedziałem. — Muszę mu złożyć wizytę i zadać kilka dodatkowych pytań. Być może mówił panu prawdę i wówczas mój przyjazd do Pragi okaże się bezużyteczny. Lecz jeśli historia jego ikony wygląda nieco inaczej, kto wie, czy nie uda mi się nareszcie trafić na trop gangu przemytników. Oczywiście, chyba nie muszę prosić pana o zachowanie w tajemnicy celu mego przyjazdu do Pragi.

W tym czasie do pokoju weszła Ludmiła z tacą, na której stały dwie filiżanki z czarną kawą. Dziewczynka usłyszała moje słowa, postawiła tacę na stole i popatrzyła na nas z wyrzutem:

— Czy ja się nie przesłyszałam? Była tu mowa o jakimś „gangu”, o jakiejś „tajemnicy”? Coś mi się zdaje, że szykuje się świetna historia, a ja nic o niej nie będę wiedziała. Moim marzeniem jest nakręcić film kryminalny i właśnie jestem w trakcie poszukiwania tematu.

Pan Dohnal spojrział na mnie, a ja na niego. Czy mieliśmy prawo wyjawić dziewczynce cel mego przyjazdu do Pragi?

— Pan Tomasz nie jest kryminologiem, ale historykiem sztuki i pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zdaje mi się, że już ci to wyjaśniłem w czasie jego poprzedniej wizyty u nas — powiedział pan Dohnal.

— Tak — skinęła głową Ludmiła. — Ale jednocześnie papa tyle naopowiadał o przeróżnych przygodach pana Tomasza, że teraz, kiedy usłyszałam o „gangu” i „tajemnicy”, nietrudno zgadnąć: pana Tomasza sprowadziła do Pragi jakaś fantastyczna sprawa. I ja bardzo chcę o niej wiedzieć. W przeciwnym razie... — zawiesiła głos — natychmiast przerzucam się do obozu Helenki.

— A cóż to za obóz? — spytałem zaciekawiony.

— Helenka, panie Tomaszu, jest zwolenniczką Ruchu Wyzwolenia Kobiet — tłumaczyła z ożywieniem Ludmiła. — Twierdzi, że mężczyźni dla siebie zarezerwowali najciekawsze zajęcia, a nam pozostawili dom, kuchnię i wychowanie dzieci. Co się mnie tyczy, nie jestem zdecydowana, czy dać posłuch jej poglądom, czy też pozostać w obozie papy, to znaczy po męskiej stronie...

— No, jeśli tak stawiasz sprawę — roześmiałem się — to chyba dopuścimy cię do naszych tajemnic, prawda, panie Jarosławie?

Uroczą wydawała mi się ta Ludmiła. Pan Dohnal był niski, łysiejący, zażywny, ona wyrosła na wysoką szczupłą pannicę, o głowę wyższą od ojca. Miała nieco wystające kości policzkowe, przez co jej buzia wydawała się jakby trójkątna. Długie jasne włosy, szare ogromne oczy i nieco kokieteryjne spojrzenie, a także niezwykły wdzięk w ruchach, mimo jej piętnastu lat, już teraz emanowały kobiecością. Podobało mi się, że ani strojem, ani uczesaniem nie usiłuje upodobnić się do chłopaków w jej wieku. Nie nosiła powycieranych

teksasów i powyciąganych na wszystkie strony swetrów, ale spódniczkę i bluzeczkę z krótkimi rękawami. Może jestem konserwatywnym człowiekiem, lubię jednak, gdy kobieta ma długie włosy, a mężczyzna krótkie.

Wtajemniczyłem więc Ludmiłę we wszystkie szczegóły sprawy, która mnie przywiodła aż do Pragi. Kończyłem swoją relację, gdy rozległy się głosy w korytarzu. Oto wróciła do domu druga córka pana Dohnala, a z nią ów Polak, o którym wspominała Ludmiła, pan Franciszek Skwarek.

Wyznaję, że panna Dohnalowa zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Miała chyba dwadzieścia sześć lat. Kształtom jej ust, postaci, rąk niczego nie można było zarzucić, a znam się na tym jako historyk sztuki, który niejedną piękność oglądał na obrazach mistrzów. Panna Helena Dohnalowa mogłaby, uważam, pozować Botticellemu albo Modiglianemu, zwłaszcza ten ostatni malował kobiety o tak wyrazistych oczach.

Lecz jednocześnie ta młoda osoba o delikatnej urodzie należała do coraz popularniejszego na świecie gatunku kobiet, które robią wszystko, aby zamaskować ślady swej kobiecości. Zamiast długich kasztanowych kędziorów, które powinny otaczać jej głowę, miała krótkie włosy „na chłopaka” i czesała się jak mężczyzna, z przedziałkiem. Nosiła męską koszulę, męski krawat pod szyją i granatowy obcisły garnitur o męskim kroju, buty na niskim obcasie, niemal męskie. Żadnej broszki, żadnego pierścionka na palcu, żadnej bransoletki. Na przegubie lewej ręki zauważyłem męski zegarek, z górnej kieszonki wyglądały okulary w grubej oprawce.

Pan Skwarek, który jej towarzyszył, wzbudził we mnie uczucie zawiści. Tak zawsze chciałem wyglądać, lecz było to, niestety, marzenie nieziszczalne.

Oto miałem przed sobą trzydziestoletniego mężczyznę, jakby ożywionego z amerykańskiego komiksu, przedstawiającego supermana. Wysoki, krótko ostrzyżony blondyn o niebieskich oczach i barczystej sylwetce gladiatora. Elegancka marynarka opinała szerokie, silne ramiona, uwydatniając wspinały tors.

Byłem pewien, że uprawia sporty, nie pije, nie pali, od czasu do czasu łyka witaminy, chodzi wcześniej spać nie ślęcząc nad książkami, dużo spaceruje i w ogóle prowadzi higieniczny tryb życia.

Ucałowałem delikatną dłoń panny Dohnalowej, potem otrzymałem silny uścisk opalonej męskiej prawicy.

— Franciszek Skwarek — przedstawił mi się superman.

— Magister historii. Jest stypendystą w Pradze. Pisze doktorską pracę o różokrzyżowcach — dodała panna Dohnalowa.

— Ach, tak? — bąknąłem.

Bo co miałem rzec? Panna Dohnalowa wzbudziła mój zachwyt, nieco zmałony jej skłonnością do ubierania się po męsku. „Może mógłbym ją przekonać, aby ubierała się inaczej?” — pomyślałem. Ale zaraz wybiłem sobie z głowy podobne projekty. Przy tym supermanie nie miałem żadnych szans u panny Helenki.

A ona położyła właśnie na stole jakąś niewielką paczkę, którą rozwinęła z papieru. Paczka zawierała ludową słowacką laleczkę, którą piękna Helenka kupiła na pamiątkę dla pana Skwarka. Superman, chcąc okazać się towarzyski, zaczął nas zabawiać rozmową:

— Radzę państwu wyjść z domu na ulicę — oświadczył donośnym męskim głosem. — Tuż przed domem jakiś wariat zaparkował bardzo śmieszny wehikuł. Myślałem, że wywinę ze śmiechu orła, tak mnie rozbawił kształt tego samochodu. Mój Boże, czego to ludzie nie wymyślą, gdy im się nudzi. Nie widziałem w życiu niczego bardziej szkaradnego. Jakaś ohydna samoróbka, młotkiem klepana. Już się tam zbiegowisko zrobiło, ha, ha, ha — śmiał się tubalnie.

— Zbiegowisko? — zaniepokoiłem się.

Pomyślałem o nie zamkniętych drzwiczkach i o pozostawionym w wehikule Protazym.

— Ach tak, kto przejdzie ulicą, wybucha śmiechem. Chce pan zobaczyć to wariackie straszycło?

Skinałem głową.

— Owszem. Zbiegnę na chwilę...

I ruszyłem ku drzwicom.

— Ja też pójde. Z kamerą! — zawołała Ludmiła. — Jeśli to rzeczywiście takie dziwactwo, to może warto je sfilmować.

— Śmiech to zdrowie — rzekł Skwarek i postanowił jeszcze raz pośmiać się z wehikułu.

Poszedł z nami i pan Dohnal. Byłem z tego bardzo niezadowolony, bo wolałbym ukryć prawdę, że do mnie należy szkaradny pojazd.

Poprzednim razem przyjechałem do Pragi pociągiem i nie wspomniałem słowem o moim wehikule.

Wyszliśmy we czwórkę na ulicę, gdzie pan Skwarek znowu ryknął śmiechem.

Zbiegowiska żadnego nie było. Owszem, ten i ów przechodzień na moment zatrzymywał się przy wehikule, ale zaraz ruszał dalej.

W gruncie rzeczy nie miałem wcale pretensji do Skwarka, że tak go śmieszy mój wóz. Przecież zdawałem sobie sprawę, że jego wygląd jest bardzo dziwaczny i choć ja przyzwyczailem się już do niego, to przecież na innych sprawiał szokujące wrażenie i mógł budzić drwiny.

Bo wyobraźcie sobie coś w rodzaju długiego, szerokiego czółna, pomalowanego na srebrzysty kolor. Tu i ówdzie zresztą lakier odpadł, tak że czółno przypominało łaciatego arlekina. Na czólnie znajduje się brezentowa buda, podobna do namiotu z celuloidowymi okienkami. Przód wehikułu uzbrojony jest w ogromne reflektory z jakiegoś przedpotopowego samochodu

lub zgoła starej lokomotywy, a tył wozu jest nieco zadarty do góry, kryje bowiem śmigło śruby potrzebnej podczas pływania po wodzie. Całość sprawia wrażenie jakiegoś dziwnego owada z zadartym odwłokiem, jakiejś larwy straszliwej, która wypełzła nagle z piekielnych czeluści.

Zaszemrała kamera Ludmiły. Pan Dohnal powiedział wzruszając ramionami:

— Ot, staroświecki samochodzik. Teraz jest moda na takie dziwne pojazdy.

Skwarek przestał gdakać tym swoim męskim, tubalnym śmiechem.

— Dziwny? Raczej dziwaczny. Wygląda, no, jak spluwaczka — zarechotał, rad ze swojego dowcipu. — Niech pan popatrzy na te szybki, na ten dach z płótna, na te klamki jak od komórki z węglem!

Tak mówiąc chwycił za klamkę, zapewne sądząc, że drzwi w samochodzie są zamknięte. Niestety, było inaczej. Drzwi się otworzyły i jednym ogromnym susem, jak pocisk armatni, wyskoczył z nich przyczajony w samochodzie Protazy. Złapał rękaw marynarki Skwarka i rozdarł ją potężnymi zębiskami. A gdy przerażony superman rzucił się do tyłu, aż pod mur domu, pies uderzył go klatką piersiową, przewalił, a potem stanął nad Skwarkiem z rozwartą paszczą.

— Prot! Do nogi! — krzyknąłem groźnie.

Niechętnie posłuchał mojego rozkazu. Warcząc odszedł na bok, a potem, na mój ponowny rozkaz, wlał do wehikułu.

— Boże drogi, czy się panu nic nie stało? — pan Dohnal, zaniepokojony, pochylił się nad leżącym na chodniku Skwarkiem.

— Przepraszam pana bardzo, odkupię panu marynarkę — zacząłem mówić błagalnie, podnosząc z chodnika supermana. — To moja wina. Mam zepsuty zamek w drzwiczkach...

— Ach, więc to ten pies, o którym pan wspominał! — powiedziała Ludmiła. — A to jest pański samochód. I dlatego nazywają pana „Pan Samochodzik”. Już rozumiem! Pytałam kiedyś ojca o pańskie przezwisko, ale nie potrafił mi wyjaśnić.

— Na górę. Chodźmy do domu — komenderował pan Dohnal widząc, że koło nas zebrało się już kilka osób żądnych sensacji.

Skwarek podniósł się z chodnika, otrzepał garnitur, obejrzał rozerwany rękaw.

— Nie wolno otwierać drzwiczek w cudzym samochodzie — zwróciła mu uwagę Ludmiła.

— Krew... — zajęczał magister Skwarek odwijając rozerwany rękaw.

I przybladł tak mocno, że myślałem — zemdleje. Pan Dohnal chwycił go natychmiast pod rękę i zaciągnął na górę do domu.

A ja nie wiedząc, co teraz zrobić, bezradnie rozglądałem się na wszystkie strony. Bałem się znowu pozostawić psa w wehikule, ale prowadzić Prota do Dohnalów?... Żeby jeszcze raz napadł na Skwarka albo porozbijał cacuszka pana Dohnala?

— Niech pan zabierze psa na górę — zdecydowała Ludmiła. — Jeśli będzie się źle zachowywał, zamkniemy go w łazience.

Łazienka? Tak, to było dobrze pomyślane. Już wolałem, aby wehikuł stał nie zamknięty na ulicy, niż mieć w nim stróża w postaci groźnej bestii. Powinienem też zainteresować się poszkodowanym supermanem.

Chwyciłem psa za obroź i wraz z Ludmiłą pobiegłem na górę. Prota zamknąłem w łazience i zajrzałem do gabinetu pana Dohnala, gdzie na wygodnej wersalce spoczywał pan Franciszek Skwarek. Oczywiście miał przymknięte, leżał bez marynarki, z zawiniętymi rękawami koszuli. Panna Helena bandażowała mu rękę.

— Bardzo mi przykro, że tak się stało — zacząłem przepraszająco.

Skwarek otworzył oczy.

— Tę marynarkę kupiłem w sklepie na Przikopie. Dałem za nią kupę forsy — odezwał się ponuro i wymienił sumę.

Wyjąłem portfel i z bólem serca odliczyłem pieniądze. Taki wydatek był pokaźnym wylotem w moim budżecie. Ale co mogłem zrobić? Położyłem banknoty na biurko pana Dohnala.

Weszła Ludmiła z kamerą filmową w rękę.

— A pan co? Zemdlął? — zdziwiła się patrząc na Skwarka. — Przecież ten piesek ledwie pana zadrasnął.

— Nie znoszę widoku krwi — mruknął Skwarek.

— O wa, przecież krwi nawet nie widać — stwierdziła Ludmiła zaglądając pod bandaż.

Panna Helenka obruszyła się na młodszą siostrę.

— Pan Skwarek doznał szoku — zaczęła go tłumaczyć rzucając na mnie groźne wejrzenie. — Podobno pies wyskoczył z wozu tak nagle, że można było dostać ataku serca.

Pan Dohnal zdecydował, że pora zabrać głos. Magister Skwarek i ja byliśmy gośćmi w jego domu, a on był uprzejmym gospodarzem.

— Zaraz będzie kolacja, prawda, Helenko? — zagadał do córki. — Mam nadzieję, że pan Skwarek wkrótce dojdzie do siebie i to, co się wydarzyło, nie wpłynie ujemnie na nasze wzajemne stosunki. Pies, jeśli się nie mylę, znajduje się w łazience.

— Tak — oświadczyła Ludmiła. — I zaraz idę do niego, aby go sfilmować.

— Ostrożnie, on może ugryźć — przestrzegłem.

Ale Ludmiła tylko machnęła ręką.

— Nie ma obawy. To bardzo łagodna psina.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WŁAMANIE NA ŻŁOTEJ ULICZCE • W ZDROWYM CIELE ZDROWY DUCH • MAŻ Z MÓZGIEM ELEKTRONOWYM • TOWARZYSTWO LUDZI GENIALNYCH „MENZA” • TEST NA INTELIGENCJĘ • TAJEMNICA SREBRNEJ BLASZKI • TURNIEJ INTELIGENCJI I WIEDZY • WSPÓŁCZESNA PRZYGODA

Panna Helenka przygotowała znakomitą kolację. Jedliśmy ją prowadząc rozmowę na najróżniejsze tematy, aby jak najszybciej puścić w niepamięć przykry incydent. Panu Skwarkowi było trochę głupio, że tak wydrwiwał mój wehikuł, mnie było przykro, że pies go poturbował. A jeszcze bardziej odczuwałem żal, że piękna panna Dohnalowa mogła mieć do mnie pretensję, ponieważ Prot tak okrutnie obszedł się z jej sympatią.

Pan Dohnal nie wyjawiał celu mego przyjazdu do Pragi, ale napomknął Helence i panu Skwarkowi, że pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki i zajmuję się ochroną zabytków. Rozmowa toczyła się wokół tego tematu, zwłaszcza że panna Helenka, jako kustosz Żłotej Uliczki, przeżyła nie tak dawno historię włamania do jednego z przeznaczonych na muzeum malutkich domków.

— Żłota Uliczka, jak pan zapewne słyżał — opowiadała — pozostaje w tradycji prażan jako miejsce, gdzie w czasach cesarza Rudolfa II mieszkali i żyli przeróżni magowie i alchemicy. I choć nie jest to zapewne prawdą, to jednak gdy Żłota Uliczka została odrestaurowana i przeznaczona na muzeum, w jednym z domków postanowiliśmy odtworzyć pracownię alchemiczną. Ściągnęliśmy stary sprzęt alchemików, przeróżne tygły, retorty oraz inne eksponaty. Pewien naiwny młody człowiek widocznie uwierzył, że tam robi się złoto, wykroił wieczorem szybę w domku, wszedł do środka i ukradł kawałek miki, którą wziął za złoto. Ponadto jeszcze porwał srebrną blaszkę. Schwymano go, gdy usiłował wyleźć z łupem przez okno. Za ten kawałek miki i za srebrną blaszkę nie otrzymałby od nikogo nawet złamanej korony. A dla nas, muzealników, ta blaszka była wartościowa, bo należała kiedyś do słynnego alchemika, Kelleya.

— Tak, tak — pokiwał głową pan Dohnal. — Wielu młodych ludzi nie ma jeszcze należytego szacunku dla obiektów muzealnych.

Magister Skwarek skierował rozmowę na zupełnie inny temat. Zaczęliśmy mówić o sporcie.

— Bardzo cenię kulturę fizyczną — stwierdził. — Codziennie rano ćwiczę. Rozciągam sprężynę. I panu też to radzę — zwrócił się do mnie. — Zauważyłem, że pan się nieco garbi. Sprężyna znakomicie prostuje sylwetkę.

Dociał mi, szkoda gadać. I celnie trafił, bo rzeczywiście nieco się garbię.

— Ciągłe ślęczę nad książkami — mruknąłem.

— Och, ja także to robię — odrzekł Skwarek. — Jedno drugiemu nie przeszkadza. Starożytni mówili: „Mens sana in corpore sano”, co znaczy: w zdrowym ciele zdrowy duch. Rozwój intelektualny powinien iść w parze z rozwojem fizycznym.

Panna Dohnalowa wydeła pogardliwie swoje piękne usteczka i oświadczyła:

— Moje koleżanki niekiedy pytają mnie, jaki jest mój ideał mężczyzny i dlaczego do tej pory nie wyszłam za mąż. Odpowiadam im, że najbardziej cenię inteligencję. Przy zamążpójściu nie będę się kierować urodą mężczyzny, ale jego intelektem.

— Pani jest wyjątkowa — stwierdziłem.

— Tak. Mózg jest najważniejszy — powtórzyła panna Dohnalowa.

— To wyjdź za mąż za mózg elektronowy — zachichotała Ludmiła.

— Cicho! — skarciła ją Helenka. — Co ty możesz o tym wiedzieć? Za mała jesteś. Uważam również, że i w kobietach powinno się cenić inteligencję, nie urodę.

— Ach, co też pani mówi! — zawołałem zdziwiony.

Panna Dohnalowa zmierzyła mnie surowym spojrzeniem.

— A tak, proszę pana. W ostatnich latach ciągle miałam o to sprzeczki z najróżniejszymi młodzieńcami i mężczyznami. Gdy zdecydowałam się studiować historię sztuki, a przy okazji zapisałam się na sanskryt i hebrajski, bez przerwy słyszałam złośliwe uwagi: „Po co pani sanskryt, panno Dohnalowa? Taka piękna kobieta powinna wyjść za mąż i mieć kupę dzieci, a nie studiować hebrajski”. Oburzające, prawda? A gdy po skończeniu studiów zgłosiłam się do pracy w Ministerstwie Kultury, to najpierw jakiś urzędnik powiedział do mnie: „Przepraszam panią, ale artystki mają swój departament o piętro wyżej”. Stwierdzam, że uroda kobiecie przeszkadza.

„Ach, tu cię boli” — pomyślałem.

— Sądzę — powiedział Skwarek — że jedno drugiemu nie przeszkadza. Można być i ładnym, i mądrym. W towarzystwie „Mensa” spotkałem wiele wybitnie inteligentnych kobiet, które miały równie wybitną urodę.

— „Mensa”? — zapytał pan Dohnal. — A cóż to za towarzystwo?

— Nie słyszał pan o „Mensie”? — zdziwił się Skwarek. — „Mensa”, od łacińskiego „stół jadalny”, to grono dyskutantów. Towarzystwo o nazwie „Mensa” skupia ludzi wybitnie inteligentnych, to jest takich, którzy uzyskali 132 punkty według skali Stanforda-Bineta lub powyżej 148 punktów według skali Catella. Niestety, zaledwie dwa procent ludzi na świecie odznacza się wybitną inteligencją. Towarzystwo „Mensa” liczy sobie tylko dwadzieścia tysięcy członków; dwanaście tysięcy w USA, trzy i pół tysiąca w Wielkiej Brytanii, siedemset osób we Francji i w innych krajach. U nas ideały „Mensy” nie są jeszcze znane, niektórzy w ogóle nie wiedzą o ich istnieniu. A tymczasem Towarzystwo to czyni wiele dobrego, pozwala

ludziom wybitnie inteligentnym przedyskutować nurtujące ich problemy. Jedną z akcji „Mensy” było założenie na Sycylii miasteczka i szkoły dla dzieci wybitnie zdolnych. Oczywiście, nie muszę zaznaczać, że warunkiem przyjęcia do „Mensy” jest posiadanie wybitnej umysłowości, co sprawdza się przy pomocy specjalnych testów. Jeśli chodzi o mnie, to pragnę wyznać nie bez dumy, że wstępny test wypełniłem zadowolająco.

— Ach, jaka szkoda, że nie wiem, na czym ten test polega — westchnęła panna Dohnalowa, która tak bardzo ceniła intelekt.

Magister Skwarek sięgnął do portfela i wyjął z niego niedużą kartkę.

— Oto jest wstępny test na sprawdzenie, czy posiada się wybitną inteligencję. Czy chce pani spróbować swoich sił, panno Helenko? A może i pan? — zwrócił się do mnie.

A potem zaczął tłumaczyć test.

— Rzecz polega na podkreśleniu właściwego rysunku. Albo „a”, albo „b”, „c” lub „d”. Kto ma ochotę, może przystąpić do rozwiązywania.

Panna Dohnalowa, niewiele się namyślając, podkreśliła w czterech rzędach po jednym obrazku. Ja zaś dość długo przyglądałem się rysunkom w teście i usiłowałem je z sobą w jakiś sposób skojarzyć. Lecz jak sami widzicie, nie jest to sprawą łatwą. W końcu podkreśliłem cztery rysunki, które — jak mi się zdawało — były sobie najbliższe.

Pan Skwarek przyjrzał się naszym rozwiązaniom, a potem sceptycznie pokręcił głową.

— Z przykrością muszę stwierdzić, że ani pani, ani pan nie macie wybitnej inteligencji. Prawidłowe rozwiązanie brzmi: 1d, 2c, 3b, 4c.

Wcale nie zmartwił mnie negatywny wynik testu. Nigdy nie miałem się za człowieka wybitnego pod względem umysłowym. To, co inni osiągali przy pomocy niezwykłych niekiedy zdolności, ja musiałem wypracować poprzez, jak to się mówi: kucie. Posiadam jedynie żyłkę detektywistyczną, a i to w bardzo wąskim zakresie, bo dotyczącą spraw związanych ze sztuką.

Pannę Dohnalowa dotknęła jednak świadomość, że nie osiągnęła wyniku wyższego niż przeciętny.

— A pan, panie magistrze? — rzekła zaczepnie. — Pan okazał się wybitnie inteligentny i prawidłowo wypełnił test?

— Tak, proszę pani. Dlatego właśnie mam pewną nadzieję, że dostanę się kiedyś do grona ludzi z „Mensy”.

— Jednym słowem, jest pan prawie genialny — ciągnęła dalej panna Dohnalowa.

— Ach, nie przesadzajmy — skromnie uśmiechnął się Skwarek.

— Skoro więc posiada pan wybitną inteligencję, to może potrafi pan rozwikłać tę oto zagadkę historyczną, nad którą od dawna na próżno łamię głowę. Poprosiłam ojca, aby przy okazji

zainteresował nią pana Tomasza, wielbiciela podobnych zagadek. Ale może obydwaj panowie zechcą sprawdzić działanie swoich szarych komórek.

To mówiąc z kieszeni swojej marynarki wyjęła małą srebrną blaszkę.

— Niewątpliwie należała ona do słynnego alchemika Edwarda Kelleya, gdyż jest na niej wyryte jego nazwisko. Z tego też względu umieściłam ją w zrekonstruowanej pracowni alchemicznej na Złotej Uliczce. Niestety, nie potrafię zwiedzającym wyjaśnić, do jakich celów ona służyła.

— Czy to tę blaszkę usiłowano ukraść z pracowni? — zapytałam.

— Tak. Kawalek miki i tę blaszkę chciał ukraść Zdenek Blacha — odrzekła panna Dohnalowa.

W tym momencie wymieniliśmy z panem Dohnalem ukradkowe spojrzenia. Czyżby to był ten sam Blacha, który sprzedał halicką ikonę?

— Tak. To bardzo ciekawa sprawa — mruknąłem wyciągając rękę po leżący na stole przedmiot.

W drodze po blaszkę moja dłoń napotkała rękę magistra Skwarka.

— Przyjmuję pani wyzwanie, panno Helenko — powiedział Skwarek. — Wezmę ją do hotelu i postaram się pani dać jutro wyjaśnienie.

— Świetnie! — uradowała się panna Helenka. — Ale zdaje mi się, że i pan Tomasz pragnie zająć się tą sprawą.

— Owszem. Z prawdziwą ochotą — przytaknąłem.

I mała dłoń panny Helenki przykryła blaszkę leżącą na stole.

— Blaszką zostanie tutaj, u mnie, a obydwaj panowie przerysują wszystko, co zostało na niej wyryte. Jutro dacie mi swoje rozwiązania. Zgoda?

— Znakomita zabawa! — zawołała Ludmiła. — Jakby teleturniej!

Magister Skwarek nie był zadowolony z takiego obrotu rzeczy, bo — jak oświadczył — nie umiał rysować. Ludmiła jednak bardzo szybko przerysowała mu napisy z blaszki. A ja już sam skopiowałem wszystkie napisy, cyfry i dziwny rysunek.

Oto, jak wyglądała jedna strona blaszki:

4	14
9	7
5	11
16	2

A tak wyglądała druga strona blaszki:



Papier z rysunkami starannie złożyłem i schowałem do portfela.

— Postaram się jutro znaleźć wyjaśnienie cyfr i rysunku na blaszce — powiedziałem.

Skwarek pogardliwie wzruszył ramionami.

— Dopiero jutro? Ja mogę dać rozwiązanie jeszcze dzisiaj.

Panna Helenka spojrzała na niego z ogromnym zainteresowaniem, co bardzo mu pochlebiło.

— Dzisiaj? — znowu wzruszył ramionami i zaczął przelicytowywać sam siebie. — Podejmuję się rozwiązać zagadkę już w tej chwili.

Wyjąłem papier z rysunkami, obejrzałem go, westchnąłem:

— Niestety, nie mam tak wybitnej inteligencji jak magister Skwarek i muszę mieć czas do jutra.

— Ależ oczywiście, to przecież postanowione — zgodziła się panna Helenka. — Panowie przyjdą do nas jutro na obiad i wtedy dowiemy się od każdego z panów, do czego, jego zdaniem, służyła blaszka Kelleyowi.

A druga panna Dohnalowa, czyli Ludmiła, dorzuciła:

— Najlepiej będzie, jeśli pan Tomasz i pan Skwarek zapiszą swoje rozwiązania na karteczkach i dadzą mi je przed obiadem. A ja potem treść kartek odczytam. Tak jest na różnego rodzaju teleturniejach.

Cień zniecierpliwienia przemknął przez przystojną twarz pana Skwarka.

— No cóż — po raz trzeci wzruszył ramionami — muszę się na to zgodzić. Chociaż, co mnie tyczy, to ja rozwiązanie zaraz napiszę na kartce i oddam panie Ludmile.

Wyjął notes, wydarł z niego kartkę, coś na niej przez chwilę pisał.

Wyznaję, że obserwowałem go z prawdziwą zazdrością. Był nie tylko bardzo przystojny i zbudowany jak superman, ale rzeczywiście posiadał chyba wybitną inteligencję. Błyskawicznie rozwiązał zagadkę, gdy ja jeszcze nie miałem nawet pojęcia, jak się do niej zabrać.

Spojrzałem na zegarek i zrobiłem taką minę, jakbym nagle stwierdził, że mi się gdzieś bardzo spieszy. W rzeczywistości chciałem jak najszybciej zabrać się do rozwiązywania tajemnicy.

— Już późno, Państwo pozwolą, że ich pożegnam... — powiedziałem wstając od stołu.

Pan Dohnal odprowadził mnie do drzwi. Za nami wybiegła Ludmiła.

— Widziałam, jak pan mrugnął znacząco do ojca — szepnęła z wyrzutem. — Czyżby pan znowu coś przede mną ukrywał?

— Ach, Ludmiło, o cóż to mnie podejrzewasz? — sumitowałem się. — Jesteśmy i będziemy lojalnymi współpracownikami. Chyba słyszałaś, o czym wspomniała twoja siostra. Wymieniła nazwisko chłopaka, który włamał się do muzeum na Złotej Uliczce.

— Blacha — kiwnął głową pan Dohnal.

— No właśnie. Trzeba będzie sprawdzić, czy to nie jest ten sam Blacha, który sprzedał halicką ikonę.

— W takim razie postaram się jutro rano skontaktować z milicją — zobowiązał się pan Dohnal. — Dowiem się o adres chłopaka, który dokonał włamania. Jeśli adresy okażą się zbieżne, będziemy mieli pewność, że to jedna i ta sama osoba.

Umówiłem się z panem Dohnalem i Ludmiłą, że spotkamy się o dwunastej w południe koło pomnika św. Wacława na Vaclavskim Namiesti. Potem otworzyłem drzwi od łazienki i wypuściłem Prota.

Wyskoczył gwałtownie, jakby go amok ogarnął. Obwąchał pana Dohnala i Ludmiłę, a potem nagle podbiegł do drzwi, przycisnął łapami klamkę i wpadł do pokoju.

Usłyszałem wrzask młodego historyka:

— Zabierzcie tę wściekłą bestię! Czego on chce ode mnie?!

Pies warczał, Skwarek krzyczał. Rzuciłem się do pokoju, chwyciłem Prota za obrozę i odciągnąłem od Skwarka. Pies wyraźnie miał ochotę jeszcze raz ugryźć wybitnie inteligentnego historyka. Widać zapamiętał sobie, że ten człowiek otworzył drzwiczki wehikulu, co w umyśle psa kojarzyło się z chęcią kradzieży.

Przeprasiłem za zamieszanie i opuściłem dom państwa Dohnalów. Gdy pies znalazł się w wehikule, powiedziałem do niego:

— Zaczynam cię coraz mniej lubić...

Ale wielki dog błękitny nie wyglądał na zmartwionego moimi słowami. Otworzył paszczę i wywalił ogromny, długi, czerwony jęzor.

Po drodze kupiłem dwie butelki mleka, kilka bułek i trzy serdelki. Na campingu poczęstowałem Prota serdelkami, a bułkę wkroiłem mu do mleka. Umieściłem wehikul w samym rogu campingu, jak najdalej od rozstawionych tu i ówdzie namiotów. Zaraz po rozlokowaniu się rozłożyłem siedzenia w wehikule. Odgrodziłem się od Prota teczką i neserem, zapaliłem lampkę i położywszy się na brzuchu, zabrałem się do studiowania obydwu rysuneków.

Zapadła noc. Zasnął camping, powoli układała się do snu piękna Praga. Mijały godziny, a w moim wehikule wciąż paliło się światło. Pierwsza praska noc mijała mi bezsennie...

Czy któryś z Was, moi drodzy Czytelnicy, lubi rozwiązywać szarady i krzyżówki? Jeśli tak, niech spróbuje wraz ze mną wyjaśnić tajemnicę srebrnej blaszki Edwarda Kelleya. To chyba najpiękniejsza zabawa spróbować wraz z bohaterem książki wpaść na trop ciekawej zagadki.

...Pozwólcie teraz kilka słów od autora.

Pytacie mnie w listach, gdzie znaleźć prawdziwą przygodę. Żalicie się, że ona nie puka do waszych drzwi tak często, jak... do Pana Samochodzika. Uskarżacie się, że worek z przygodami wydaje się wam pusty.

Nie, to nieprawda. On nie jest pusty. Skończył się tylko pewien typ przygody. Nie ma już na świecie traperów, nikt nie walczy z Indianami, przez dżungle Amazonki buduje się ogromne autostrady. W lasach nie wolno palić ognisk, namiotów też nie można ustawiać gdziekolwiek, tylko w miejscach do tego przeznaczonych. Coraz mniej jest ryb w jeziorach i rzekach. No cóż, zanika obraz starej romantycznej przygody trampa-włóczęgi.

Nie znaczy to jednak, że skończyła się przygoda. Ona jest i czeka na Was. Ale zmienił się bardzo jej charakter. Nie można w balii przepłynąć oceanu. Na to, aby dokonać czynu podobnego do Teligi czy Baranowskiego, trzeba mieć patent kapitana i długo terminować w klubach żeglarskich. Aby zdobywać szczyty gór, należy najpierw trenować w klubach wspinaczki wysokogórskiej. Wielką przygodę w dżunglach afrykańskich znajdzie dziś nie włóczęga, ale lekarz, który jedzie do Afryki walczyć z chorobami tropikalnymi.

Proszę bardzo, rozwiążcie zagadkę srebrnej blaszki. Macie przecież te same dane, co i pan Tomasz. Dwa rysunki...

Lecz pan Tomasz jest historykiem sztuki. To człowiek rozmiłowany w historii. Jego broń to wiedza i umiejętność posługiwania się nią. Aby więc przeżyć podobne przygody, trzeba zgromadzić najpierw duży zasób wiedzy. I taka jest prawda o współczesnej przygodzie!

Leżałem w wehikule, rozmyślając.

Błaszka należała do Edwarda Kelleya, bo wryte jest na niej jego nazwisko.

Edward Kelley. Kim był? W jakich czasach żył? Czym się zajmował?

Był Anglikiem. Żył w latach 1555-1597. Na blaszce wryto cyfrę 1596. Oznacza to chyba datę. A więc blaszka została najprawdopodobniej wykonana na rok przed jego śmiercią.

Czytałem kiedyś wydaną w 1888 roku książkę polskiego historyka, Aleksandra Kraushara, pod tytułem: „Czary na dworze Batorego”. Była to opowieść o dwóch angielskich magach: Johnie Dee i Edwardzie Kelleyu. John Dee posiadał cudowną „kryształową tarczę”, na której pod wpływem tajemnych zaklęć pojawiały się duchy. Dee rozmawiał z nimi i dysputy ze zjawami spisywał w specjalnej księdze. Zapisy te przetrwały aż do dzisiaj, zawarte w bardzo starym dziele Causobona.

John Dee dobrał sobie pomocnika w osobie Edwarda Kelleya, alchemika. Obaj odbywali często podróże zagraniczne, między innymi trafili do Polski na dwór Batorego i do Czech — na dwór Rudolfa II, cesarza, który bardzo interesował się alchemią.

O obydwu magach niektórzy historycy skłonni są mniemać, że byli oni szpiegami królowej angielskiej Elżbiety i przesyłali jej informacje z zagranicznych dworów.

Ale jaki to miało związek ze srebrną blaszką, wrytymi na niej cyframi i dziwnym rysunkiem?

Kelley był alchemikiem. Jak wielu ówczesnych alchemików, dążył do wyprodukowania „kamienia filozoficznego”, który potrafiłby dowolny metal zamienić na złoto. Alchemicy i czarnoksiężnicy zajmowali się także produkowaniem przeróżnych talizmanów...

A jaką treść kryje ów dziwny znak podobny do czwórki albo odwróconego do góry nogami krzeselka?



Znałem go dość dobrze, zetknąłem się z nim już kilkakrotnie. Tajemniczy zakon templariuszy używał go dla oznaczenia niebezpieczeństwa, ryto go na murach w miejscach, gdzie kryły się wszelkiego rodzaju pułapki i zapadnie. Ten sam znak spotkać można również w polskich górach, jak na przykład w skałach Wymytego, na Sarniej Skale w Tatrach. Wykrył go pan Jacek Kolbuszewski, znakomity znawca naszych gór i autor świetnej książki „Skarby Króla

Gregoriusa”, o poszukiwaczach skarbów w XVII i XVIII wieku. Zdaniem Jacka Kolbuszewskiego symbolu tego używali poszukiwacze skarbów w górach dla oznaczenia bardzo niebezpiecznego przejścia w drodze do pieczary ze złotą żyłą lub drogimi kamieniami. Ale chyba nie taką treść zawierał on na blaszce Kelleya. Przed jakim niebezpieczeństwem ostrzegałby czarnoksiężnik?

— Chwileczkę... chwileczkę... — mruczałem do siebie. I nagle przypomniałem sobie. Przecież ten znak jest bardzo stary, zanim stał się symbolem niebezpieczeństwa, oznaczał i nadal oznacza coś zupełnie innego. To jest symbol planety Jowisz!

Przypomniała mi się czytana kiedyś książka o talizmanach Corneliusa Agrippy: „Dzieła magiczne” wydana w Berlinie w 1921 roku.

Jowisz. Talizman Jowisza. Kwadrat magiczny Jowisza.

— Ciepło, ciepło, gorąco... — szeptałem do siebie.

Przyjrzałem się uważnie cyfrom na blaszce. Gdy podsumowało się obydwie rzędy, to suma cyfr w każdym rzędzie wynosiła 34. Zakładając, że to jest kwadrat magiczny, również i w prawą stronę każdy z czterech rzędów powinien dawać sumę 34.

Niestety, tak nie było.

Dlaczego?

Jeszcze chwila i nagle doznałem olśnienia. Miałem do czynienia z połówką talizmanu Jowiszowego. Ktoś rozłamał kwadrat magiczny. A musiało to się stać bardzo dawno, może jeszcze w czasach Kelleya, bo brzeg metalu zdążył szernieć i upodobnił się do pozostałych krawędzi.

Również i rysunek po drugiej stronie blaszki, przedstawiający ludzką postać pod czymś, co przypominało palmę, a raczej połówkę palmy, zdawał się wskazywać, że mam do czynienia tylko z połową rysunku.

A jeszcze ta druga dziwna cyfra: 5357. Czy to nie jest także jakaś data? Nie, chyba nie. Bo przecież nie było jeszcze roku 5357.

Tak. W naszym kalendarzu. Lecz, na przykład, w kalendarzu hebrajskim?

Gwizdnąłem cichutko i bardzo z siebie zadowolony zapaliłem papierosa. Jutro będę mógł pannie Dohnalowej zakomunikować, że blaszka jest połówką talizmanu Jowiszowego, wykonanego przez Kelleya na rok przed śmiercią. Data wyryta według naszego kalendarza jest potwierdzona kalendarzem hebrajskim.

Gdyby znalazła się druga połówka talizmanu, być może i rysunek stałby się bardziej przejrzysty, teraz bowiem trudno wyjaśnić jego sens. Dostrzegłem tylko jakąś postać ludzką pod palmą.

...Noc zbliżała się do świtu. Zgasilem światło w wehikule i zasypiając pomyślałem:

„A swoją drogą Skwarek ma chyba bardzo wybitny umysł, skoro wystarczyło mu spojrzeć na blaszkę, aby odgadnąć jej tajemnicę. A może to był tylko bluff i jutro okaże się, że tylko ja rozwiązałem zagadkę?”

ROZDZIAŁ PIĄTY

Z DZIENNIKA BAŚKI

Skończył się już rok szkolny. Zdałem do trzeciej licealnej bez trójki na świadectwie. A jutro wyruszamy w Bieszczady.

Kupiłem gruby, ale wąski brulion, który dobrze będzie mi się mieścił w plecaku. Za radą pana Tomasza będę w nim notował wszystkie ciekawsze wydarzenia z naszej wycieczki. Taki opis przebytej trasy może się okazać pożyteczny dla harcerskiego czasopisma „Na Przełaj”.

Nie wiem, czy podczas wycieczki znajdę czas na dłuższe opisy. Dziś więc przedstawię wszystkich uczestników naszej wyprawy w Bieszczady.

Na pierwszym miejscu umieszczam naszego opiekuna, nauczyciela geografii, pana profesora Hilarego S. Ukończył Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, ma 29 lat, jest kawalerem i jak twierdzi, dopóki nie założy rodziny, będzie co roku spędzał lato na pieszych wędrówkach po kraju. Pochwalił mój projekt wycieczki w Bieszczady.

Profesor Hilary wydaje mi się wyjątkowym nauczycielem. Lubi przebywać z młodzieżą nie tylko w szkole, ale i w czasie wakacji. Planuje, że w przyszłym roku razem z kilkoma chłopcami zbuduje w szkolnych warsztatach łódź żaglową i na przyszłe wakacje odbędzie z nimi rejs po jeziorach mazurskich. Prawda, że to wspaniały nauczyciel?

Profesor Hilary jest średniego wzrostu, barczysty, nosi okulary i czarną krótką bródkę. Lubi się ubierać w zielone wojskowe koszule i zielony krawat, nosi czarny берет.

A teraz kolej na mnie. Nazywają mnie Baśka, bo mówią, że jestem podobny do dziewczynki. Myślę, że to nieprawda, noszę krótko obcięte włosy i wkrótce na pewno będę się golił. Nie przepadam za swoim przydomkiem, ale i nie obrażam się o niego.

Pozostali chłopcy — to uczniowie z młodszych klas, przeważnie dwunastoletni, tylko jeden ma lat trzynaście. Należą do harcerstwa, ale w tym roku nie dla wszystkich chłopców z naszej szkoły starczyło miejsca na obozach, więc pomysł z wycieczką zastępu uznano za bardzo dobry, udzielono na niego zgody, a także dano trochę sprzętu, jak na przykład kuchenkę gazową, butle na gaz i aż osiem pałatek, które chronią od deszczu jak peleryny, a jednocześnie można z nich zrobić cztery małe namiociki.

Gdy po lekcjach zebraliśmy się w szkolnej świetlicy i przyszedł profesor Hilary, aby poznać wszystkich członków mojego zastępu, zawołał: „Jest was siedmiu? Jakby tydzień”. Bardzo się nam to podobało i postanowiliśmy przybrać odpowiednie przydomki. Było z tym dużo

śmiechu, bo należało scharakteryzować każdy dzień w tygodniu i dopasować go do każdego z chłopaków. Nie wiem, czy te charakterystyki są słuszne, ale stało się tak, że „Poniedziałkiem” został chłopiec, który ma minę wieczne z czegoś niezadowolonego (w poniedziałek nie chce się bowiem iść do szkoły), „Wtorkiem” i „Środą” ochrzciliśmy dwóch chłopców, którzy niczym specjalnym się nie wyróżniają, „Czwartkiem” został grubasek (bo niby bywa tłusty czwartek), „Piątkiem” zaś najpracowitszy, najlepszy z uczniów, „Sobotą” okrzyknęliśmy najweselszego (sobota jest przecież dniem wesołym, bo po niej następuje niedziela, prawda?), a „Niedziela” został najbardziej leniwy (mówi się bowiem „urodzony w niedzielę”, to znaczy taki, co nie chce się brać do roboty). Razem z profesorem Hilarym jest nas dziewięć osób, w sam raz na wyprawę nawet w najdalsze strony.

Korzystając z okazji prof. Hilary zrobił dla nas wykład o regionie kraju, przez który będziemy wędrować. A oto co zanotowałem z jego wykładu:

Bieszczady znajdują się na południowo-wschodnim krańcu Polski. Jest to oryginalna i rozległa grupa gór stanowiąca skrawek Beskidów Wschodnich. Góry bieszczadzkie nie odznaczają się dużą wysokością, najwyższy ich szczyt, Tarnica, sięga 1346 m nad poziomem morza. Na wielu grzbiecach górskich napotkać można rozległe połoniny, czyli ogromne polany usiane kwiatami lub twardym piaskowcem.

Bieszczady od wieków należały do Polski. Lecz oprócz ludności polskiej zamieszkiwali je Bojkowie i Łemkowie, odrębne grupy etniczne, pod względem kulturowym i językowym zbliżone do ludności ukraińskiej. Mimo jednak tych różnic, zarówno Łemkowie jak i Bojkowie uważali się zawsze za obywateli polskich i pozostali w najlepszej zgodzie z rdzennie polską ludnością. Gdy w 1918 r. obradował w Sanoku zjazd ukraiński i podjął uchwałę o oderwaniu się tych ziem od Polski, w odpowiedzi na to zwołano w Łupkowie zjazd Łemków i Bojków, którzy opowiedzieli się za pozostaniem przy Polsce, co też się stało.

Potem jednak nastąpił okres brzemienny w straszne wydarzenia. Wybuchła wojna, nadeszły lata okupacji. Hitlerowcom zależało na skłóceniu ludności, stworzeniu atmosfery konfliktów, terroru i strachu. Ukraińskim faszystom wręczyli oni broń i pozwolili rozprawiać się z tymi, którzy marzyli o wolnej Polsce. Faszyci ukraińscy rozpoczęli wśród Łemków i Bojków antypolską propagandę, sypali kopce, pod którymi miała — jak mówili — na zawsze zginąć Polska. I wiele ludzi poszło na lep tej propagandy, dali się ponieść fali nienawiści narodowej.

Nastąpił jednak upadek hitleryzmu i w Bieszczady wkroczyła nowa Polska. Lecz świetnie uzbrojeni przez hitlerowców faszyci ukraińscy zorganizowali się w oddziały zbrojne, w tak zwaną Ukraińską Powstańczą Armię.

W tych warunkach wzmógł się jeszcze terror. Mordowano Polaków i palono polskie wsie, mordowano również Łemków i Bojków, palono ich wsie, jeśli okazywali sympatię dla Polski. Jeszcze w trzy lata po zakończeniu II wojny światowej o lasy i góry bieszczadzkie obijało się echo wystrzałów, a nocne niebo rozjaśniały łuny pożarów.

Zwrotną datą w historii Bieszczadów stała się tragiczna śmierć gen. Karola Świerczewskiego w dniu 28 maja 1947 r., zabitego w zasadzce przez UPA. Opracowano ostateczny plan likwidacji UPA, a żeby uchronić ludność przed skutkami nowych walk, tych, którzy czuli się Ukraińcami, przesiedlono na tereny Ukraińskiej SRR, a tym, którzy chcieli zostać w Polsce, umożliwiono przesiedlenie się na Ziemię Zachodnie i Północne.

Rozgorzały walki, które przyniosły ostateczną likwidację UPA. W Bieszczadach zapanował spokój, przez lasy i parowy poprowadzono nowe asfaltowe drogi, na gruzach spalonych wsi zaczęto wznosić nowe osiedla. Teren ten stał się ośrodkiem przemysłu drzewnego i prawdziwym rajem dla turystów. Można tu znaleźć spokój i wypoczynek, wędrować przez górskie bezdroża, zwiedzać stare cerkiewki, gdzie wiszą przepiękne ikony związane z wierzeniami dawnej tutejszej ludności. Tu i ówdzie zresztą, w ocalałych od pożogi wojennej wioskach, mieszkają potomkowie Łemków i Bojków; to od nich właśnie, jak mówił mi pan Tomasz, tajemniczy młodzieniec na motocyklu kupował stare ikony, przemycane następnie do Wiednia.

Dzisiaj, na dzień przed wyruszeniem w drogę, zadzwoniłem do ministerstwa. Poinformowano mnie, że pan Tomasz jest nieobecny, ponieważ wczoraj wyjechał do Pragi Czeskiej. Dziwne, prawda? Przecież nic nie mówił o swej podróży do Pragi. Czyżby wpadł na jakiś trop przemytników ikon?

Ciekawe, czy spotkam się z nim w Bieszczadach?...

Z DZIENNIKA BAŚKI (C.D.)

Po całodziennej podróży koleją wysiedliśmy na stacji w Zagórzcu i udaliśmy się do pobliskiej wioski, do pana Jana Sekundusa. Pozwolił nam rozłożyć pierwsze nasze obozowisko w sadzie koło swego domu.

Pan Sekundus to przemiły staruszek, z wielką siwą brodą. Pokazał nam swoją kolekcję starych ikon, a wśród nich prastarą i niezwykle drogocenną ikonę z XVI wieku, zrobioną ze srebra. Ma on także wiele innych ciekawych zabytków kultury z tych okolic, zrobił też dla nas wykaz miejscowości, które posiadają godne uwagi zabytki i doradził nam, abyśmy je zwiedzili. Gdy znalazła się sposobna chwila, powiedziałem mu, że znam pana Tomasza, i zapytałem, czy nie ma jakichś nowych wiadomości o osobnikach skupujących w Bieszczadach stare ikony. Niestety, pan Sekundus nic w tej sprawie nowego nie wiedział. Usłyszałem jednak od niego, że przed kilkoma dniami odwiedził go pewien osadnik z okolic Bystrego, obejrzał zbiór i zapytał, czy pan Sekundus nie sprzedałby którejś z ikon, bo on chciałby mieć w swoim domu ikonę, ponieważ jest prawosławny. Pan Sekundus odrzekł mu, że ikony, i to nowe, można kupić w warszawskiej Desie. Wówczas ów człowiek wyjaśnił, że stare ikony są poświęcane, a nowe nie. Dziwił się, po co Sekundusowi tyle ikon. Jak się wyraził: „do grobu ich pan z sobą nie zabierze, a na starość warto posiedzieć w sanatoriach i reperować zdrowie, na co trzeba dużo pieniędzy”; on zaś za ikonę gotów jest dobrze zapłacić. Pan Sekundus odpowiedział chytrze, że się namyślił, i w związku z tym zapytał o adres tego człowieka. Tamten odparł, że nazywa się Józef Gnat i najlepiej o drogę do niego wywiedzieć się w Bystrem, które leży przy szosie z Baligrodu do Cisnej. Czy ten człowiek ma jednak coś wspólnego z tymi, co skupują ikony i potem przemycają je za granicę? Pan Tomasz wspominał o młodym chłopaku, który jeździ motocyklem po wsiach. A to mężczyzna w średnim wieku.

W każdym bądź razie postanowiłem tak pokierować naszą wycieczką, żebyśmy mogli odwiedzić zagrodę Józefa Gnata. Wieczorem popatrzyłem na mapę i doszedłem do wniosku, że nie będzie to trudne, ponieważ właśnie tamtędy wypada nam trasa na Chryszczatą.

Nocowaliśmy w Lesku, które jest jakby bramą wypadową w Bieszczady. Nad brzegiem Sanu znaleźliśmy wolne miejsca w domkach campingowych, nie było więc kłopotu z rozbijaniem obozu i nie musieliśmy sobie przygotowywać śniadań ani kolacji, bo na campingu była stołówka.

San to piękna rzeka. Jej bystre wody przelewają się przez ogromne głazy, które wystają z dna. Pływanie po takiej rzece kajakiem wymaga dużych umiejętności i dobrego, mocnego sprzętu. Ja bardzo lubię wodę i postanowiłem w przyszłości wziąć udział w spływie kajakowym po Sanie.

Miasteczko Lesko jest małe i nie wydało mi się ciekawe. Obejrzelśmy wznoszący się na dość stromej górze średniowieczny zamek, należący do słynnego rodu Kmitów, a potem Stadnickich. To właśnie tutaj ukrywał się przez jakiś czas słynny „diabeł łańcucki”, Stanisław Stadnicki, największy awanturnik, warchoł, zabijaka i okrutnik, który grasował w Polsce na przełomie XVI i XVII wieku. Zamek w Lesku był wielokrotnie przebudowywany, niewiele więc pozostało z jego dawnego charakteru. Obecnie jest w stylu klasycystycznym, a wiąże się z osobą słynnego poety Wincentego Pola, mieszkającego ongiś w tych stronach, podobnie zresztą jak wielki pisarz polski, Aleksander Fredro, którego rodzina miała majątki w okolicach Leska.

Nazajutrz wczesnym rankiem pomaszerowaliśmy w stronę Chryszczatej. Wygodną asfaltową szosą szliśmy najpierw wzdłuż lewego brzegu Sanu, piękną malowniczą doliną. Przez kilka kilometrów wciąż mogliśmy podziwiać tę rzekę, dość szeroką, lecz bardzo płytką, zaledwie po kostki. Podobno tylko wiosną i jesienią San bywa groźny, gdy wzbiera gwałtownie po deszczach. Płyne w kamiennym korycie, dzięki czemu woda szybko nagrzewa się od słońca. Po drodze dwukrotnie kapaliśmy się i stwierdziliśmy, że jest bardzo ciepła.

Aż do wsi Hoczew towarzyszył nam z prawej strony San, a po lewej lesiste wysokie stoki góry Czulni, wysokiej na 576 m. Przed wsią Hoczew szosa odchodzi od Sanu i odtąd prowadzi doliną rzeki Hoczewki, przeskakując mostami raz na jej lewy, raz na prawy brzeg.

W Hoczwi zwiedziliśmy stary kościół zbudowany w 1510 roku i staropolską karczmę. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Hoczew opisuje Fredro w utworze „Trzy po trzy”.

W Hoczwi dopisało nam szczęście. Pan profesor zatrzymał jadącą do Baligrodu pustą ciężarówkę, która zabrała naszą gromadę. W ten sposób drogę do Baligrodu przejechaliśmy szybko i wygodnie. Obiad zjedliśmy w gospodzie, a następnie zwiedziliśmy miasteczko. Narwaliśmy polnych kwiatów i złożyliśmy je na cmentarzu 34 pułku piechoty, który szczególnie odznaczył się w walce z oddziałami UPA.

Teraz zacytuję słowa Fredry, które znalazł w przewodniku po Bieszczadach profesor Hilary:

„Za Baligrodem, tam granica świata. Wjeżdża się jak w czarne gardło. Droga i rzeka to jedno i to samo, a od rzeki z jednej i drugiej strony wznoszą się czarne ściany jodeł i smreków”.

I tak samo jest jeszcze dzisiaj. Te same czarne ściany jodeł i smreków, tylko że droga teraz jest wygodna, asfaltowa. Dolina rzeki Hoczewki, zwanej tu Jabłonką, zwęża się, co daje wrażenie, jakby wchodziło się w czarną gardziel.

Lecz oto przystanek PKS-u o nazwie Bystre. Odgałęzia się stąd droga w prawo do Rabego, prowadząca wzdłuż potoku o tej samej nazwie. Rabe — to była kiedyś duża wieś, gdzie mieli swój piękny dwór rodzice Aleksandra Fredry. Teraz jednak wieś ta już nie istnieje.

Droga wzdłuż potoku Rabego jest bardzo malownicza. Za zakrętem doliny otwiera się widok na gołoborze, stok usłany głazami, wśród których kurczowo trzymają się urwiska karłowate świerki, jarzębiny i osiki. Tutaj też — jak dowiedzieliśmy się od profesora Hilarego — znajduje się rezerwat geologiczny, stanowiący ochronę dla źródeł mineralnych arsenowo-żelazistych. Być może kiedyś w tym miejscu zbudowane zostanie jakieś sanatorium dla chorych na serce.

Po drodze napotkaliśmy nowe zabudowania, lecz poza tym — zupełne pustkowie.

Przy zabudowaniach odpoczywali robotnicy, zapewne drwale. Poinformowali nas, że na Chryszczatą możemy pójść albo ścieżką przez ruiny dawnej wsi Rabe, albo wzdłuż bocznego potoku przez spaloną przez ukraińskich faszystów wieś Huczvice. Potem już sami zorientujemy się w kierunku marszu, gdyż ujrzymy zielony masyw Chryszczatej.

Gdy profesor i chłopcy oddalili się nieco, wróciłem do robotników i zapytałem o zagrodę Józefa Gnata.

— Musisz pójść brzegiem bocznego potoku przez Huczvice. Za tą wsią, nad potokiem, stoi zagroda Gnata — powiedział mi jeden z robotników.

Podziękowałem za wskazówki i ruszyłem w ślad za naszą gromadką. A wtedy dogonił mnie wysoki, zarośnięty, o czarnej kudłatej głowie drwal.

— Ej, chłopcze! A co masz za interes do Gnata? — zapytał zaglądając mi w twarz.

Zapomniałem języka w gębie, tak mnie zaskoczyło to pytanie. Zająknąłem się i wybąkałem pierwsze lepsze kłamstwo, które przyszło mi do głowy.

— Słyszeliśmy, że tam można kupić jajek, sera i masła. Jesteśmy głodni i nie mamy zapasów — wyjaśniłem drwalowi.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, wzruszył ramionami i odszedł. A ja dołączyłem do naszej gromady.

Z DZIENNIKA BAŚKI (C.D.)

Piszę te słowa przy świetle elektrycznej latarki. Chcę na świeżo zanotować wrażenia z dzisiejszego dnia.

Mój zastęp sprawnie rozbijał obozowisko u podnóża Chryszczatej, a ja zawiadomiłem profesora, że zamierzam dokonać zwiadu w okolicy. Tak zawsze się robi, gdy zamierza się nocować w nieznanym terenie. Należy upewnić się, czy w pobliżu nie ma jakichś podejrzanych osobników, gdzie jest najbliższa studnia, sklep lub inne obozowisko harcerzy.

Co do mnie, miałem przede wszystkim na celu zorientowanie się w sprawie Józefa Gnata. Pomyślałem, że może ta informacja będzie potrzebna panu Tomaszowi.

Na tę wyprawę zabrałem z sobą Piątka, bo ten chłopiec od chwili naszego poznania obudził we mnie sympatię. Nie tylko dlatego, że jest najlepszym uczniem w swojej klasie i mówią o nim: „to solidna firma”. Ale podoba mi się w nim to, że mimo swych trzynastu lat nie jest jak inni rozbrykany ani hałaśliwy, ale zrównoważony i małomówny. Wydaje mi się, że gdybym nawet dopuścił go do swej tajemnicy, nie zdradziłby jej nikomu.

Najpierw wdrapaliśmy się na niewysokie wzgórze. Zorientowaliśmy się, że okolica jest bezludna, nigdzie nie widać zabudowań ani nawet pojedynczej chałupy. Tylko hen, daleko, na jakimś bezdrzewnym stoku dostrzegliśmy stado owiec.

Pamiętałem, jaki kierunek wskazali mi drwale. Wyjaśniłem Piątkowi, że chcę odnaleźć pewną samotną zagrodę w tych stronach. Piątek skinął głową, ale nie zapytał, dlaczego interesuje mnie ta zagroda. Bardzo mi się podobało, że nie okazał ciekawości.

Poszliśmy na przełaj przez wzgórza porośnięte krzakami. Wspięliśmy się znowu na pagórek i wtedy Piątek zatrzymał się. On pierwszy dojrzał biały, pokryty eternitem dach jakiegoś domu.

Podeszliśmy bliżej i zobaczyłem zagrodę Józefa Gnata, który interesował się starymi ikonami.

Mieściła się ona nad rwącym potokiem, przepływającym dnem bardzo głębokiego jaru o stromych kamienistych ścianach. Tuż obok potoku biegła po jednej stronie dość stroma droga aż do bramy i ogrodzenia zrobionego z grubych bali. Oparty jakby plecami o strome wzgórze — stał długi dom z ociosanych bali drzewnych. Dom był obszerny, a na jego przedłużeniu znajdował się budynek gospodarczy, coś jakby stajnia i wozownia, a może obora. Od strony potoku zagroda nie miała płotu, ale był on niepotrzebny, ponieważ potok wiosną i jesienią stawał się nie do przebycia. Nad potokiem przerzucona została wąska, chwiejąca się kładka. Gdy się ją ściągnęło, zagroda zamieniała się w twierdzę.

Wyglądało to wszystko bardzo malowniczo, jakby dekoracja do filmu o Dzikim Zachodzie. Przez chwilę wydawało się nam, że na podwórzu albo na drodze do potoku zobaczymy jadącego konno Indianina, kowboja albo traperę objuczonego skórąmi upolowanych zwierząt.

I rzeczywiście — ktoś szedł drogą nad potokiem. Poznałem go już z daleka. Był to robotnik leśny, ten sam czarny wysoki kudłacz, który chciał wiedzieć, dlaczego pytam o zagrodę Józefa Gnata.

— Kryj się! — szepnąłem do Piątka.

A on, choć nie wiedział, dlaczego powinien się kryć, szybko przykucnął za dużym głazem. Niewidoczni z dna jaru, mogliśmy doskonale obserwować i słyszeć wszystko, co działo się w zagrodzie.

Czarny kudłacz — bo tak go będę nazywał — podszedł do zamkniętej bramy i uderzył w nią czymś w rodzaju drewnianej kołatki zawieszanej na sznurku.

Hałas wywabił z budy ogromnego psa, który straszliwie ujadając rzucił się do bramy. Zwierzę wyglądało na bezlitosną bestię, aż mrówki przeszły mnie po grzbiecie, gdy pomyślałem, co by to było, gdyby pies wyczuł naszą obecność. Ale jego interesował w tej chwili tylko obcy człowiek za bramą. Pies był tak rozjuszony, że aż zębami gryzł belkę w bramie, już nie ujadał, tylko wściekle charczał.

Z domu wyszła wysoka kobieta w średnim wieku, w chustce na głowie.

— Do budy! — krzyknęła na psa. A ten posłusznie uciekł na swoje legowisko, przestał szczekać i warczeć.

Kobieta podeszła do bramy i spojrzała przez szczelinę między belkami.

— Nie ma męża — oświadczyła kudłaczowi. — Jest w Cisnej, w kiosku. Więc jeśli ma pan jakiś interes, to proszę przyjść wieczorem.

Kudłacz przestąpił z nogi na nogę, jak gdyby zastanawiając się, czy swoją sprawę wyłuszczyć kobiecie, czy też przyjść wieczorem do jej męża. Wreszcie powiedział:

— Pan Gnat mówił mi, że jak zauważę w okolicy coś podejrzanego, to żebym go zawiadomił. Obiecał za to zawsze wynagrodzić.

— A co pan zauważył?

— Dziś po południu przechodzili koło leśniczówki jacyś harcerze. Najpierw pytali o drogę na Chryszczatą. A potem jeden z nich chciał wiedzieć, gdzie jest zagroda Józefa Gnata.

— O nas pytał? — zdziwiła się kobieta.

— Powiedział mi, że podobno masło i jaja można u Gnata kupić.

— Masło? Jajka? Przecież ja kur nie trzymam, bo lisy porywają. Krowy też nie mamy. Nikomu nigdy masła ani jajek nie sprzedawałam...

— Mnie się to też dziwne wydało — kiwał głową kudłacz — bo wiem, że pani ani kur, ani krowy, ani świń nie trzyma. Zaraz więc pomyślałem, że to jakaś podejrzana historia, i przyszedłem o niej mężowi powiedzieć.

Kobieta zastanawiała się chwilę. A potem rzekła:

— Powiem o tym mężowi, jak przyjedzie z Cisnej. I niech pan do nas któregoś dnia wpadnie wieczorem, to mąż pana wynagrodzi.

Kudłacz ukłonił się grzecznie i ruszył w powrotną drogę. Kobieta odeszła od bramy, jakiś czas stała zamyślona na środku podwórza. Wreszcie cmoknęła na psa, zawołała: „Rex, pilnuj domu!” i zniknęła w drzwiach chałupy.

A pies znowu wyskoczył z budy i jak wściekły zaczął się kręcić po podwórzu.

„Zaraz nas zwęszy” — pomyślałem. Kiwnąłem ręką na Piątka. Daliśmy drapaka co sił w nogach i dopiero na sąsiednim wzgórzu zatrzymaliśmy się dla złapania oddechu.

— To ty byłeś tym harcerzem, co pytał o Józefa Gnata? — domyślił się Piątek.

— Ja — odparłem szczerze, bo nie miało sensu kręcić.

Nie ciągnął mnie dalej za język, skoro zorientował się, że sam nie chcę niczego wyjaśnić. Stwierdził tylko:

— Dziwna to jakaś zagroda. Wygląda jak twierdza. I nawet własny wywiad w okolicy mają...

Było dla mnie oczywiste, że Józef Gnat czegoś się boi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

VACLAVSKIE NAMIESTI • SPRAWA NABIERA RUMIEŃCÓW • WIZYTA U WŁAMYWACZA • PLAN LUDMIŁY • ROZWIĄZANIE TURNIEJU • ZAGADKOWA CYFRA • DLACZEGO PRZEŁAMANO TALIZMAN • KAWALEROWIE BRACHTWA RÓŻOKRZYŻOWCÓW • TAJEMNICA MAGÓW I TALIZMANÓW • MISTYCZNE KSIĘGI • WIADOMOŚĆ OD LUDMIŁY

Nikt dokładnie nie wie, dlaczego miejsce to nazwano placem. Może dlatego, że ongiś był tu koński targ, a jak wiadomo, końmi handluje się nie na ulicy, lecz na placu. Dziś jest to po prostu bardzo szeroka i dość długa ulica o współczesnym, wielkomiejskim charakterze — wysokie domy, wielkie hotele, bogate sklepy i wystawne restauracje. Na placu stoi konny posąg świętego Wacława, domyślcie się więc chyba, że chodzi o Vaclavskie Namiesti, najbardziej ruchliwy punkt współczesnej Pragi.

Z ogromnym trudem przebiłem się przez samochodowy korek i znalazłem wolny skrawek chodnika przed hotelem „Ambasador”. Parking ten okazał się płatny, ale nie miałem wyboru. Praga jest bogata w samochody, wątpliwe, czy znalazłbym w tej okolicy wolne bezpłatne miejsce na parkowanie. A zbliżała się dwunasta, to jest pora, gdy miałem stawić się na spotkanie przy pomniku świętego Wacława.

Zazwyczaj na takie spotkanie lubię przyjeżdżać nieco wcześniej, bo cenię sobie punktualność. Lecz dzisiaj od samego rana tkwiłem w warsztacie samochodowym, gdzie do wehikułu wstawiano nowy zamek od czeskiej skody.

Za trzy dwunasta stanąłem przed pomnikiem, psa zostawiając w dobrze zamkniętym wozie. Nie nudziłem się czekając na Jarosława i Ludmiłę. Tuż u stóp pomnika przelewał się tłum ludzki, za plecami miałem Muzeum Narodowe — monumentalną renesansową budowlę wzniesioną na miejscu dawnej Końskiej Bramy. Dzień był słoneczny, łagodny wiatr buszujący po ulicach Pragi przynosił od Wełtawy przyjemny chłodek. Nie czekałem długo —

wkrótce zobaczyłem nadchodzącego pana Dohnała, a obok niego Ludmiłę, z kamerą filmową przewieszoną przez ramię.

— Pańska sprawa zaczyna nabierać rumieńców — oświadczył mi po przywitaniu pan Jarosław. — Byłem w komisariacie milicji na Małej Stranie, gdzie zatrzymano Blachę. Okazuje się, że włamywacz mieszka na Bojiszti, tak jak ten Blacha, który sprzedał halicką ikonę. Innymi słowy to na pewno ten sam młodzieniec, bo imię też się zgadza.

— Dziwny zbieg okoliczności...

— A tak. Zdenek Blacha zeznał milicji, że powodem włamania był zakład. Jego koledzy twierdzili, że nie potrafi włamać się do salki muzealnej, a on chciał udowodnić, że potrafi to zrobić. No i zrobił.

— Nie bardzo wiarygodne.

— Oczywiście. Ale należy przyjąć tę wersję za prawdziwą, ponieważ w pracowni alchemicznej nie znajdowało się nic cennego. Zresztą, jak wiemy, ukradł z niej tylko kawałek miki i starą blaszkę. Młodzieniec zeznał, że zabrał te rzeczy, aby dowieść kolegom, że rzeczywiście dokonał włamania. Prokurator zakwalifikował jego czyn jako postępek chuligański i Blacha stanie przed Kolegium Orzekającym. Milicjanci nie widzieli powodu, aby go trzymać w areszcie, bowiem kolegium skarże go zapewne jedynie na grzywnę, jako że szkoda materialna jest niewielka.

— W takim razie jedziemy na Bojiszti, do Blachy — zdecydowałem ruszając w kierunku wehikulu zaparkowanego przed „Ambasadorem”.

Nagle zatrzymałem się.

— Tam, do licha! Zapomniałem o ikonie. Czy porozumiał się pan, panie Jarosławie, z dyrektorem muzeum, które kupiło ikonę Zdenka Blachy?

— Naturalnie. Dlatego proponuję, żeby najpierw pojechać do muzeum, a dopiero potem do Blachy.

To było bardzo logiczne i natychmiast przystałem na ten plan.

— A jak zagadka? Rozwikłał pan tajemnicę srebrnej blaszki? — dopytywała się Ludmiła.

— Myślę, że tak — skinąłem głową i wręczyłem jej złożoną we czworo karteczkę z zapisanym przeze mnie rozwiązaniem.

Ludmiła odetchnęła z ulgą.

— Bardzo się martwiłam. Obawiałam się, że pan Skwarek zatriumfuje nad panem.

— Nie lubisz pana Skwarka? — zdziwił się Dohnal. — To przecież bardzo sympatyczny młodzieniec. I chyba rzeczywiście inteligentny.

Ludmiła zastanowiła się.

— Straciłam do niego sympatię, gdy zaczął wyśmiewać się z wehikułu pana Tomasza. To bardzo nieładnie drwić z czegoś tylko dlatego, że nie jest podobne do tego, co się zazwyczaj ogląda.

— Mój pojazd nie jest ładny — usiłowałem bronić Skwarka.

— Ale czy on pomyślał, że może pana po prostu nie stać na inny? — zapytała Ludmiła.

— Och, nie zamieniłbym go na żaden inny samochód. Uważam, że to najlepszy wóz na świecie. Otrzymałem go od swego wuja, zapoznanego wynalazcy.

Ludmiła uśmiechnęła się.

— I jest pan do niego przywiązany, jak moja mama była przywiązana do maszyny do szycia, którą dostała od swojej babci. Stara, poruszana nogą maszyna do szycia wydawała jej się sto razy lepsza od maszyn elektrycznych.

— No, niezupełnie tak wygląda sprawa mojego wehikułu — odrzekłem.

I chciałem powiedzieć, że mój samochód jest lepszy od innych, od tych wspaniałych wozów z błyszczącą karoserią. Ale to nie była pora na tego rodzaju wyjaśnienia. Spieszyliśmy się do muzeum i do Blachy.

Otworzyłem drzwiczki. Widok Ludmiły sprawił Prota w największą radość. Nie uspokoił się, dopóki kilkakrotnie nie liznął jej policzka. A gdy usiadła obok niego na tylnym siedzeniu, wydawało się, że zachwyt Prota osiągnął szczyty. Położył jej głowę na kolanach i liznął rękę dziewczynki. No cóż, zapewne i psy mają swoje sympatie i antypatie.

W muzeum, które kupiło ikonę Zdenka Blachy, przyjął nas w swym gabinecie kustosz, pan Ludomir Kamenik, wysoki, szczupły mężczyzna z wielką łysiną. Na jego biurku czekała już ikona, uprzedzony bowiem telefonicznie przez pana Dohnalę, przygotował się na nasz przyjazd.

— Określiliśmy ją na koniec XV wieku — powiedział podając mi do ręki niedużą deskę. — Tempera, ma format czterdzieści na pięćdziesiąt centymetrów. Stan jeszcze dość dobry, ale rzecz jasna, wymaga konserwacji i odświeżenia.

— Chrystus Archeiropoietos — stwierdziłem.

Na desce zobaczyłem bowiem namalowaną twarz Chrystusa, a raczej jego głowę w złotej aureoli, wyłaniającej się jakby z biało-szarej draperii czy całunu. Długie włosy opadały symetrycznie ku dołowi w wężowych splotach, spiczasta bródka, pociągła twarz, głębokie zmarszczki na czole, wąski nos, mocno zarysowane brwi, czyniące twarz Boga zarazem piękną i surową.

Chrystus Archeiropoietos, czyli po grecku „Chrystus nie ręką stworzony”. Rozwijające się przez wiele wieków malarstwo ikonowe wykształciło typowe przedstawienia malarskie, jakbyśmy to powiedzieli: schematy prezentowania Boga, Matki Boskiej i świętych. Do takiego schematu ikonowego zaliczał się także Chrystus Archeiropoietos. Obraz przedstawiał

tylko samą głowę, nawet bez szyi, jakby odciętą od tułowia i położoną na rozwieszonej draperii.

— Wydaje mi się, że obraz ten był kiedyś o wiele większy — mówił dalej kustosz. — Przynajmniej pięćdziesiąt na osiemdziesiąt centymetrów, a więc lekko podłużny. I chyba wisiał nad carskimi wrotami w jakiejś cerkwi. Z biegiem czasu być może brzegi deski popękały i ktoś obciął, jak mu się zdawało, zbyt duże tło, pozostawiając jedynie samą twarz.

— Zgadza się z panem — powiedziałem wyjmując z kieszeni podręczną lupę. — Draperia, z której wyłania się głowa Chrystusa, zazwyczaj przytrzymywana jest przez postacie aniołów.

Jak już wspomniałem, malarstwo ikonowe operuje pewnymi schematami. Na przykład należy do nich kompozycja „Deesis”, przedstawiająca Chrystusa jako Sędziego, do którego w modlitewnych gestach zwracają się Matka Boska i święty Jan Chrzciciel. Odrębny rodzaj to typ Chrystusa Pantokratora, uosabiającego ideę Ojca i Syna w jednej osobie. Typowe jest również przedstawienie Matki Boskiej Hodegetrii, czyli Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręce, oraz odmiana tego typu, tak zwana „Umilenija” — Matka Boska uosabiająca ideę boskiego macierzyństwa.

Z biegiem lat utrwalił się też pewien schemat rozmieszczania świętych obrazów w cerkwi, powstał ikonostas, jakby ściana oddzielająca w cerkwi ołtarz od nawy. Na tej ścianie z dwójgiem drzwi — a to są właśnie „carskie” i „diakońskie wrota”, czyli przejścia kapłańskie — rozwieszano ikony w określonym porządku. Główne miejsce w ikonostasie zajmowała kompozycja „Deesis”, z dwoma rzędami obrazów przedstawiających apostołów i dwóch archaniołów. Powyżej wisały mniejsze formatem sceny z życia Marii i Chrystusa. Zwieńczenie ikonostasu stanowiła zazwyczaj Pasja: Chrystus na krzyżu. Drzwi carskich wrót także były przyozdobione malarsko, a nad nimi wisiał często właśnie Chrystus Archeiropoietos.

Dlaczego „nie ręką stworzony”? Warto wiedzieć, że w dawnych wiekach malarstwo ikonowe było uznawane za „sztukę boską”. Malował oczywiście człowiek, ale uważano, że w momencie aktu twórczego jego ręką i pędzlem kierują jakieś wyższe siły, jak gdyby Bóg malował i przedstawiał sam siebie, malarz zaś pozostawał jedynie ślepym narzędziem. Stąd właśnie określenie „Archeiropoietos”.

— Skłonny jestem również sądzić — mówił dalej kustosz, gdy ja oglądałem obraz przez lupę — że ta ikona pochodzi ze szkoły halickiej, na co wskazują jaskrawe, śmiałe zestawienia barw. Proszę zwrócić uwagę, że twarz Chrystusa, mimo całej surowości rysów, jest łagodna, ba, nawet pogodna. Szkoła halicka, jak wiemy, obejmowała swoim wpływem dość spory obszar i nie tak rzadko spotykamy się z tego typu ikonami także po naszej stronie granicy...

— Ta ikona została przemycona — przerwałem mu odkładając lupę.

— Czyżby? Nie ma pan żadnych podstaw... — zmarszczył czoło kustosz.

Nikt bowiem nie jest zadowolony, gdy raptem okaże się, że kupiona rzecz pochodzi z nielegalnego źródła.

— Tak, została przemycona — powtórzyłem — a nawet mogę powiedzieć, w jaki sposób. W związku z modą na ikony nasi plastycy malują według starych wzorów ikony na deskach.

Rzecz jasna, wolno je wywozić za granicę, jeśli posiadają na odwrocie stempel konserwatora. Cóż prostszego, niż delikatnie przepiłować potem deskę i część ze stemplem przykleić misternie na tył starej ikony? Celnicy nie są rzeczoznawcami dzieł sztuki i nie odróżniają starej ikony od ikony współcześnie malowanej, podrobionej na starą. Dla nich ważny jest stempel na odwrocie i zezwolenie na wywóz. A po przekroczeniu granicy, coś prostszego, niż odkleić nowe drewno od starego. Oczywiście tego numeru już się więcej nie uda powtórzyć. Odbyliśmy naradę z celnikami i ustaliliśmy, że w przypadku przewożenia malarstwa na desce celnicy mają obowiązek dokładnego sprawdzenia krawędzi obrazu i stwierdzenia, czy deska nie została spreparowana przez podklejenie. Na odwrocie tej ikony widać przez lupę resztki kleju i okruszki papieru ściernego. Ktoś starannie wycierał klej. No, udowodnienie faktu przemytu będzie teraz bardzo trudne. Ów ktoś może się bowiem bronić mówiąc, że wysmarował klejem tył ikony, bo deska tu i ówdzie pęka, a potem, decydując się na sprzedaż, klej stał papierem ściernym. Mimo tego pan pozwoli, że sporządzę odpowiedni protokół. Z ramienia polskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki prowadzę śledztwo w sprawie przemytu ikon i jeśli udowodnię jego związek z tą ikoną, być może wyłoni się ewentualność odkupienia od was obrazu.

— Uczynię to z prawdziwym żalem. Ikona jest bardzo piękna — westchnął kustosz.

Niemniej jednak sporządziłem protokół w dwóch egzemplarzach. Jeden pozostawiłem kustoszowi, a drugi schowałem do portfela. Pożegnaliśmy kustosza i opuściliśmy gmach muzeum.

Zaparkowaliśmy teraz wóz przed słynną piwiarnią „U Kalicha”. Ludmiła została w wehikule, a ja z panem Dohnalem poszedłem pod znany nam adres.

— Zdenek Blacha? Panowie pytają o Zdenka Blachę? — zastanawiał się jakiś nie ogolony jegomość stojący w bramie. On mieszka u dozorczyńni, pani Prohaskowej. To jego ciotka.

Mieszkanie dozorczyńni znaleźliśmy bez trudu. Wejście znajdowało się w wysokiej bramie. Drzwi były na oścież otwarte i wydobywały się z nich kłęby pary, bo Prohaskowa właśnie urządziła pranie.

— Nie ma go w domu. Gdzieś poszedł. A co znowu znalazł? — z niepokojem zapytała wycierając ręce w ścierkę.

Zapewne wiedziała, że nie tak dawno Zdenek siedział w areszcie. Może sądziła, że i my jesteśmy z milicji? Wyglądało na to, że Zdenek nie był kryształową postacią i u swej ciotki nie miał najlepszej opinii.

— Przyszliśmy do niego z interesem — oświadczył pan Dohnal tonem możliwie życzliwym, aby wzbudzić zaufanie pani Prohaskowej.

— Zdenek sprzedał w sklepie z dziełami sztuki stary święty obraz, czyli ikonę. Byłem rzeczoznawcą i dobrze mu ten obrazek wyceniłem. A teraz znalazł się pewien cudzoziemiec — wskazał na mnie — i chciałby też mieć podobny obraz. Może Zdenek ma jeszcze jeden taki sam albo może się o podobny wystarać?

Pani Prohaskowa, tęga kobieta w chustce na głowie, aż ręce złożyła na swym okazałym brzuchu.

— Ludzie kochani! Zdenek wziął się za handel świętymi obrazami? A za co siedział w areszcie na Małej Stranie?

— Tego to ja już nie wiem — wykrętnie odparł pan Dohnal.

— Święty obraz sprzedał legalnie i dostał za niego piętnaście tysięcy koron.

— Piętnaście tysięcy?! — zdumiała się pani Prohaskowa. — Boże drogi, tyle pieniędzy! A że ma ich ostatnio w bród, to fakt. Ubrał się w jakieś kolorowe szmaty, kupił sobie nowe buty. Skąd on wziął ten święty obraz?

— Tego to ja już nie wiem, droga pani — powtórzył pan Dohnal. — Mówił mi, że znalazł na strychu. Ojciec jego podobno skądś przywiózł ten obraz.

— Jego ojciec z Pardubic? — zdziwiła się pani Prohaskowa.

— Przecież jego rodzice mieszkają w Pardubicach, to znaczy moja zameżna siostra. Sześcioro ma dzieci, toteż jednego, tego Zdenka, od niej wzięłam, bo jestem bezdzietna. Nicpoń z tego chłopaka, więc teraz żałuję. A u nas na strychu nie mógł niczego znaleźć, bo strychy mamy puste ze względu na bezpieczeństwo przeciwpożarowe.

— Może na czymś innym strychu znalazł — znowu bardzo grzecznie powiedział pan Dohnal. — Nas zresztą, proszę pani, nie interesuje ta sprawa. Chcemy mieć jeszcze jeden taki obraz. Więc jeśli Zdenek się pojawi, to może pani będzie tak łaskawa i powie mu o tym. Dobrze zapłacimy.

— A do kogo ma się zgłosić? — zapytała.

Pan Dohnal zapisał numer telefonu swego mieszkania i pozostawił kartkę pani Prohaskowej.

Ukloniliśmy się jej grzecznie i wróciliśmy do wehikułu.

— Sprawa zaczyna wyglądać coraz bardziej podejrzanie — stwierdził pan Dohnal. — Ciekawym, czy Zdenek zatelefonuje?

— Wątpię — odparłem szczerze. — Jeśli Zdenek Blacha należy do gangu przemytników, to nasza wizyta wzbudzi w nim niepokój. Zechce skontaktować się z innymi członkami gangu. I dopiero jeśli uzyska od nich zgodę, spróbuje porozumieć się z nami. Ale wątpię, czy gang mu na to pozwoli.

— Może więc warto go śledzić? — zabrała głos Ludmiła. — Ja to mogę zrobić. Tato opisze mi Blachę, a ja pospaceruję po ulicy ze swoją kamerą, niby to robiąc zdjęcia. A gdy Blacha wróci do domu, a potem wyjdzie, pójdę za nim i dowiem się, gdzie ten gang urządza.

— Nie, Ludko — odparłem — porozumienie może nastąpić przy pomocy telefonu. Śledzenie Blachy nic nam nie da. O wiele lepiej uczynimy, jeśli przyjedziemy tu jeszcze raz, wieczorem. I zaskoczmy go.

— A skąd będziemy wiedzieć, że Blacha będzie w domu? — zapytał pan Dohnal. — I w ogóle co nam da rozmowa z Blachą? On znowu zacznie opowiadać jakieś kłamstwa. Najlepiej od razu porozumieć się z milicją. Wezwą go i zapytają, skąd wziął ikonę.

— I zrobi się z tego zaraz wielka afera, gang zwinie manatki w Pradze i zwieje, a ja stracę trop — odrzekłem. — Jedyna rada to w dalszym ciągu odgrywać rolę takich, co chcą kupić ikonę.

Ludmiła zgodziła się ze mną.

— Pan Tomasz ma rację. Najważniejsze to osobiście porozmawiać z Blachą. Jego kłamstwa też mogą być wymowne, prawda?

— Tak jest — odparłem.

— Po obiedzie — ofiarowała się Ludmiła — przyjadę na Bojiszti ze swoją kamerą, dowiem się, czy Blacha jest w domu, i dam wam znać telefonicznie.

Kilka minut po pierwszej znaleźliśmy się, znowu na Vaclavskim Namiesti. Obiad mieliśmy zjeść o godzinie szesnastej, a ponieważ Ludmiła miała interes do swej koleżanki, więc wysiadła przy pomniku świętego Wacława, ja zaś postanowiłem pojechać do biblioteki na Kržišovnickim Namiesti.

Okazało się, że pan Dohnal także bardzo chętnie odwiedzi bibliotekę, w której zresztą bywał częstym gościem.

— Powiem panu w tajemnicy — oświadczył mi, gdy jechaliśmy w stronę Starego Miasta — że przygotowuję zbiorek starych legend o Pradze. Zwłaszcza interesują mnie legendy związane ze starym żydowskim cmentarzem i rabinem Löwe. Jedno z wydawnictw wyraziło już chęć zakupienia mojej pracy, ale mam jeszcze daleko do końca. Wciąż grzebię w starych księgach.

Klementinum, czyli dawny konwikt jezuicki, a obecnie Biblioteka Państwowa, jest jednym z największych tego typu obiektów w Europie Środkowej. Mieści się tu również Biblioteka Uniwersytecka, założona jeszcze w XIV wieku. W pięknej barokowej budowli, którą wznoszono prawie przez sto lat, kryje się słynny „Kodeks Wyszehradzki”, „Pasjonat” przeoryszy Kunhuty, „Biblia Velislava”, rękopis Husa i trzy miliony innych wspaniałych dzieł.

Klementinum znajduje się jakby na przedłużeniu mostu Karola i stanowi od tej strony początek Starego Miasta. Zamyka je czworobok ulic, a do bibliotek wchodzi się przez główny portal obok kościoła św. Salwatora na Kržišovnickim Namiesti. Stąd na ulicę Paryską jest już tylko kilka kroków. Mieliśmy więc sporo czasu na lekturę w zacisznych czytelniach Klementinum.

Nie wiem, jakie książki wypożyczył pan Dohnal. Co do mnie — poprosiłem o Larsa: „Das Geheimnis der Amulette und Talismane”, co znaczy „Tajemnica amuletów i talizmanów”.

Zajęty lekturą, ani się spostrzegłem, jak nadeszła szesnasta i pan Dohnal odszukał mnie w czytelni. W kilkanaście minut później zaparkowałem wóz przed domem na Paryskiej.

Nie chciałem brać ze sobą Prota, ale Ludmiła, która już wróciła do domu i czekała na nas, poprowadziła psa na górę, oczywiście do łazienki. Doszło do tego, że obiad stał na stole, a dziewczynka ciągle urzędowała z Protem w łazience i trzeba ją było stamtąd kilkakrotnie wywoływać. Przyszła do stołu dopiero, gdy usłyszała, że panna Helenka zamierza głośno odczytać kartkę pana Skwarka i moją, czyli że ujawniona zostanie tajemnica srebrnej blaszki.

Panna Helenka była znakomitą kucharką. Uwzględniając fakt, że zaczęła przyrządzać posiłek dopiero po przyjściu z pracy, to jest po piętnastej, obiad okazał się znakomity, a nawet określiłbym go — wykwiniony. Z prawdziwą melancholią pomyślałem o nędznych obiadkach w stołówce ministerialnej.

Urzeczony smakowitością obiadu, popełniłem okropny błąd, zapomniałem bowiem, jak bardzo panna Helenka pragnie upodobnić się do mężczyzny.

— Jest pani znakomitą gospodynią — stwierdziłem. — Świetnie pani gotuje, co się dziś coraz rzadziej zdarza u kobiet. Mąż pani będzie miał dobrze prowadzony dom.

Na te słowa panna Dohnalowa aż poczerwieniała i ujęła się pod boki.

— Ach tak? Więc widzi mnie pan tylko w roli kury domowej?

— Ależ nie! Nie to miałem na myśli... — zacząłem się niezręcznie wycofywać.

— Niech pan nie zaprzecza! — zawołała oburzona. — Gdy tylko pana poznałam, od razu się domyśliłam, że należy pan do mężczyzn, którzy z każdej kobiety chcieliby zrobić kucharkę i sprzątaczkę. Nie, proszę pana. Ja się do tej roli nie nadaję! Uważam, że jestem nie gorszym kustoszem od mężczyzny i rola gospodyni domowej wcale mi nie odpowiada.

Magister Skwarek przytaknął jej przypoehlebnie:

— Ma pani rację, panno Helenko. Ja też jestem zwolennikiem prawdziwego równouprawnienia kobiet.

— Mój przyszły mąż — rozwodziła się dalej panna Helenka — będzie obierał ziemniaki i gotował obiady. Co drugi dzień. Na przemian ze mną. I będzie sprzątał mieszkanie oraz niańczył dzieci. Co drugi dzień. Sprawiedliwie i równo.

— Tak, tak — przytakiwał magister Skwarek.

I oto poczułem, że w oczach panny Helenki stałem się nagle wrogiem numer jeden.

Pan Dohnal usiłował łagodzić naszą kłótnię:

— Przecież jedno drugiemu nie przeszkadza, Helenko. Można być kustoszem i dobrą gospodynią.

W mojej obronie stanęła także Ludmiła:

— Nie lubię, kiedy mężczyzna kręci się po kuchni — stwierdziła ta bardzo młoda panienka tonem starej i wytrawnej gospodyni.

— Cicho smarkata! — zgromiła ją Helenka. — Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach? Właśnie przez takie jak ty, Ruch Wyzwolenia Kobiet na całym świecie nie może odnieść pełnego sukcesu.

Na szczęście przerwaliśmy tę dyskusję, bo nadeszła pora, aby odczytać nasze kartki. Wzięła je do ręki panna Helenka i zaczęła tonem konferansjera z turnieju telewizyjnego.

— Państwo pozwolą, że podam wyniki konkursu. Na początku pan magister Skwarek. Napisał on na swej kartce: „Błaszka jest połówką talizmanu szczęścia”. Pan Tomasz zaś wyjaśnił: „Błaszka jest połówką kwadratu magicznego Jowisza”.

— O, są pewne różnice! — zawołała Ludmiła. — Pan Tomasz mówi o kwadracie magicznym Jowisza, a pan Skwarek o talizmanie szczęścia...

Zabrałem głos:

— Kwadrat magiczny Jowisza to nic innego, jak właśnie talizman szczęścia. Sporządzano go bowiem po to, aby przynosił szczęście, przede wszystkim w grach.

— Pan zna się na talizmanach, panie Tomaszu? — zainteresowała się Ludmiła. — Chciałabym bardzo wiedzieć, czy istnieje talizman, który pozwala uniknąć dwójki w szkole?

— Jest — odparł Dohnal. — Wystarczy dobrze się uczyć.

— Och, papo. Ja żartuję. Żaden rozsądny człowiek nie wierzy w talizmany.

— Naturalnie — przytaknął pan Skwarek. — Wszelkiego rodzaju talizmany i amulety to bzdury, w które rozsądny człowiek nie wierzy.

— Owszem — zgodziłem się. — Ale mimo tego i w dzisiejszym świecie istnieje ogromna produkcja i popyt na amulety i talizmany.

— Czyżby? — powątpiewał pan Skwarek.

— A tak — powiedziałem. — Przed wiekami, nie potrafiąc sobie wyjaśnić działania sił przyrody, ludzie starali się pozyskać te tajemnicze siły na swoją korzyść poprzez zdobywanie amuletów. Na przykład kły lub pazury dzikich zwierząt miały zapewnić posiadaczowi właściwości drapieżnych zwierząt. Potem talizmany i amulety robiono ze złota, srebra, z drogich kamieni, wiarę w talizmany powiązano z astrologią. Ale czas amuletów nie zniknął nawet w dobie współczesnej i chyba nie zniknie nigdy, ponieważ nigdy nie zdołamy z naszego życia wyeliminować złego lub dobrego przypadku, czyli, jak to się mówi, zrzędzenia losu. Czy dzisiejsze maskotki, które kupujemy i darujemy, nie są formą dawnych amuletów i talizmanów? Lotnicy zawieszają je w samolotach, marynarze w kajutach, maskotki wieźli ze sobą nawet astronauty na księżyc. Czy to jednak znaczy, że jesteśmy tak samo zabobonni, jak dawni ludzie? Oczywiście, nie. Młody chłopiec, kupujący dziewczynie maskotkę, w zupełnie innym sensie myśli o jej dobroczynnym dla niego działaniu. Po prostu pragnie, aby dziewczyna, ilekroć weźmie do ręki maskotkę, pomyślała o nim. I podobnie

przedstawia się wiara w magiczne działanie pewnych cyfr. Dzielimy, mnożymy, pierwiastkujemy liczby nie dostrzegając w nich nic magicznego. A jednak...

— A jednak?... — podchwyciła z zaciekawioną Ludmiła.

— A jednak, jakąż popularnością cieszą się na całym świecie przeróżne gry liczbowe! Wygrana w nich zależy od przypadkowego wyboru takich, a nie innych liczb. Przypadek, rzecz jasna, można wkalkulować również w rachunek matematyczny, ale obejmuje zbyt wielką ilość kombinacji. I dlatego rodzą się przeróżne „systemy liczbowe”. W kuponach gier liczbowych podkreślamy cyfry, które uważamy dla siebie za szczęśliwe lub związane z jakimś ważnym dla nas wydarzeniem. A czy nie jest to właśnie pozostałość wiary w magię liczb?

— Tak, ma pan rację — przytaknęła panna Helenka. — Zgadzam się z panem, że nie wyeliminowaliśmy z naszego życia ani amuletów, ani talizmanów. Przecież wczoraj kupiłam dla pana magistra Skwarka małą laleczkę słowacką, też coś w rodzaju maskotki.

— Pan dużo wie o talizmanach — z zadowoleniem stwierdziła Ludmiła. — A czy istnieje na przykład amulet miłości?

— Ludmiło! — zgromiła ją panna Helenka.

— Wiem, mam piętnaście lat i nie powinnam nawet mówić o miłości — uśmiechnęła się złośliwie Ludmiła. — Pytam po prostu przez ciekawość.

— Owszem, istnieje kwadrat magiczny Wenery, który ma przynosić szczęście w miłości — powiedziałem.

— Czy wypróbował pan już jego działanie? — zapytała ironicznie panna Helenka.

— Nie — odparłem pogodnie. — Ale w tej sytuacji, gdy mam do czynienia z tak piękną kobietą i tak silną konkurencją — w tym momencie spojrzałem na Skwarka — kto wie, czy nie będę musiał sporządzić sobie talizmanu Wenery.

— Obawiam się, że nic on panu nie pomoże, o ile nie zmieni pan swych poglądów na rolę kobiety w pożyciu domowym — rzekła panna Helenka, nieco rumieniąc się po moich słowach.

Ludmiła aż zatarła ręce.

— Wspaniale, panie Tomaszu! Zrobię furorę w szkole, gdy kwadrat Wenery pokażę koleżankom. Już ja wyciągnę od pana wszelkie informacje o talizmanach. Zrobiłabym to zaraz, ale umówiłam się z kimś i muszę iść na spotkanie.

To mówiąc, dyskretnie mrugnęła okiem do mnie i do swego ojca. Dygnawszy nam na pożegnanie, opuściła jadalnię.

A rozmowa przy stole dalej toczyła się wokół sprawy talizmanu Kelleya.

— Skoro obydwaj panowie dali trafne rozwiązanie, to nie ma tu ani zwycięzcy, ani przegranego — stwierdził pan Dohnal.

Skłoniłem się grzecznie w stronę pana Skwarka.

— Oddaję palmę pierwszeństwa panu magistrowi. On rozwiązał zagadkę natychmiast, natomiast ja potrzebowałem kilku godzin.

Pan Skwarek starał się okazać wielkoduszność.

— Miałem tę przewagę nad panem — rzekł — że już od dłuższego czasu zajmuję się osobą Edwarda Kelleya. Wspomniałem państwu, że przygotowuję pracę doktorską o różokrzyżowcach. Nie ulegają dla mnie żadnej wątpliwości ścisłe związki Kelleya z różokrzyżowcami. Przyjechałem tutaj, aby grzebać w archiwach. Praga bowiem z czasów Rudolfa II to było prawdziwe siedlisko różnego rodzaju alchemików, astrologów, kabalistów i magów. Jest prawdopodobne, że i tutaj Bractwo Różokrzyżowców zyskało gorących zwolenników.

Zamyśliłem się.

Różokrzyżowcy. Któż nie słyszał o tajnych i mroźnych krew w żyłach praktykach Kawalerów Bractwa Różokrzyżowców? Był to osłonięty wielką tajemnicą ruch religijny, rozwijający się w XVII wieku przeważnie we Francji i w Niemczech. Za podstawę swej działalności przyjmowali różokrzyżowcy naukę chrześcijańską, ale interpretowali ją wedle zasady teozofii[1], wnosząc do niej elementy okultyzmu[2], magii, wiary w możliwość kontaktu z nadprzyrodzonymi siłami.

Legendarnym założycielem bractwa miał być mnich niemiecki, Christian Rosenkreutz, żyjący w latach 1387-1414, najprawdopodobniej jednak różokrzyżowcy wzięli swój początek od teologa wirtemburskiego, Johanna Andrea, żyjącego na przełomie XVI i XVII wieku, i angielskiego lekarza, Roberta Fludda, który działał w latach 1574-1654. Gdy Edward Kelley umierał, zarówno Andrea, jak i Fludd byli zaledwie młodzieńcami stojącymi dopiero u początku swych magicznych zainteresowań. Wątpliwe też, aby Kelley zetknął się z poglądami Paracelsusa, znakomitego lekarza i badacza natury ludzkiej, który tak wielki wpływ wywarł na działalność różokrzyżowców. Niemniej jednak, sporo podróżując, mógł Kelley zetknąć się z poglądami zmarłego znacznie wcześniej mnicha Rosenkreutza, jeśli przyjąć, że był on rzeczywiście założycielem Bractwa Różokrzyżowców. Nie ulegało też wątpliwości, że i słynny doktor Dee, któremu w jego podróżach towarzyszył Kelley, był wybitnym magiem i jego praktyki przypominały działalność Kawalerów Bractwa Różokrzyżowców. Praktyki te polegały przede wszystkim na poznaniu magicznych sił przyrody, możliwości przedłużania w nieskończoność życia ludzkiego poprzez sen kataleptyczny i wynalezienia eliksiru wiecznej młodości.

— Dee i jego współpracownik, Kelley — ciągnął dalej pan Skwarek — uważani są przez różokrzyżowców na całym świecie niemal za „świętych mężów”. Wszystkie pisma, jakie zostały po doktorze Dee, traktowane są jak „księgi święte”, a każda pamiątka po nich to dla nich relikwia. Albowiem trzeba wam wiedzieć, że różokrzyżowcy istnieją i dzisiaj, ba, działają bardzo aktywnie. „Rosicrucion Fellowship” w Los Angeles, „Lectorium Rosicrucianum” w Haarlemie w Holandii, „Societas Rosecruciana” w Anglii i w innych krajach.

Zwróciłem się do panny Dohnalowej:

— Czy ma pani jeszcze tę zagadkową połówkę talizmanu Kelleya? Chciałbym ją ponownie obejrzeć.

Panna Helenka poszła do drugiego pokoju i wróciła ze starą srebrną blaszką.

— Obawiając się, że może dojść między panami do jakiegoś sporu na ten temat, pozostawiłam ją jeszcze dzisiaj u siebie — powiedziała kładąc talizman na stole.

Wyjąłem z kieszeni małą lupę, którą jak każdy muzealnik-rzeczoznawca zawsze noszę przy sobie, i zacząłem talizman uważnie oglądać.

— Co pana zaintrygowało? — zaciekawiał się magister Skwarek.

— Cyfra „pięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt siedem” — wyjaśniłem, wciąż badając talizman przez lupę.

— Ja też się nad nią zastanawiałem, lecz jej znaczenia wytłumaczyć nie potrafiłem — stwierdził Skwarek.

— Naprawdę? — aż odłożyłem lupę, tak mnie to wyznanie zdumiało.

Wybitnie inteligentny magister Skwarek, który błyskawicznie rozszyfrował tajemnicę srebrnej blaszki, nie domyślił się, co oznacza cyfra 5357?

— A pan wie, czego ona dotyczy? — zaczepnie rzucił Skwarek.

— Oczywiście. To rok 1596 podany według kalendarza hebrajskiego. Można powiedzieć, że na talizmanie dwukrotnie wyryto tę samą datę: według chrześcijańskiego kalendarza, a obok wedle kalendarza hebrajskiego. Zastanawia mnie właśnie, dlaczego to zrobiono.

I znowu przyłożyłem lupę do oka.

Magister Skwarek trochę się zmieszał i zapewne, aby zatrzeć złe wrażenie, zaczął się popisywać swoją erudycją:

— Wyjaśnienie tej sprawy jest, moim zdaniem, proste. Każdy ówczesny mag i czarnoksiężnik obydwoma rękami czerpał z kabały[3] i dlatego znał hebrajski. Kabalistyczne znaki spotykamy na talizmanach, przyozdobiony był w nie „stół przymierza” mistrza Dee. Jeśli mnie pamięć nie myli, Dee szczególnie lubił równie mglistą, jak kabała, „Księgę Henocha”[4], a Kelley upodobał sobie ze słynnej księgi „Zohar” rozdział pod tytułem „Tajemnica tajemnic”. Zapewne, aby w oczach nosiciela talizmanu podnieść jego wartość i dodać nieco tajemniczości, wyrył na nim datę według kalendarza hebrajskiego.

— Tak, to brzmi prawdopodobnie — potwierdziłem skinieniem głowy. — Ale ja, proszę pana, jako muzealnik, z zawodowego nawyku każdą starą rzecz lubię obejrzeć dokładnie przez szkło powiększające. Otóż muszę panu powiedzieć, że inna ręka, a raczej inny rylec został użyty do wykreślenia kwadratu magicznego z jego cyframi, daty według

chrześcijańskiego kalendarza i symbolu Jowisza, a zupełnie inny rylec zastosowano do zrobienia daty według kalendarza hebrajskiego i dla wykonania rysunku przedstawiającego jakąś postać ludzką pod połówką palmy. Proszę spojrzeć przez lupę — zaproponowałem pannie Helence i panu Dohnalowi. — Cyfra „1596” jest o wiele większa od cyfry „5357”. Ta ostatnia została szerzej rozstawiona.

— Zgadzam się z panem — potwierdził moje spostrzeżenia pan Dohnal. — Ale jakie stąd wnioski?

— Och, wniosek jest oczywisty: na talizmanie zrobionym przez Kelleya ktoś dorysował postać ludzką i palmę oraz wstawił datę według hebrajskiego kalendarza. Sądząc po tym, że posłużył się kalendarzem hebrajskim, tym kimś był zapewne jakiś Żyd. Sądzę, że zrobił to wspólnie z Kelleyem, bo ślady drugiego rylca wyglądają tak samo staro. I wskazuje na to data. Ta sama, którą wyrył Kelley.

Po raz pierwszy dojrzałem podziw w spojrzeniu panny Helenki.

— Mówi pan o czasach przeszłych, jakby to się działo dzisiaj i na pana oczach — zawołała.

Jej podziw pobudził mój mózg do dalszych wysiłków.

— Czy nie wydaje się zastanawiające, że talizman został przełamany na dwie równe połówki? — zapytałem.

— Tak — potwierdził pan Dohnal. — Myślałem o tym. Niestety, nie umiem wyjaśnić tej sprawy.

— A nic panu to nie przypomina? Z niczym się panu nie kojarzy podobny fakt? — zachęcałem do znalezienia odpowiedzi.

Milczeli. Zacząłem głośno rozważać:

— Byłem za młody, aby brać udział w ruchu oporu w moim kraju, lecz sporo na ten temat czytałem książek. Otóż konspiratorzy bardzo często posługiwali się dla identyfikacji następującym sposobem: przedzierali na dwie połówki jeden banknot. Ten, który przynosił potem właściwą połówkę, okazywał się w pełni godnym zaufania. Przełamano też monety. Może dla tego samego celu przełamano i talizman?

Pan Dohnal aż wstał od stołu. Zobaczyłem w jego oczach radosny błysk.

— Słuchajcie! Mam trop! — zakrzyknął. — Nie tak dawno trafiłem na legendę o rabinie Löwe...

Nie dokończył. W sąsiednim pokoju rozległ się przenikliwy sygnał telefonu. Pan Dohnal odebrał telefon i wrócił do nas zaaferowany do tego stopnia, że niepomyślnie na moją prośbę o dyskrecję, powiedział do mnie głośno:

— Blacha gdzieś wyjeżdża. Musimy się spieszyć.

Jak oparzeni wybiegliśmy z mieszkania, zabierając z sobą Prota.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

CO SIĘ STAŁO PRZED PIWIARNIĄ • UCIECZKA ZDENKA BLACHY • CZY JESTEM GANGSTEREM • SAMOCHÓD Z PATAGONII • PODEJRZANY CUDZOZIEMIEC • CO KOMU PO TALIZMANIE KELLEYA • DZIWNY ROBERT • CZY BLACHA KŁAMIE • HASŁO: „TAJEMNICA TAJEMNIC”

Na Bojiszti, przed wejściem do piwiarni „U Kalicha”, przechadzała się Ludmiła z kamerą filmową przewieszoną przez ramię. Z piskiem opon zatrzymałem samochód tuż przy chodniku.

— Blacha przyjechał do domu motocyklem — poinformowała nas pospiesznie. — I jak zdążyłam zauważyć, pozostawił motocykl w bramie. Potem zaczął wynosić z domu jakieś pakunki, między innymi plecak, więc pomyślałam, że może gdzieś wyjeżdża...

— To bardzo prawdopodobne — zgodziłem się z nią. — Porozumiał się z gangiem i kazano mu, jak to się mówi, zmienić adres.

A gdy wymawiałem te słowa, z bramy wyjechała jawa, na której siedział młody człowiek. Ostrzegawczy okrzyk Ludmiły pozwolił mi domyśleć się, że to Zdenek Blacha.

— Chwileczkę, proszę pana — zagroziłem mu drogę. — My do pana z interesem.

Blacha zatrzymał motocykl, ale nie zgasił silnika. Widać nie uważał tej rozmowy za ważną albo bardzo mu się spieszyło.

— Byliśmy już u pana dziś przed południem — wyjaśniłem młodzieńcowi o długich, jasnych włosach, niechlujnie uczesanych. Młodzian ten miał płaski, jakby złamany nos i odstające uszy, poza tym wyróżniała go czerwona kurtka ortalionowa w jakieś fantazyjne wzory, zdaje się motocykle, rowery i inne pojazdy mechaniczne.

— Ach, to wy — mruknął zobaczywszy obok mnie pana Dohnalą, w którym rozpoznał rzeczoznawcę ze sklepu, gdzie sprzedawał ikonę.

I zaraz gniewnie zmarszczył czoło:

— Mówiła mi ciotka, że chcecie kupić ikonę. Ale ja nie mam drugiej i głowy mi nie zawracajcie. Narobiliście mi tylko dużo brudu, bo powiedzieliście ciotce, że sprzedałem ikonę za piętnaście tysięcy koron. I ona do mnie zaraz: „Daj trochę forsy”.

— Miał pan jedną ikonę, może się pan postarać o drugą — powiedział pan Dohnal.

Blacha wzruszył ramionami.

— Nie mam drugiej. I nie będę miał. Szkoda gadania.

— Dobrze zapłacimy — zachęcałem go.

— Ten pan jest cudzoziemcem — powiedział o mnie pan Jarosław. — Zależy mu na ikonie.

Blacha obejrzał mnie pogardliwie od stóp do głów.

— Cudzoziemiec? Dobrze zapłaci! — powtórzył z drwiną w głosie. — Cudzoziemiec chyba z Patagonii, bo tam pewnie takimi pudłami jeżdżą. Panowie, nie dam się nabrać. Wyjeżdżam i piszcie do mnie na Mariańskie Łaźnie. Z drogi, panowie, bo przy okazji i to pańskie pudełko po konserwach też rozjadę.

To mówiąc Zdenek Blacha dodał gazu i ostro ruszył ulicą.

Krew we mnie zawrzała.

— Umyka nam! — zawołałem do pana Dohnala i Ludmiły.

Nie bacząc na to, że pozostawiam ich na chodniku, wskoczyłem do wehikułu i pojechałem w ślad za jawą Blachy.

Nie znam tak dobrze Pragi, aby zapamiętać, jakimi pędził ulicami. Z początku, rzecz jasna, on nawet nie zdawał sobie sprawy, że znajduję się tuż za nim. Nie obejrzał się ani razu, pochłonięty prowadzeniem motocykla. Lecz na przedmieściu spojrzął do tyłu, zobaczył wehikuł i natychmiast ostro ruszył do przodu.

Znaleźliśmy się na szosie na Podebrady. Pora była przedwieczorna, ruch duży, do Pragi i z Pragi ciągnęło mnóstwo szerokich ciężarówek z przyczepami. Blacha wykorzystywał każdy wolny skrawek szosy, a że miał pojazd jednośladowy, bez trudu mógł wyprzedzać ciężarówki, gdy ja musiałem co chwila zwalniać i czekać na możliwość wyprzedzenia.

Uciekał jednak na jawie. Mój zaś wehikuł z silnikiem ferrari 410 miał ogromne przyspieszenie. Co straciłem, czekając na wolną drogę, to zyskiwałem, gdy tylko wysforowałem się do przodu.

Wehikuł ścigający jawę! Sama myśl o takim pościgu wydawała mi się śmieszna. Przypuszczam, że gdyby Zdenek Blacha znał historię mego wehikułu, w ogóle nie próbowałby ucieczki. Ale przecież nie wiedział nic o Włochu, który na drodze do Zakopanego rozbił się samochodem ferrari 410 Super Ameryka i wrak rozbitego samochodu, w którym na szczęście ocalał silnik i skrzynia biegów, kupił mój wujek, Gromiło, zapoznany wynalazca. Własnymi siłami wykonał karoserię, wyposażył wehikuł w najróżniejsze swoje wynalazki i potem darował mi go. Samochód wuja Gromiły zachował wszystkie wspaniałe właściwości ferrari 410: szybkość dochodzącą do 280 kilometrów na godzinę. Miał tylko jedną wadę: był brzydki jak noc, wyglądał jak skrzyżowanie czółna z namiotem, przypominał jakąś straszliwą larwę wybałuszającą oczy swoich dziwacznym reflektorów...

Czterdzieści kilometrów za Pragą znaleźliśmy się w pobliżu sporego kompleksu leśnego. Domyśliłem się, że Blacha zechce teraz umknąć gdzieś w las i tam mnie zgubić. Leśną ścieżką motocykl pojedzie bardzo łatwo, lawirując między drzewami. A samochód może utknąć wśród pni.

Blacha jednak najpierw wjechał na dość szeroką piaszczystą przesiekę. Dodałem gazu, dwanaście cylindrów wehikułu otrzymało ogromną ilość benzyny. Wystarczyła niemal chwila — i oto wyprzedziłem jawę Blachy, a potem zagroziłem mu drogę. Błyskawicznie wyskoczyłem, a wraz ze mną Protazy.

Blacha usiłował zawrócić, aby znowu dać drapaką. Zdołałem jednak złapać kierownicę motocykla. Dwoma łapami oparł się o kierownicę również Protazy, z warczącą rozwartą mordą.

— Panie kochany, o co chodzi? — oburzył się Blacha. — Napada pan na mnie jak jakiś zbój. Przecież mówiłem, że nie mam ikony do sprzedania.

Potrząsnąłem kierownicą jawy.

— Zsiadaj! Mam z tobą do pogadania. No, zsiadaj — powtórzyłem rozkazująco, a Protazy już się sposobił, żeby chwycić Zdenka za nogę i ściągnąć go z motocykla.

— Panie kochany, ja nie wiem, o co panu chodzi. Chce mi pan ukraść motocykl? — zapytał przerażony.

Machnąłem ręką.

— Nie jeżdżę pojazdami jednośladowymi. Mój wehikuł mi wystarcza.

— Tak — sapnął Zdenek Blacha, niechętnie zsiadając z jawy — wozik ma pan zupełnie dobry. Tylko dlaczego on taki dziwny?

— Dziwny? — zastanowiłem się. — Chyba domyślasz się, że muszę się maskować. To wóz opancerzony, przystosowany do walki.

— Co pan mówi? — zdumiał się Blacha. — Kim pan jest, jeśli wolno zapytać?

Nie od razu odpowiedziałem. Najpierw zlustrowałem postać Zdenka Blachy. I doszedłem do wniosku, że temu chłopakowi, który należał chyba do praskich chuliganów, zaimponować może nie jakiś tam muzealnik (nie miał przecież szacunku do obiektu muzealnego, włamując się do pracowni alchemicznej), ale zachwycają go raczej różne sławne rzezimieszki.

— Może jestem gangsterem, chłopcze, ale tobie nic do tego — powiedziałem niedbale.

Aby okazać mu zupełne lekceważenie, wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i nie częstując go zapaliłem.

— Obejrzyj sobie mój wozik — zaproponowałem. — A potem pogadamy.

Podniosłem maskę wehikułu i paląc papierosa zasiadłem na zbutwiałym pieńku przy drodze. Prot przykucnął obok mnie i tylko powarkiwał, gdy Zdenek Blacha gapił się na silnik wehikułu, a później na tablicę rozdzielczą wewnątrz wozu.

Wiedziałem, że dwanaście cylindrów wielkich jak gary, zrobi na nim wrażenie. Zegary na tablicy rozdzielczej przypominały kabinę odrzutowca. Jeden służy do wskazywania

szybkości, drugi wskazuje szybkość w węzłach, gdy wehikuł pływa po wodzie, inny zegar informuje o obrotach silnika. W ogóle, dużo mam w wehikule przeróżnych urządzeń, które mogą zaimponować nawet znawcy samochodów.

— Panie szanowny — zawołał w końcu Zdenek Blacha — to chyba czołg albo samolot!

Machnąłem ręką.

— Nie lata — powiedziałem — ale pływa po wodzie. Owszem, niezły wozik.

— Pływa?

— A tak. Z tyłu jest śruba — rzuciłem obojętnie, zaciągając się dymem papierosa.

Zdenkowi na krótką chwilę aż mowę odjęło. Obejrzał śmigło śruby, a potem długą chwilę stał patrząc na mnie w milczeniu.

— Panie szanowny, gdzie się jeździ takimi wozami? — wyszeptał.

— W Patagonii to zwykła rzecz. Wszyscy mamy takie.

— Niech pan nie żartuje. Kim pan jest?

Starannie zgasilem papierosa.

— Za dużo chciałbyś wiedzieć, chłopie — rzekłem protekcyjnie. — Ty o mnie nic nie wiesz, za to ja bardzo dużo wiem o tobie. A to, co wiem, mówi mi, że wpakowałeś się w bardzo złą sprawę.

— Jaką sprawę? Ja pana nic nie rozumiem... — przestraszył się.

— Słuchaj no, bratku — rzekłem. — Nie jestem z milicji. Możesz ze mną mówić szczerze, za kratki cię nie wpakuję. Nic mnie nie obchodzi blaszka, po którą włamałeś się na Złotą Uliczkę.

— Pan o tym wie? — zdumiał się.

— Wiem wszystko, chłopie. Interesuje mnie co innego. Ta ikona, którą sprzedałeś. Wyjaśnić ci muszę, że w pewnym kraju kilku takich facetów jak ja obrabowało pewne muzeum i zabrało trochę starych obrazów. Tak się złożyło, że ktoś nam te obrazy świsnął i prysnął z nimi do innego kraju. I ot, tu w Pradze, trafiliśmy na ślad naszych obrazów. Okazuje się, że facet, który nam świsnął obrazy, nazywa się Zdenek Blacha.

— Co pan mówi? Przecież ja nigdy nie wyjeżdżałem z Czechosłowacji. Nigdy też nie byłem w Polsce. Pan jest z Polski, prawda? Poznaję to po rejestracji samochodu.

Znowu wzruszyłem ramionami.

— Numery rejestracyjne zmieniam jak rękawiczki. Nieważne, skąd jestem, chłopie. Ważne jest, że mam nareszcie faceta, który nam świsnął obrazy. Ikonę sprzedałeś, trudno. Ale gdzie

jest reszta obrazów? Od razu na wstępie zaznaczam, że należę do ludzi łagodnych, lecz moi koledzy po fachu, jak na przykład Czarna Rączka, lubią... mokrą robotę. I jeśli nie powiesz mi prawdy, za życie twoje nie ręczę.

Chłopak był naprawdę przerażony. Oto znajdował się w lesie sam na sam z dziwnym człowiekiem. Uciec nie mógł, bo pilnował go wielki pies. Dziwny człowiek nie krzyczał na niego, a zachowywał się niedbale, lekceważąco, co znaczyło, że chyba rozporządza nie lada jaką bronią. Nie groził milicją, co znaczyło, że jest z przestępczego światka. Ani chybi gangster, jak z amerykańskich filmów, a Zdenek Blacha chyba bardzo lubił takie filmy.

— Ja wam obrazów nie ukradłem... Zrobił to... Robert — wydusił z siebie.

— Robert? To przecież imię. A jak brzmi nazwisko tego faceta?

— Nie znam jego nazwiska. Kazał się nazywać Robert. Tyle o nim wiem, co i o panu.

— To jakaś nowa piosenka? — udałem zdumienie. — Proszę bardzo, zaśpiewaj mi ją. Ja mam czas, możemy tu siedzieć choćby do północy. Zresztą jak się ściemni, będzie mi przyjemniej z tobą gadać. Wyznam ci poufnie, że zawsze wołałem ciemności. W nocy lepiej widzę, rozumiesz?

I Zdenek Blacha opowiedział następującą historię.

Przed dwoma tygodniami do piwiarni „U Kalicha”, gdzie Zdenek siedział nad kuflem piwa, pewnego wieczoru przyszedł podchmielony cudzoziemiec. Rozejrzał się po sali i przysiadł się do Zdenka. Zaczęli rozmawiać i cudzoziemiec postawił Zdenkowi dwa kufle, sam zaś w siebie wlał tyle piwka, że mocno mu zaczęło szumieć w głowie. Wtedy poprosił Zdenka, aby ten go odprowadził do hotelu „Ambasador”. Po drodze na jakimś skwerze cudzoziemiec poczuł się tak senny, że postanowił zdrzemnąć się na ławce i kategorycznie odmówił dalszej wędrówki do hotelu. Zdenek pomyślał (tak mi to opowiedział), że jeśli pozostawi cudzoziemca w nocy na ławce, to jakiś łobuz zaopiekuje się jego portfelem, więc lepiej będzie samemu ten portfel zabezpieczyć... Lecz gdy sięgał cudzoziemcowi do kieszeni, ten nagle okazał się zupełnie trzeźwiutki i żelazną ręką chwycił Zdenka za kark. „Toś ty taki, bratku” — powiedział. Zdenek zaczął błagać, żeby go cudzoziemiec nie oddawał w ręce milicji. Ten zgodził się, ale postawił warunek. Powiedział, że na Złotej Uliczce w pracowni alchemicznej widział pewną srebrną blaszkę, która jest mu potrzebna. Jeśli Zdenek zdoła tę blaszkę ukraść, on, cudzoziemiec, nie tylko nie doniesie na niego do milicji, ale nawet sowiec go wynagrodzi. „Zgoda” — odparł Zdenek Blacha. I zażądał za tę robotę pięciu tysięcy koron. Wówczas cudzoziemiec, który przedstawił się Zdenkowi jako Robert, oświadczył, że tyle pieniędzy to on nie posiada, natomiast ma do sprzedania stary obraz, ikonę. A ponieważ sprzedaż ikony przez cudzoziemca obudziłaby zainteresowanie władz, lepiej będzie, jeśli to Zdenek Blacha odda do sprzedaży ikonę w sklepie na Vaclavskim Namiesti, co też się stało. Zdenek wszedł z ikoną do sklepu i załatwił formalności. Gdy opuścił sklep, cudzoziemiec zabrał mu dowód osobisty, aby Zdenek nie mógł bez jego wiedzy pobrać pieniędzy za ikonę. Potem umówili się za trzy dni. Zdenek wszedł do sklepu, wziął piętnaście tysięcy koron za sprzedaną ikonę, a po wyjściu ze sklepu pieniądze zabrał mu cudzoziemiec.

— I nie próbowałeś czmychnąć z forszą? — dziwiłem się, bo przecie nietrudno było rozszyfrować zwyczaje Zdenka Blachy.

— Panie szanowny! To był gangster. Taki jak pan. Gdy mnie wtedy w parku ścisnął za kark, to myślałem, że ducha wyzionę — tłumaczył się ze swojej uczciwości.

Za sprzedaż obrazu cudzoziemiec dał Zdenkowi cztery tysiące koron, obiecał jeszcze pięć za kradzież blaszki.

— Nie mówił, po co mu ta blaszka?

— Bardzo dziwnie o niej gadał. Opowiadał, że potrzebne mu są dwie takie blaszki. Na razie znalazł jedną, na Złotej Uliczce. A gdy ją zdobędzie, zacznie szukać drugiej. Na tej jednej, dodał, też można zarobić.

— W jaki sposób?

— Nie wiem. On o tym nie chciał dużo gadać. Nie należał też do takich, których można za język pociągnąć. Powiedział, żebym nie był zanadto ciekawy. I to wszystko, proszę pana. Dla zmylenia śladów doradził mi, żeby zabrać z muzeum jeszcze jakiś inny przedmiot. Nikt się wtedy nie domyśli, że chodziło o kradzież blaszki.

„A jak mnie złapią, to co mam mówić?” — zapytał cudzoziemca Zdenek Blacha. Cudzoziemiec wzruszył ramionami: „Mów, co chcesz, chłopcze, tylko nie wspominaj, że chciałeś ukraść blaszkę. Jeśli piśniesz milicji o mnie, to cię wyśmieją, bo nie będziesz potrafił podać mojego nazwiska i adresu. A twoje włamanie potraktują surowo, jako włamanie rabunkowe, ponieważ chciałeś coś ukraść z pracowni. Najlepiej będzie, jeśli powiesz milicji, że założyłeś się z kolegami. Milicja potraktuje twój występki jako wyczyn łobuzerski i dadzą ci mniejszą karę”. Tak doradził cudzoziemiec Zdenkowi, a chłopak pomyślał, że on ma głowę na karku. Włamał się do pracowni na Złotej Uliczce i, jak wiemy, został złapany. Milicji powiedział o zakładzie, został po kilku dniach zwolniony z aresztu, a gdy stamtąd wychodził, na ulicy czekał na niego cudzoziemiec. „Za to, że umiałeś milczeć, masz tu obiecane cztery tysiące koron” — powiedział do Zdenka, który ofiarował się jeszcze raz spróbować ukraść blaszkę. Ale cudzoziemiec już tego nie chciał. Powiedział, że w tej chwili ta blaszka nie jest mu potrzebna. Umówili się na nowe spotkanie właśnie dzisiaj. Zdenek zwierzył się Robertowi, że ktoś chce kupić drugą ikonę, pokazał też cudzoziemcowi numer telefonu pana Dohnala. Cudzoziemiec zaniepokoił się tym faktem. „Ty musisz zwiewać” — powiedział do Zdenka. I tak oto Zdenek Blacha znalazł się w lesie, pięćdziesiąt kilometrów za Pragę, zatrzymany przez jakiegoś innego gangstera, czyli przeze mnie.

— I naprawdę nie wiesz, jak ów cudzoziemiec się nazywa, gdzie mieszka, z jakiego przyjechał kraju? — pytałem.

— Próbowalem go śledzić, żeby wiedzieć, z kim mam do czynienia. Ale on to zaraz spostrzegł i zagroził, że jeśli spróbuję znowu go śledzić, kark mi skręci. A jeśli chodzi o kraj, z którego przybył, to do czeskich słów wtrącał niemieckie i francuskie. Naprawdę trudno się było domyślić, co to za jeden. Ze mną umawiał się zawsze na Przykopie przed Cedokiem. I tyle o nim wiem.

— A jak wyglądał?

— Niski, krępy, brunet, bardzo silny — po chwili zastanowienia opisał Roberta.

— Łziesz! — stwierdziłem. — Tym razem łziesz.

Zdenek zaczął się zaklinać na wszystkie świętości, że mówi prawdę. Niestety, i tak nic by mi nie przyszło z tego, gdyby dał mi opis, na przykład, wysokiego blondyna czy piegowatego rudzielca, bo Praga ma milion mieszkańców. Szukać tu człowieka tylko według opisu to syzyfowa praca. Imię Robert było, rzecz pewna, fałszywe.

Jedno w tej całej sprawie wydało się niezwykle interesujące i dawało mi nowy trop: gang przemytników interesował się połówką talizmanu Kelleya. Dlaczego? I czy naprawdę przestało im zależeć na talizmanie?

— Wrócisz do Pragi? — zapytałem Zdenka.

— Nie. Ja się boję, bo on mi kazał zmykać. Jeśli mnie zobaczy w Pradze, kark mi skręci. Pojadę do rodziców, do Pardubic.

— No, dobra, jedź — kiwnąłem głową. — Jeśli mi będziesz potrzebny, znajdę cię w Pardubicach. A jeśli mnie okłamałeś i pojedziesz gdzie indziej, to i tak cię znajdę.

To mówiąc gwizdnąłem na Prota, wsiadłem do wehikułu i odjechałem do Pragi, a Zdenek Blacha ruszył do Pardubic.

Z budki na campingu zatelefonowałem do pana Dohnala i zdałem mu relację ze swej rozmowy z Blachą.

— Ach, więc to aż taka sprawa — mruknął pan Jarosław i rzucił do telefonu: — Ja też mam dla pana pewną interesującą informację. Ale o tym jutro pogadamy. Proponuję spotkanie: o dziesiątej rano na Nowym Mieście. Konkretnie na Karlovym Namiesti numer 40.

— Ach, wiem już, o co chodzi — uśmiechnąłem się.

Wróciłem do wehikułu, gdzie na rozkładanym siedzeniu drzemał Prot. Zapaliłem światło i napisałem długi list do dyrektora Marczaka. Opisałem mu swe spotkanie ze Zdenkiem Blachą, historię tajemniczego Roberta i sprawę włamania do pracowni alchemicznej na Złotej Uliczce. Zagadka połówki talizmanu Kelleya i nasza sprawa przemytu ikon wiązała się, w moim wyobrażeniu, w jedną nierozzerwalną całość, co też sugerowałem Marczakowi powiadamiając go, że w związku z tym jeszcze przez jakiś czas zostaną w Pradze. A ponieważ dyrektor Marczak lubił każdej tego rodzaju sprawie nadawać jakiś kryptonim, zaproponowałem hasło: „Tajemnica tajemnic”. Przypominało bowiem osobę angielskiego alchemika, który tak niespodziewanie wkroczył w moje życie.

Wydawało mi się niemal pewne, że i ja będę musiał wkroczyć w zamierzchłe dzieje Kelleya, aby rozwikłać zagadkę jego talizmanu, albowiem interesowała ona przemytników starych ikon. Może poprzez Kelleya trafię do Roberta i innych?

Edward Kelley — mag, czarnoksiężnik, kabalista. Tajemniczy Robert — gangster, przemytnik. Jakie związki istniały między tymi obydwoma ludźmi żyjącymi w tak różnych czasach?

Kryptonim „Tajemnica tajemnic”. Taki był tytuł jednej z ksiąg kabały, nad którą zapewne wiele godzin prześlęczał Kelley. Usiłowałem i ja kiedyś przebrnąć przez niezrozumiałe zdania tej przedziwnej książki, lecz zrezygnowałem. Czy zresztą był ktoś taki, kto ją pojąć potrafił?

Tak, był ktoś taki. Podobno reb Löwe. Ale może to jednak tylko legenda?

Zasypiając przypomniałem sobie niektóre zdania z kabały, które same w sobie były jakby słowami z jakiegoś przedziwnego snu:

„...Zamknij swe usta i nie mów, zamknij swój rozum i nie myśl, a jeśli twym ustom pilno do mówienia, a rozumowi do myślenia, zwróć się do ustępu, w którym powiedziano: bydłęta biegną i przechodzą, na tę rzecz właśnie przymierze było zawarte...”

„...On wyznaczył i wykroił tron wspaniały, Serafinów-Zwierząt, koła święte i z tymi trzema założył swoją siedzibę, jak napisano. Uczynił z wiatrów swe posty, a z ognia gorejącego swe sługi...”

„Pomnij mądrze, rozważ rozumnie, zbadaj je, zgłębij. Sprowadź rzecz do swej jasności i umieść autora na swoim miejscu...”[5].

ROZDZIAŁ ÓSMY

SZARLATAN CZY NAUKOWIEC • KRYSZTAŁOWA TARCZA • KRÓL BATORY
ROZMAWIA Z DUCHAMI • DOM FAUSTA • CZY MURY POTRAFIĄ PRZEMAWIAĆ •
BURZLIWE DZIEJE ALCHEMIKA • LEGENDA, KTÓRA KRYJE PRAWDĘ •
TAJEMNICA RABINA LÖWE • ZŁOTA ULICZKA • PERFUMY PANNY HELENKI •
WSZYSTKIEMU WINNI RÓŻOKRZYŻOWCY

Jan Devus, czyli John Dee, najgłośniejszy w XVI wieku czarnoksiężnik, urodził się w Londynie w 1527 roku. Niech nikt jednak nie sądzi, że zaliczyć go można do długiego szeregu egzystujących w tych czasach różnego rodzaju szalbierzy, szarlatanów i wydrwigroszów. Posiadał znakomite i pełne wykształcenie filologiczne (znał świetnie grecki i wiele innych języków) oraz matematyczne, a także zgłębił wiedzę z dziedziny astronomii i geografii. Jak na owe czasy był to więc mąż niezwykle uczony. W swej bibliotece trzymał najrzadsze druki, a było ich niemało, bo ponad cztery tysiące bezcennych manuskryptów. Miał też zdolności do mechaniki i gdy jako profesor greckiego wystawił przy pomocy swych słuchaczy jedną z komedii Arystofanesa, zbudował dla tej sztuki chrząszcza, który sam potrafił wzbić się w powietrze, budząc tym zdumienie widzów.

Mógł zrobić wielką karierę naukowca, między innymi proponowano mu profesurę w Oxfordzie. Wiele podróżował po europejskich krajach, a wszędzie ofiarowywano mu wysokie godności naukowe. Wniósł wkład do nauki, badając bieg komety w konstelacji Kasiopei, przyczynił się do reformy kalendarza w Anglii, opracował zarys hydrograficzny zamorskich posiadłości angielskich. Był też nadwornym astrologiem królowej Elżbiety, która niejednokrotnie zasięgała jego rad.

Pogardziwszy jednak wysokimi godnościami, John Dee osiadł samotnie w swej pracowni w Mortakle, gdzie w otoczeniu książek i licznych instrumentów, które sam skonstruował, zajął się magią i czarnoksięstwem, poszukując kontaktu z siłami pozaziemskimi.

W 1583 roku — jak sam opowiadał — zjawił się w jego pracowni duch anioła Uriela i wręczył mu „kryształową tarczę”, na której można było zobaczyć przeróżne zjawy.

Trudno dziś dociec, jak to było naprawdę z tymi zjawami. Faktem jest jednak, że ci, którzy odwiedzali mistrza w jego pracowni, wraz z nim oglądali zjawy na „kryształowej tarczy” i mogli z nimi rozmawiać. Nawet królowa Elżbieta zawezwała kiedyś do siebie Johna Dee, aby w jej obecności pokazał przedziwne właściwości swojej tarczy. I chyba nie odniosła wrażenia, że ma do czynienia z szalbierzem, skoro potem wielokrotnie jeździła do Mortakle, aby brać udział w rozmowie z duchami.

Spotkania z duchami mistrz John Dee spisywał w specjalnym diariuszu, wydanym zresztą prawie sto lat później przez słynnego filologa Casaubona. Rzadka to książka, niewiele jej egzemplarzy znajduje się na świecie. Polska posiada jeden — historyk Aleksander Kraushar studiował go w bibliotece ordynacji Zamoyskich w Krakowie i tam odsyłam zainteresowanych bliżej tą sprawą. Ciekawe jest to dzieło choćby z tego względu, że znajduje się w nim opis seansu z duchami, jaki w maju w 1583 roku odbył w Krakowie król Polski Stefan Batory w obecności Johna Dee, Edwarda Kelleya i wojewody Olbrachta Łaskiego.

Tych, którzy zechcą studiować diariusz mistrza Dee, ostrzegam jednak przed rozczarowaniem. Język potęg zaziemskich jest niezrozumiały dla niewtajemniczonych. Składa się z mieszaniny staroangielskiego, zepsutej łaciny pełnej niedomówień i skrótów niemal nieczytelnych. O tym języku duchów napisano wiele rozpraw i dyskutowano zawzięcie. Na przykład, znakomity matematyk angielski, Robert Hooke, sądził, że diariusz mistrza Dee to nic innego, jak zapis kryptograficzny, czyli swoisty szyfr, który miał przed niepowołanymi ludźmi zakryć właściwą treść notatek. Innymi słowy John Dee był po prostu szpiegiem królowej angielskiej Elżbiety, a jego podróże zagraniczne, na przykład do Polski i na dwór cesarza Rudolfa II, nie były niczym innym, jak wyprawami o charakterze szpiegowskim. Obcując z monarchami, miał się Dee orientować co do ich planów i nastrojów, potem zaś zaszyfrowane informacje przekazywał na dwór angielski. Klucz od szyfru znajduje się, zdaniem Hooka, w słynnej księdze Henocha.

Natomiast inni uczeni, jak choćby Leibniz, uważają Johna Dee za człowieka nieposzlakowanego, uczciwego do gruntu, choć fantastę, mistyka i marzyciela. Znany krytyk angielski, Warton, dopatruje się w filozofii i praktykach mistrza ziarna przekonań sekty różokrzyżowców, podobnie jak i ślady tej rozprzestrzeniającej się wówczas filozofii dostrzega w fantastycznym dramacie Szekspira, pod tytułem „Burza”.

Nie naszym jednak zadaniem jest rozstrzygać tak zawile kwestie. Historia ta interesuje nas tylko o tyle, że Mistrz Dee zjawił się w Krakowie, a potem w Pradze. I w tej podróży towarzyszył mu alchemik, Edward Kelley, który potem w Pradze pozostał już na stałe i tam dokonał żywota.

Do Krakowa, na dwór Stefana Batorego, sprowadził obu czarnoksiężników wojewoda sieradzki Olbracht Łaski. Człowiek ten reprezentował wszystkie złe i zarazem dobre cechy okresu Odrodzenia. Wielki magnat, który pretendował do tronów, niezwykle wykształcony, złotousty światowiec i bywalec wielu dworów, rycerz i przyjaciel pisarzy (Kochanowski

dedykował mu kilka utworów), polityk i dyplomata, osobnik z zadatkami na wielkość, a jednocześnie intrygant zdolny do małych i wielkich podłości. To on pojechał do Paryża, aby sprowadzić do Polski Henryka Walezego, i jego mowa powitalna zachwyliła paryski dwór (wzmianka o tym pozostała nawet w romansach Dumasa). To on wicherzył przeciw królom polskim, wystawiając własnych kandydatów. Warchoł, wicherzytel, a jednocześnie człowiek pełen uroku i subtelnych odczuć. Jednym słowem, jedna z barwnych, niezwykłych postaci owych czasów. Długo zwalczał Stefana Batorego, podobnie jak Zborowscy, inni wielcy magnaci. Pewnego dnia wyruszył do Anglii, gdzie został przyjęty przez królową Elżbietę i skąd do Polski przywiózł dwóch słynnych astrologów. I pojednał się ze Stefanem Batorym.

Historycy różne domysły snują o przyjaźni Łaskiego z angielskimi magami. Czy naprawdę wierzył, że przy ich pomocy uda mu się wyprodukować eliksir życia i kamień filozoficzny zmieniający metale w złoto? (pieniędzy bowiem magnat ten zawsze bardzo potrzebował). A może przywożąc magów, chciał się tym przypodobać Batoremu, o którym tu i ówdzie przebąkiwano, że cierpiał na jakąś tajemniczą dolegliwość?

Batory pojednał się z Łaskim, przyjął obu czarnoksiężników, odbył z nimi seans. Nie umniejsza ten fakt wielkości polskiego króla. Pamiętajmy, że niemal każdy ówczesny władca radził się różnego rodzaju astrologów i magów, miał ich zawsze na swoim dworze. Nawet najbardziej światli ówczesni ludzie dawali wiarę gwiazdnym przepowiedniom, jak choćby słynny astronom Tychon de Brache, który nie ożenił się, ponieważ gwiazdy zły los przepowiadały jego potomstwu.

W działalności obydwu magów angielskich wiele jest fragmentów niejasnych. Przybyli do Krakowa i zamieszkali przy ulicy Szczepańskiej w marcu 1584 roku. W sierpniu zaś nagle wyjechali do Pragi na dwór cesarza Rudolfa II, aby po uzyskaniu audiencji u czeskiego władcy (do drugiej już nie doszło), powrócić w kwietniu następnego roku do Krakowa. Dopiero w miesiąc później przyjął ich Stefan Batory. A potem znowu wyjechali do Pragi, gdzie znaleźli opiekę u nadburgrabiego czeskiego Wilhelma Ursyna, pana na Rozenbergu, który po śmierci Batorego był jednym z licznych pretendentów do polskiego tronu.

W Pradze między obu czarnoksiężnikami doszło do konfliktu i rozstania. Dee, mimo zaproszenia na dwór moskiewski, powrócił do Anglii, gdzie królowa Elżbieta mianowała go zarządcą kolegium w Manchesterze. Oczyszczeniwszy się ze stawianych mu przez kler zarzutów o uprawianie praktyk szatańskich, umarł w Mortakle w 1604 roku. Syn jego Artur został nadwornym lekarzem wielkiego księcia moskiewskiego i — zapewne idąc w ślady ojca — wydał w Moskwie dzieło alchemiczne, po czym powrócił do Anglii jako nadworny lekarz Karola I.

A Kelley? Jego życie pozostało już na zawsze związane z Pragą. A było to życie awanturnicze, o zmiennych bardzo kolejach losu...

O tym wszystkim rozmyślałem jadąc na Nowe Miasto, na Karlove Namiesti, gdzie obok domu oznaczonego numerem 40 czekali na mnie Ludmiła i pan Jarosław.

— Oto dom, w którym mieszkał Edward Kelley — tymi słowami powitał mnie pan Dohnal.

Dom był okazały, ongiś renesansowy, o czym świadczyły łączone okna i narożny wykusz. W późniejszych latach przebudowano go w stylu barokowym.

— Tu mieszkał nie tylko Kelley — pospieszyła z dalszymi informacjami Ludmiła fotografując mnie na tle budynku. — Ale i inny czarnoksiężnik i alchemik, Mladota z Solopysk. A ponieważ dom ten tradycyjnie zamieszkiwali czarnoksiężnicy, miał w okolicy bardzo złą sławę. Ludzie mówili, że działy się tu rzeczy dziwne i straszne, pojawiały się duchy i diabeł. Mladota zresztą wiele zrobił dla jego złej sławy, bo przebudował go, urządzając w nim przeróżne tajne przejścia i samozamykające się drzwi. Gdy w Pradze gościł Wolfgang Goethe, pokazano mu ten dom i opowiadano o krążących legendach. Przypuszcza się, że właśnie tutaj narodził się w umyśle Goethego pomysł napisania „Fausta”. Dlatego dom ten nosi dziś nazwę „Dom Fausta”. Obecnie mieści się tu apteka uniwersytecka. I jak w dawnych wiekach przyrządza się tu lekarstwa, mikstury i eliksiry.

Słuchając ożywionego głosu Ludmiły, w zadumie patrzyłem na dom, w którym mieszkał Edward Kelley. Cicho szemrały drzewa na Karlovym Namiesti, na tle błękitnego nieba widziałem szybujące stada gołębi. Czy dziś, po tylu wiekach, zdoła ktoś przeniknąć tajemnice i zagadki, które były udziałem tego domu?

— O czym pan myśli? — zapytała Ludmiła zaciekawiona moim przedłużającym się milczeniem.

— O talizmanie Kelleya — odparłem. — Zastanawiam się, czy to właśnie Kelley jest autorem zagadki, która i dziś jakimś ludziom jeszcze nie daje spokoju.

— A czy w grę może wchodzić jeszcze jakaś inna osoba oprócz Kelleya? — zdziwiła się dziewczyna. — Przecież to jego nazwisko zostało wyryte na talizmanie.

— Owszem — skinąłem głową. — Ale nie zapominaj, Ludmiło, że Kelley żył z produkcji talizmanów. Robił je nie dla siebie, a na sprzedaż. Nie można wykluczyć możliwości, że ktoś, komu Kelley sprzedał talizman, wyrył na nim datę według kalendarza hebrajskiego i zrobił ów niezrozumiały rysunek. Być może, to właśnie również ten ktoś przełamał talizman na dwie połówki.

— Proszę pamiętać o dacie produkcji talizmanów — wtrącił się do rozmowy pan Dohnal — 1596 rok, potwierdzony datą kalendarza hebrajskiego. Pan zna życiorys Kelleya?

— W rok później umarł — stwierdziłem.

— Tak. Ale jak spędził ten rok? Kelley został aresztowany z rozkazu cesarza Rudolfa II, osadzony w więzieniu i poddany torturom.

— Innymi słowy, sugeruje pan, że talizman został przez Kelleya wykonany na krótko przed jego aresztowaniem?

— Tak właśnie sędzę. Potwierdza mi ten fakt stara legenda praska, na którą natrafiłem — zaczął opowiadać pan Dohnal. — Pewnego dnia, mówi legenda, do słynnego cudotwórcy i maga, rabina Jehudy Löwego ben Becalel, zwanego reb Löwe, człowieka znanego z wielkiej mądrości i uczciwości, zgłosiło się dwóch czarnoksiężników. Posiadali oni woreczek bezcennych klejnotów, który służył im do leczenia i wyrobu przeróżnych amuletów. Jednego z czarnoksiężników oczekiwała daleka podróż czy też jakieś wielkie kłopoty, a że obydwaj czarnoksiężnicy nie mieli do siebie zaufania, zdecydowali się na czas nieobecności jednego z nich złożyć woreczek z klejnotami w ręce rabina Löwe. Co zrobił reb Löwe? Po trzech dniach

namysłu wezwał do siebie obu magów, odebrał od nich woreczek z klejnotami i wręczył im dwie połówki tego samego przedmiotu. „Gdy zgłosicie się do mnie z tymi dwiema połówkami — powiedział im — wówczas wydaję wam woreczek”. Magowie zapytali: „A co będzie, rebe, jeśli przyjdziemy dopiero wtedy, kiedy ty już żyć nie będziesz? Nikt przecież nie jest nieśmiertelny”. Reb Löwe odparł: „Jeśli przyjdziecie do mnie z dwiema połówkami, wydaję wam woreczek z klejnotami. Jeśli żyć nie będę, przyjdźcie po klejnoty do mojego grobu”. Tak odrzekł reb magom i ta odpowiedź przypadła im do gustu. Była w stylu tamtych lat, pełna tajemniczości i zagadkowości. Legenda ta jest przytaczana jako przykład mądrości rabina Löwe. Żaden z magów nie mógł bowiem sam odebrać klejnotów, potrzebny był współnik z drugą połówką przedmiotu. Klejnoty więc zostały znakomicie zabezpieczone.

— I pan sądzi, że ta legenda ma coś wspólnego z naszą połówką talizmanu?

— Ileż tu zbieżności! Przede wszystkim chodzi o czarnoksiężników, a Kelley był magiem. Po drugie: jednego z magów oczekiwała daleka podróż albo jakieś kłopoty. Właśnie Kelley obawiał się aresztowania i chciał zabezpieczyć swój udział w woreczku z klejnotami. Po trzecie: obydwaj magowie nie mieli do siebie zaufania. A któż mógł mieć zaufanie do takiego szarlatana, jakim był Kelley? Po czwarte: na naszym talizmanie jest przez kogoś innego niż Kelley wyryta data według kalendarza hebrajskiego. Czy nie jest prawdopodobne, że na talizmanie Kelleya reb Löwe wyrył datę, zrobił jakiś tajemniczy rysunek, rozłamał talizman i dwie połówki wręczył magom?

— Zgadza się z panem! — zawołałem radośnie. — Mało tego. Jestem zdania, że właśnie ten rysunek stanowi klucz do całej sprawy. Bo dlaczego reb Löwe dał do zrozumienia, że nawet jeśli nie będzie żył, magowie swoje klejnoty odnajdą? Zapewne miał na myśli, że gdy przyjdą obydwaj do jego grobu i zestawią razem dwie połówki talizmanu, jasnym się dla nich stanie, gdzie są klejnoty, prawda?

— Ja też tak sądzę — zgodził się pan Dohnal. — Magowie klejnotów nie odebrali, gdyż jak wiemy, Kelley został aresztowany, a potem umarł.

— W świetle tych faktów — kontynuowałem dalej rozważania — oczywistym jest, dlaczego tajemniczy Robert kazał Zdenkowi Blasze ukraść połówkę talizmanu. Powiedział, że gdy zdobędzie jedną połówkę, zacznie szukać drugiej. Potem zestawie je ze sobą przy grobie Löwego i odnajdzie klejnoty. Jest to możliwe, bo przecież grób Löwego do dziś dnia znajduje się na żydowskim cmentarzu.

— Owszem — przytaknął pan Dohnal. — I moglibyśmy tam zaraz pojechać.

— Tak. Ale nie mamy dwóch połówek — zauważyła bystro Ludmiła.

— No, jedną ma Helenka. Jedźmy zatem na Złotą Uliczkę — proponował pan Dohnal.

— Niestety, jedna połówka chyba nie wyjaśni tajemnicy — stwierdziłem.

Ludmiła przypomniała mi to, co opowiadałem o rozmowie ze Zdenkiem Blachą.

— Tajemniczy Robert powiedział Zdenkowi, że na jednej blaszce można zarobić. Jak rozumieć te słowa, skoro dla odnalezienia klejnotów potrzebne są aż dwie połówki?

— Nie wiem — westchnąłem.

I znowu długą chwilę w milczeniu patrzyłem na Dom Fausta.

„A jednak po latach można niekiedy rozszyfrować zagadkę — pomyślałem. — Ściany tego domu nie umieją mówić. Ale wiedza ludzka, wzbogacona przez wyobraźnię, potrafi zmusić do mówienia nawet mury.”

— O czym pan myśli? — zapytała ciekawie Ludmiła.

— O Kelleyu — odpowiedziałem. — Bo musisz wiedzieć, Ludmiło, że przy rozwiązywaniu zagadek z dalekiej przeszłości mam swoją metodę. Staram się wyobrazić sobie tamte epokę, ludzi, ich sposób bycia i myślenia. Zastanówmy się nad sylwetką Kelleya, wyobraźmy go sobie. Tradycja pozostawiła o nim niezbyt pochlebną opinię. O ile John Dee, przy całej swej wierze w cudowne zjawy, uważany jest za człowieka uczciwego, to o Kelleyu sądzi się, że był szarlatanem zaprawionym w sztuce wywoływania złudzeń optycznych, co wykorzystywał dla zdobycia pieniędzy. Ukończył Kelley studia prawnicze i zajmował się adwokaturą. Ale podobno pewnego dnia, podczas jednej ze swych podróży po Anglii, zawitał do oberży, gdzie, jak sam opowiadał, okazano mu przedmiot dziwny i rzadki, stary rękopis obejmujący zasady transmutacji metali, czyli przemieniania dowolnego metalu w złoto. Manuskrypt ten ponoć znaleziono w grobie pewnego świątobliwego mnicha. Kelley kupił rękopis od oberżysty i odtąd postanowił poświęcić się próbom zdobycia kamienia filozoficznego. A ponieważ tajemniczy rękopis nie był zbyt dokładny, Kelley zwrócił się do Johna Dee, aby ten przy pomocy swej „kryształowej tarczy” i zjaw dopomógł w rozwikłaniu zagadki. I tak oto zaczęła się przyjaźń tych dwu ludzi. Kelley zresztą okazał się niezwykle przydatny do wywoływania duchów na „kryształowej tarczy”, czym zaskarbił sobie sympatię Johna Dee. Obydwaj przewędrowali kawał świata, aż wreszcie znaleźli się w Pradze, która za czasów Rudolfa II była prawdziwym rajem dla alchemików i czarnoksiężników. Kelley więc, przedstawiony cesarzowi Rudolfowi II, zademonstrował mu produkcję złota. Przy tej próbie obecnych było kilka osób, pozostawiły zapiski. Wynika z nich niezbitie, że jakimś dziwnym sposobem zdołał on przy pomocy kropli krwawoczerwonego oleju zamienić funt rtęci w czyste złoto. I próbę tę kilkakrotnie powtórzył w laboratorium cesarza, także parającego się alchemią. Rudolfa II, który nieustannie potrzebował pieniędzy, zachwyciły próby Kelleya, zachęcił go do pozostania w Pradze, obdarzając tytułem rycerza z Imany. I tak oto John Dee powrócił do Anglii, a Kelley pozostał w Pradze. I choć podobno mógł wyrabiać złoto dzięki cudownemu olejowi, ożenił się bardzo bogato, majątek żony ulokował w nieruchomościach, kupując kilka domów, młyn, gorzelnię. Zaczął też robić przeróżne interesy, wcale nie na alchemii. Wkrótce też stał się jednym z bogatszych ludzi w kraju. Cesarz zaczął podejrzewać, że Kelley posiadał kamień filozoficzny, lecz nie chce mu zdradzić jego „przepisu”. Rozkazał więc uwięzić Kelleya, wyposażenie jego pracowni i notatki skonfiskować i zabrać do zamku. Niestety, ani notatki, ani nawet tortury nie wydobyły od Kelleya tajemnicy, gdyż — jak twierdził — jeszcze jej nie posiadał. Cesarz zezwolił Kelleyowi na kontynuowanie doświadczeń, co alchemik wykorzystał na przygotowanie do ucieczki. Ponownie go aresztowano, tym razem za długi. Uciekając z więzienia złamał nogę, którą mu amputowano. Drugi raz próbował ucieczki, i znowu złamał nogę. Wreszcie odstawiono go do Pragi, gdzie ponoć zażył truciznę i zmarł.

Taka jest historia Kelleya. W jej świetle Kelley pojawia nam się jako osoba dwuznaczna, której nie darzono zaufaniem. A jeśli tak, to czy nie jest prawdopodobne, że współpracujący z

Kelleyem jakiś inny czarnoksiężnik wolał ich wspólny majątek, klejnoty, przekazać w czyjeś godne zaufania ręce? I wybrał rebege Löwe.

— Zgadzam się z panem — rzekł pan Dohnal. — Wydaje mi się, że legenda znajduje potwierdzenie w rzeczywistości historycznej. Jak wiemy, Kelleyowi groziło aresztowanie i utrata całego majątku. W tej sytuacji wspólnie z drugim magiem mógł udać się do Löwego, aby oddać mu na przechowanie cenne klejnoty. I druga sprawa: dość tajemniczo przedstawiają się przyczyny dwukrotnych ucieczek Kelleya. Przecież opuściwszy więzienie mógł pozostać w Pradze i, przeprowadzając w nieskończoność swoje doświadczenia alchemiczne, łudzić cesarza mirażami złota. A jednak uciekał. I to dwa razy. Dokąd? Po co? Czy nie w tym celu, aby spotkać się z drugim magiem, uzyskać drugą połówkę talizmanu i zjawić się u Löwego po woreczek z klejnotami?

— Klejnoty były u Löwego w Pradze — zauważyłem — a on właśnie uciekał z Pragi.

— Zgoda. Ale czy i ten drugi mag pozostał w Pradze? Raczej sędzę, że przerażony aresztowaniem Kelleya wyjechał dokądś, i to do niego starał się dostać Kelley. Lista ówczesnych czarnoksiężników nie jest aż tak duża. Wydaje mi się, że jeśli pogrzebiemy w starych księgach, natrafimy na nazwisko maga, który miał coś wspólnego z Kelleyem.

Na tym zakończyliśmy naszą dyskusję. Pora była udać się na Złotą Uliczkę.

Na Karlovym Namiesti jeszcze raz obejrzałem barokowy kościół św. Ignacego i renesansowy nowomiejski ratusz. Kilkakrotnie przebudowywany, zachował do dziś niektóre partie — jak na przykład wieże — w stylu gotyckim. Z tym ratuszem wiąże się wiele ciekawych historii: jego wieżę nazwano „praską bastylią”, w 1419 roku husyci wyrzucili stąd przez okna katolickich rajców...

Pan Dohnal zawiódł mnie potem na pobliską ulicę Resselowa, do prawosławnego kościoła Cyryla i Metodego. W tej to barokowej budowli w czerwcu 1942 roku rozegrał się ostatni akt bohaterskiego dramatu. To w podziemnej krypcie tego kościoła schronili się czescy „cichociemni”, którzy dokonali zamachu na osławionego zbrodniarza hitlerowskiego, namiestnika III Rzeszy, Heydricha. Otoczeni przez gestapo i żandarmerię hitlerowską, zginęli w podziemiach świątyni.

Ulica Resselowa doprowadziła nas nad Wełtawę, do Jiraskovego Namiesti. Pojechaliśmy Gotwaldowym Nabrzeżem i Smetanowym Nabrzeżem aż do mostu Karola, którym przeskoczyliśmy Wełtawę i znaleźliśmy się na Małej Stranie. Zaparkowałem wóz na rynku obok ratusza i pieszo przez uroczne wąskie zaułki pomaszzerowaliśmy na Złotą Uliczkę.

Wiele trzeba by stron na opisanie Małej Strany, która podobnie jak i nasze Stare Miasto w Warszawie ma swoją bogatą historię. O każdym domu, o każdym zaułku, każdym skwerze — można opowiadać godzinami. A tu jeszcze o krok słynny Praski Hrad, z lasem wież i wieżyczek katedry św. Wita, z mnóstwem pałaców, wspaniałych sal i galerii. Nawet pobieżne zwiedzanie Hradczan — zajmuje cały dzień, dlatego nigdzie nie zbaczając poszliśmy wprost na Złotą Uliczkę, gdzie oczekiwała nas panna Helenka.

I ktoś jeszcze. Oczywiście, magister Franciszek Skwarek.

„Czy ten człowiek nigdy nie pozostawi jej samej?” — pomyślałem ze złością, a może z zazdrością?

— Ach, jakie wspaniałe ma pani perfumy — oświadczyłem całując na przywitanie dłoń panny Helenki.

I znowu strzeliłem gafę. Kobiety, które do tej pory znałem, cieszyły się, jeśli ktoś zwrócił uwagę, że używają dobrych perfum. Lecz panna Helenka, jak wiadomo, chciała za wszelką cenę upodobnić się do mężczyzny.

— To nie perfumy — oświadczyła z oburzeniem, niemal wrywając mi z ręki swoją dłoń. — Nie należę do kobiet, które skrapiają się perfumami. Używam tylko męską wodę kolońską.

— Mam nadzieję, że nie po goleniu — odparłem z ironią.

Ludka zachichotała głośno, także pan Dohnal uśmiechnął się i lekki uśmiech pojawił się na ustach magistra Skwarka. Tylko panna Helenka okazała brak poczucia humoru.

— No, wie pan — pogardliwie wydeła wargi — to nie był najlepszy dowcip.

Nie ulegało wątpliwości, że znowu zrobiłem sobie z niej wroga. Ale przemogła niechęć, bo ciekawiła ją moja rozmowa ze Zdenkiem Blachą.

— Zdaje się, że przeniknęliśmy tajemnicę włamania do twego muzeum, Helenko — powiedział pan Dohnal, gdy skończyłem opowiadać.

— I zrobiliśmy to nie posiadając wybitnej inteligencji — dodała złośliwie Ludmiła spoglądając na pana Skwarka.

— Chwileczkę! — zawołał urażony Skwarek. — Czy państwo sądzą, że ja zasypiałem gruszki w popiele? Grzebałem w księgach, wysilałem mózgownicę i też to i owo przyszło mi do głowy.

— No, to skonfrontujmy nasze hipotezy — zaproponował pan Dohnal. — A teraz, Helenko, oprowadź nas po Złotej Uliczce.

Nie wiem, czy jest na świecie jeszcze drugie takie zabawne miejsce. Wchodząc na Złotą Uliczkę odniosłem wrażenie, że znalazłem się w miasteczku dla krasnali, albowiem właśnie z szeregu zabawnych mini-domków składała się ta najkrótsza, licząca kilkadziesiąt metrów uliczka. Przycupnęły one wzdłuż potężnych murów zamkowych. Miniaturowe drzwiczki, okienka, niektóre domki mają nawet piéterko z prześmiesznym uroczym okienkiem, mała izdebka na parterze, na górze niziutki, maleńki pokoiczek. A wszystkie domki są kolorowe, jakby z barwnego papieru wycięte. W małych pokojach małe sprzęty, ubogie zresztą, jak ubodzy byli mieszkańcy tej uliczki.

Bo choć legenda mówi, że żyli tu alchemicy usiłujący z niczego zrobić złoto, prawdą historyczną jest, że gnieździli się na Złotej Uliczce ubodzy strzelcy zamkowi. Alchemicy, jak wiemy, posiadali wspaniałe domy w Pradze.

Ale czy warto walczyć z legendą? Dlatego jeden z uroczych małych domków urządzono na wzór starej pracowni alchemicznej. Przez okienko widać palenisko, a nad nim zawieszony tygiel, w którym być może za chwilę czarnoksiężnik zacznie warzyć tajemniczy eliksir. Na półkach i stole stoją słoje pełne barwnych płynów, retorty szklane, kubki miedziane i cynowe. Wypolerowany kawałek miedzi imituje złoto, które się alchemikom marzyło...

W sąsiedztwie Złotej Uliczki sterczy potężna wieża zamkowa, zwana Daliborką. W jej podziemiach wtrącano ludzi nieposłusznych cesarzowi albo takich, którzy mu się narazili. Może właśnie tutaj, w Daliborce, przetrzymywano i Edwarda Kelleya, o którym cesarz Rudolf II myślał, że ukrywa przed nim tajemnicę transmutacji metali?

— Ilu było alchemików w czasach Rudolfa II? — zapytałem pannę Helenkę, z nadzieją, że może dowiem się nazwiska człowieka, który współdziałał z Kelleyem.

Pokręciła głową:

— Nie prowadzę podobnych rejestrów. W każdym razie było ich chyba sporo, bo cesarz sam lubił zajmować się tą dziedziną i miał w zamku własną pracownię. Ale chyba niesłusznie wiąże się osobę Rudolfa II tylko z alchemią i innymi tego typu szarlatanскими sztuczkami. Cesarz Rudolf II to ciekawa i barwna renesansowa postać. W tamtych zresztą czasach wiele spraw było z sobą nierozzerwalnie związanych. Głupstwo sąsiadowało bezpośrednio z wielką mądrością, szarlatani dokonywali czasem wspaniałych wynalazków. Astronomii towarzyszyła astrologia, alchemicy wynaleźli doskonałe piwo, i tak dalej. Cesarz Rudolf II był miłośnikiem sztuk pięknych, zgromadził w zaniku prawdziwe skarby i choć wiele z nich uległo rabunkowi napastniczych wojsk, to przecież i to, co przetrwało do naszych czasów, może zachwycić każdego. Rudolfowi II zawdzięczamy znajdującą się tu obok Galerię Zamkową, a w niej obrazy takich mistrzów, jak Tycjan, Rubens, Tintoretto. Rudolf II był opiekunem rzemieślników i sam także wyrabiał użytkowe przedmioty, jakby się dziś powiedziało: był majsterkowiczem. A czego dokonał dla dobra nauki? Z całego świata przybywali do cesarza naukowcy, aby pod jego skrzydłami rozwijać swoje badania. Dość przytoczyć takie słynne nazwiska, jak Kepler albo Tycho de Brache, który zresztą umarł w Pradze i tu został pochowany. Na jego grobie widnieje napis: „Lepiej być niż udawać istnienie”. Cesarz był dziwnym człowiekiem. Mniej go nęciła polityka i posiedzenia cesarskie, wolał w swym gabinecie oddawać się snycerstwu, malarstwu i chemicznym doświadczeniom. Mówią o nim, że miał melancholijne usposobienie o skłonnościach do mistycyzmu. I może właśnie dlatego posłuch u niego znajdowali także przeróżni szarlatani, którzy obiecywali mu kontakty ze zjawami pozaziemskimi, jak choćby John Dee lub osobnicy typu Kelleya, obiecujący wyprodukowanie kamienia filozoficznego. A że brakowało mu zrównoważenia, niejednokrotnie na przemian obsypywał ich łaskami, to znów bywał okrutny.

Wstąpiliśmy na kawę i ciastka do kawiarni na ulicy Vikarskiej w najbliższym sąsiedztwie katedry św. Wita. Tu pan Dohnal opowiedział Helence i panu Skwarkowi o naszej hipotezie dotyczącej klejnotów oddanych przez Kelleya rabinowi Löwe.

— No cóż, to chyba bardzo prawdopodobne — mruknęła panna Helenka.

A Ludmiła, która nie darzyła widać sympatią historyka, zaraz go zagadnęła:

— To była nasza hipoteza. A jak wygląda pańska?

Magister Skwarek wzruszył ramionami:

— Tok moich rozmyślań szedł w zupełnie innym kierunku. Usiłowaliście zgłębić zagadkę talizmanu. Ja zaś starałem się znaleźć odpowiedź na pytanie: kto i dlaczego próbował zdobyć połówkę talizmanu?

— I znalazł pan odpowiedź? — spyaliśmy niemal jednocześnie.

— Tak — kiwnął głową Skwarek. — Zrobili to różokrzyżowcy.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Wyjaśnienie magistra Skwarka wydawało nam się śmieszne. Różokrzyżowcy? Ludzie z tajnej sekty religijnej działającej przed kilkuset laty? Albo współczesne grono dziwaków wierzących, że można nawiązać kontakt z duchami?

Nawet panna Helenka popatrzyła na magistra Skwarka z odrobiną politowania, co sprawiło mi wielką przyjemność.

A on tylko uśmiechnął się z wyższością i powiedział.

— Wiem, co sobie teraz o mnie myślicie. Usprawiedliwia was, że nie zajmujecie się, jak ja, historią różokrzyżowców. A przecież wspomniałem już, że istnieje nawet kilka organizacji różokrzyżowców. Zapewne przypuszczacie, że organizacje te grupują nieszkodliwych dziwaków, prawda? A tymczasem z tego, co mi wiadomo, różokrzyżowcami są niekiedy ludzie bardzo wpływowi, a przede wszystkim niezwykle bogaci. W „Rosicrucion Fellowsip” w Los Angeles członkami jest kilku milionerów, którzy nie szczędzą pieniędzy na badania okultystyczne. To samo w „Lectorium Rosicrucianum” w Holandii. Tamtejsza organizacja to niemal cały instytut naukowy badający sprawy okultyzmu, finansowany zresztą szczerze przez różnego rodzaju bogate dziwaczki, którym seanse spirytystyczne rozpraszą nudę życiową. Połówka talizmanu Kelleya? Dla tych ludzi niezwykle wartość ma wszystko, co jest związane z ich wierzeniami lub osobami, które kiedyś zajmowały się magią. Czy wiadomo wam, że przed czterema laty jeden z wiedeńskich różokrzyżowców (a w Wiedniu istnieje także aktywne ich bractwo), niejaki Elard burgrabia i hrabia zu Dohna, potomek starego rodu, usiłował ukraść z British Museum słynną „kryształową tarczę” Johna Dee? Tak, tak, proszę państwa, ta „kryształowa tarcza” do dziś znajduje się w Brytyjskim Muzeum. Różokrzyżowcy usiłowali ją kupić od rządu angielskiego, a gdy to nie przyniosło rezultatu, zdecydowali się na kradzież. Jestem głęboko przekonany, że do tej organizacji dotarła wiadomość, że w Pradze na Złotej Uliczce zrekonstruowano pracownię alchemiczną i znajdują się w niej przedmioty należące do Edwarda Kelleya. I postanowili je zdobyć, podobnie jak usiłowali osiąść „kryształową tarczę”.

— A klejnoty? Pan o tej sprawie zapomniał — wtrąciła Ludmiła.

Pan Skwarek wzruszył ramionami.

— Państwo wybaczą, ale ja w te klejnoty jakoś nie bardzo wierzę. Jestem człowiekiem, który mocno chodzi po ziemi. Po tylu wiekach szukać ukrytych klejnotów, i to opierając się tylko na legendzie? Nie, proszę państwa. Nie wierzę w to.

Znowu zapadło milczenie. Argumentom magistra Skwarka trudno było cokolwiek przeciwstawić.

Milczenie nasze przerwała panna Helenka. Nagle zwróciła się do ojca:

— Tato, czy pamiętasz, kto w czasach Rudolfa II zasłynął jako znawca cudownych właściwości szlchetnych kamieni? Czy nazwisko jego nie brzmiało Dawid Katz?

— Ależ tak, Helenko — uradował się pan Dohnal. — Masz rację. Nawet opublikował on pracę na ten temat, pod tytułem: „O cudownych właściwościach szlchetnych kamieni”.

Nie słuchałem dalej. Na dźwięk nazwiska Dawid Katz aż drgnąłem i z trudem opanowałem okrzyk zdumienia. Przypomniał mi się mały domek w okolicach Zagórza, sędziwy Jan Sekundus, kolekcjoner starych ikon, i sprawa skradzionego mu egzemplarza książki Dawida Katza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z DZIENNIKA BAŚKI

...Bardzo długo wspinaliśmy się na szczyt Chryszczatej. Dojście na górę jest strome, trzeba się pięć na wielki garb pokryty bukowym lasem. Wspinaczkę utrudnia wysoka po pas trawa i gęste zarośla. Wszędzie pełno zwalonych pni i głębokich wykrotów.

Był upał i choć las dawał nam cień, to przecież już wkrótce wszyscy oblewaliśmy się potem, a płuca nasze pracowały ciężko, krótkimi oddechami. Nogi grzęzły w grubej warstwie zeschniętego listowia, twarz drapały gałęzie. Sprzęt turystyczny wydawał się chwilami ciężarem ponad siły. Najgorzej było omijać wielkie zwalone pnie. Niektóre z nich były zupełnie spróchniałe. Poniedziałek wszedł na pień, który nagle rozsypał się pod nim, i chłopak zjechał kilka metrów po stromym zboczu.

Ta ciężka droga na szczyt pozwoliła nam uświadomić sobie, dlaczego UPA właśnie Chryszczatą wybrała sobie na jedną ze swych głównych siedzib. Ile trudu trzeba było, aby ją zdobyć i wykurzyć z niej zbrojne bandy! Żołnierze wspinali się na górę w pełnym uzbrojeniu wojskowym ostrzeliwując się i jednocześnie kryjąc przed strzałami, omijając pola minowe. A jednak zdobyli Chryszczatą i wykurzyli z niej setnie UPA, dowodzone przez „Stacha”, „Hrynia” i „Bira”.

Z DZIENNIKA BAŚKI (C.D.)

Następną noc spędziliśmy na Wołosaniu (1071 metrów nad poziomem morza). Było chłodno, ale rano wstaliśmy bardzo rześcy i pełni energii. Na szczycie Wołosania znaleźliśmy

wieżę; był z niej piękny i rozległy widok na pasmo Łopiennika, na garby Matragony i Hyrlatej. W dali rysowały się jeszcze jakieś góry, ale już nie potrafiliśmy ich rozpoznać.

Z Wołosania, brzegiem potoku o nie znanej nam nazwie, przedarliśmy się przez lasy do asfaltowej szosy z Baligrodu i pomaszerowaliśmy do Cisnej.

Jest tam restauracja, kino, sklepy spożywcze, stacja benzynowa i stacja turystyczna. Zjedliśmy obiad i zaopatrzywszy się w produkty żywnościowe postanowiliśmy ruszyć dalej, na Połoninę Wetlińską.

W Cisnej, tuż przy szosie, zauważyłem mały obskurny barak, coś w rodzaju kiosku. Napis nad drzwiami głosił: „Pamiętka z Bieszczad. Józef Gnat”. W niedużym oknie wystawowym widziało się kolorowe pocztówki z widokiem gór bieszczadzkich i wycięte z dykty, pomalowane i przyklejone do deseczek przeróżne zwierzęta leśne, jak sarna, niedźwiedź, wilk. Na każdej z tych figurek barwny napis głosił „Pamiętka z Bieszczad”. Były tam też popielniczki wyrzeźbione w drzewie, cygarniczki i pudełeczka.

Piątek trącił mnie łokciem i wskazując kiosk zaproponował:

— Może kupimy kilka pocztówek, Baśka. Nie jesteś ciekaw, jak wygląda Józef Gnat?

Pomyślałem, że to dobry pomysł, i skierowałem się do baraku. Kupujących pamiętki nie było, siedział tam tylko młody chłopak, lat około dwudziestu, i pisał coś na pocztówce.

— Chciałbym widokówkę. O tę... i tamtą... — wskazałem te, które mi się podobały.

Wraz z nami podeszło do kiosku jeszcze kilku chłopców, a wśród nich grubasek przewany Czwartkiem. Nigdy nie przypuszczałem, że z Czwartka jest aż taki esteta. Zaledwie rzucił okiem na wyłożone na wystawie „Pamiętka z Bieszczad”, zaraz odsunął mnie od okienka w kiosku, wsadził głowę do środka i zaczął wymyślać chłopakowi, który wybierał dla mnie widokówki:

— Jak się pan nie wstydzi sprzedawać coś takiego? Przecież to najgorsza tandeta i przykład złego gustu! To są sarny? Nie, panie, to są sarno-wilki! A to nie niedźwiedzie, tylko niedźwiedzio-borsuki! A tamto? To ma być wilk? Nie, to wyżeł, proszę pana. Za takie sprawy powinno się wsadzić do więzienia pod zarzutem szerzenia złego gustu.

Chłopak w kiosku aż oniemiał. A potem poczerwieniał z gniewu i wrzasnął:

— Co cię to obchodzi, szczeniaku! Wynoś się, bo jak ci przyłożę, to wylecisz z Cisnej jak z procy. Nie podobają ci się pamiętki? To nie kupuj ich, smarkaczu. Jazda stąd!

Zamachnął się ręką na Czwartka, który zdążył wycofać głowę z okienka.

— Ty też należysz do tej bandy? — zapytał mnie chłopak z kiosku. — Masz swoje pocztówki, płac i zjeżdżaj.

Trzęsącymi się ze złości rękami zgarnął kilka pocztówek ze stołu i rzucił mi je do okienka.

Zapłaciłem pośpiesznie i umknąłem. Koledzy szli już brzegiem szosy, zaśmiewając się z owych niedźwiedzio-borsuków i sarno-wilków, które odkrył w kiosku nasz Czwartek.

Profesor Hilary zgromił jednak Czwartka. Powiedział, że wprawdzie pamiątki z kiosku to rzeczywiście przykład złego smaku i straszliwej tandety, ale Czwartek mógł na to zwrócić uwagę w innej formie.

A ja, oglądając kupione widokówki, nagle stwierdziłem, że chłopak w zdenerwowaniu nie dał mi tych, o które prosiłem. Ba, jedna z nich była zapisana i nawet częściowo zaadresowana. Sprzedał mi tę, na której pisał w chwili, gdy podeszliśmy do kiosku.

Nie mam zwyczaju czytać cudzej korespondencji. Ale wybaczcie mi, tu chodziło przecież o Gnata, osobę, którą uważałem za nieco podejrzaną. Rzuciłem więc okiem na widokówkę.

Gnat zamierzał wysłać ją do Pragi Czeskiej „Praha I, Poste Restante”. Niestety, nazwiska adresata jeszcze nie zdążył wpisać.

Praha? — i od razu przypomniałem sobie, że pan Tomasz pojechał do Pragi Czeskiej.

Teraz już z czystym sumieniem przeczytałem:

Szanowny Panie!

Mam znowu na oku bardzo ładny obrazek pamiątkowy. Będzie jednak o wiele drożej kosztować, bo dużo jest przy nim pracy. Proszę przyjechać jak najszybciej, to załatwimy tę sprawę.

Podpisano — *Franek Gnat*

Franek, a nie Józef. „A więc ten chłopak, to zapewne syn Józefa Gnata” — pomyślałem, bo taki wniosek sam się narzucał. Zastanowiła mnie też sprawa „pamiątkowego obrazka”. Może w kiosku Gnata sprzedawano również i pamiątkowe obrazki, jakieś straszliwe malowidła, landszafty z widokiem Bieszczadów? Ale czyżby takimi potwornościami interesował się ktoś z Pragi i specjalnie po taki landszaft przyjeżdżał?

„A może to jakiś szyfr”? — medytowałem.

Jak by nie było, zawróciłem do kiosku. Wsadziłem głowę w okienko i powiedziałem do Franka Gnata:

— Przepraszam pana, ale przez pomyłkę dał mi pan zapisaną widokówkę.

— Co takiego? To znowu ty? — rozżłościł się chłopak.

Niemal wyrwał mi z ręki pocztówkę, rzucił mi zamiast niej inną i z trzaskiem zamknął okienko.

Pobiegłem za naszą gromadką, która oddalała się szosą w stronę Wetliny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PRZEDZIWNE WŁAŚCIWOŚCI SZLACHETNYCH KAMIENI • ZAGADKA SZAFIRU • DAWID KATZ • „STÓŁ PRZYMIERZA” • DZIWNY PLAN • „U STAREHO HRZBITOVA” • HISTORIA O GOLEMIE • U GROBU ŚWIĘTOBLIWEGO MĘŻA • ZNOWU ZDENEK BLACHA • NIEBIESKI LIST • NAJPIĘKNIEJSZA KOBIETA • ZDUMIENIE • RÓŻOKRZYŻOWIEC

Następnego dnia zjawiłem się w Klementinum, czyli praskiej bibliotece uniwersyteckiej.

Wypełniłem starannie kilka formularzy potrzebnych do uzyskania wglądu do starodruków i uzyskawszy odpowiednie zezwolenie stanąłem przed ladą, gdzie wydawano książki.

Bibliotekarz był starym człowiekiem, ze wspaniałą siwą brodą. Na nosie miał okulary w cieniutkiej metalowej oprawce.

— Dawid Katz „O właściwościach szlachetnych kamieni”? — trochę się zdziwił. — Czy to jakiś nowy bestseller? Pracuję tu prawie czterdzieści lat i jakoś nigdy nie zdarzyło mi się, aby ktoś interesował się tą starocią. A w tym tygodniu pan jest trzecią osobą, która prosi o tę księgę.

— Tak? — ja również się zdziwiłem. — A kim byli moi poprzednicy?

— Nie pamiętam. Zdaje mi się, że jakaś kobieta, potem jakiś mężczyzna... Łatwiej zapamiętuję tytuły niż twarze czytelników — uśmiechnął się rozbijając i podał mi książkę.

Zaciekawiła mnie ta informacja. Nagłe zainteresowanie starą książką Katza nie mogło być przypadkowe. Kto wie, czy w Klementinum nie zjawił się przede mną tajemniczy Robert i chyba ktoś jeszcze, skoro bibliotekarz wspomniał o kilku osobach. Nie ulegało wątpliwości, że na historię połówki talizmanu Kelleya trafił już ktoś przed nami i zagadkę usiłował rozwiązać. Nie wykluczone, że próby kradzieży talizmanu na Złotej Uliczce dokonano po zapoznaniu się z tą historią. „Jak dalece udało się temu człowiekowi lub tym ludziom (bo może było ich kilku?) zgłębić tajemnicę Kelleya?” — zastanawiałem się.

Otrzymałem dość grubą książkę oprawną w świńską skórę i zasiadłem z nią w czytelni przy małym stolczku z lampą. Gdy otworzyłem księgę, zapachniało specyficzną wonią starych druków, którą tak uwielbiałem.

Jak większość starodruków i ta pisana była gotykiem, po łacinie. „Jak to dobrze — pomyślałem — że na historii sztuki miałem lektorat łaciny...”

Rzecz jasna, nie czytałem po łacinie tak swobodnie jak po angielsku czy po niemiecku. Wróciłem więc do lady, gdzie wydawano książki, i poprosiłem jeszcze o słownik łacińsko-polski. Nie chodziło zresztą o to, aby tę starą książkę przetłumaczyć słowo w słowo. Chciałem tylko zorientować się, czy nie kryje się w niej klucz do zrozumienia zagadki talizmanu Kelleya. Mógł przecież istnieć związek między kradzieżą egzemplarza tej książki

ze zbiorów pana Sekundusa z okolic Zagórza, wykupywaniem ikon z tamtego rejonu i sprzedażą ikony w Pradze oraz usiłowaniu kradzieży połówki talizmanu Kelleya.

Lecz stara księga Dawida Katza, mimo że pracowicie przedzierałem się przez jej treść, skrętnie ukrywała przede mną swoją tajemnicę. Był to po prostu obszerny wykład o przeróżnych szlachetnych kamieniach i ich magicznej sile, zdolnej — zdaniem Katza — przynosić jednym szczęście i powodzenie w życiu, innym zaś kłopoty, a nawet choroby i śmierć. Każdy szlachetny kamień wiązał Katz z jakąś określoną planetą i w zależności od tego, „pod jaką gwiazdą” kto się urodził, powinien nosić odpowiedni kamień. Tak na przykład, dla osobników urodzonych pod znakiem Barana najodpowiedniejszy był rubin, dla Byka — szmaragd i agat, dla Bliźniąt — beryl i topaz, dla Raka — szmaragd, opal oraz selenit, dla Lwa — diament i rubin, dla Panny — jaspis, topaz, krwawnik, dla Ryb — ametyst i chryzolit.

Zdaniem Katza każdy kamień zawierał jakąś tajemnicę. Jeden pomagał w miłosnych tarapatkach, inny dodawał odwagi, jeszcze inny przynosił szczęście w różnego rodzaju grach. Dla mnie, współczesnego człowieka, zabawne były te obszerne wywody i uzasadnienia tajemniczych właściwości poszczególnych szlachetnych kamieni. Opisane jednak zostały barwnym językiem, pozwałam więc sobie przytoczyć fragment takiego wywodu, dotyczący szafiru. Oto, co o nim pisze Katz:

„Najdziwniejszym i najbardziej tajemniczym spośród wszystkich klejnotów, czczony jako nieodgadniona pieczęć mądrości — jest szafir. Nazwać go można panem i władcą klejnotów, bo w swych cudownych zaletach przerasta je wszystkie, jednocząc rozliczne i zdumiewające właściwości. Najstarsze księgi świata wyróżniają szafir jako klejnot, w którym ukrywa się tajemnica magnum magisterium, czyli jest kamieniem mądrości.

Ale w czymże kryje się tajemnica tego kamienia? Oto, jeśli okrągło oszlifowany przejrzysty szafir trzymać będziemy pod intensywne światło słońca, zauważymy jego asteryzm, czyli sześciopromienny blask światła. Otoczywszy zaś ową sześciopromienną gwiazdę liniami, otrzymamy figurę, która do złudzenia przypomina sklepienie gotyku lub ręce złożone do modlitwy, gest błagalnie wyciągniętych ramion”.

Ach, czegoż nie dopatrył się Katz w blasku szafiru! Nawet greckiego znaku „rho”. Jego zdaniem wystarczy asteryzm szafiru połączyć liniami, aby otrzymać dziesięć centralnych punktów i dwadzieścia dwie płaszczyzny. A cóż to jest owa liczba dziesięć i dwadzieścia dwa? Czy to nie o nich wspomina kabała? Wszak według kabały dziesięć „Sefirotów” tworzy idealnego człowieka, a dwadzieścia dwa jest liczbą najwyższego wtajemniczenia.

„Szafir — powiada Katz — położony noworodkowi na głowie, chroni go przez całe życie od bólów głowy. Jest on także skutecznym lekarstwem przeciw chorobie oczu. Szafir chroni przed trucizną, a jeśli włoży się go do kielicha z zatrutym winem, płyn zaczyna szumieć, trucizna ulatnia się z kielicha. Umieszczony obok jadowitego węża, powoduje jego natychmiastową śmierć. Noszony na piersiach, pozwala długo zachować zdrowie i czerstwość, a w miejscu, gdzie rozwija się rak, powoduje jego powolne zanikanie. Szafir uspokaja bicie serca, ucisza wzburzone nerwy, tłumi krwotok, gasi gorączkę. Dla ludzi, którzy dążą do zdobycia wiedzy, będzie szafir najlepszym przyjacielem. Chroni przed zdradą — a gdy nieszczęścia nie zdoła odsunąć, traci swą barwę, gaśnie, mętnieje, jakby w poczuciu własnej bezsilności.”

Ale dopiero na końcu jego książki znalazłem ciekawy dla mnie fragment. Oto pisze Katz, że słynny znawca sił nadzmysłowych, doktor John Dee, posiadał „stół przymierza” przybrany wspaniałymi klejnotami. Dzięki nim stół ten pomagał mu kontaktować się ze zjawami pozaziemskimi. Wspomina też Katz, że wspólnie z Kelleyem, który oglądał ów stół, postanowił go odtworzyć i sprawdzić działanie szlachetnych kamieni. Lecz, jak stwierdza:

„Złe siły pokrzyżowały nasze plany, uniemożliwiając eksperymenty naukowe. Uciekając przed Złymi Siłami musieliśmy zniszczyć nasz stół przymierza, a klejnoty ukryliśmy. Tragiczna śmierć Kelleya pokrzyżowała moje plany i dalsze prace nad «stołem przymierza»”.

W tym miejscu na kartkach książki widniał rysunek wierzchniej części „stołu przymierza”, którym posługiwał się mistrz John Dee.

Na zakończenie książki Dawid Katz utyskuje z goryczą:

„Mimo tylu dobrodziejstw, które uczyniłem ludziom, odkrywając przed nimi tajemnice szlachetnych kamieni, dziś żyję w wielkiej nędzy. Klejnoty, które wraz z Kelleyem powierzyliśmy rabinowi Jehudzie Ben Becalel — przepadły, gdyż doszła mnie wieść o jego zgonie. I tak zresztą nie mógłbym ich odzyskać, ponieważ były własnością nie tylko moją, ale i Kelleya, który do grobu zabrał zapewne połówkę talizmanu Jowiszowego, potrzebną dla zwrotu klejnotów. Moja połówka stała się niepotrzebna. Może po latach ktoś odnajdzie obydwie połówki talizmanu. Wówczas niech pójdzie do grobu Löwego, a objawiona mu zostanie tajemnica, stanie się bogatym, gdy ja umieram w nędzy”.

— A więc to tak... — mruknąłem odczytując ostatnie zdania. To w tej książce o szlachetnych kamieniach kryło się wyjaśnienie zagadki połówki talizmanu Kelleya, do której my musieliśmy dojść zupełnie inną drogą, poprzez legendę i dedukcyjne myślenie.

Był teraz dla mnie oczywisty związek między kradzieżą książki Katza z domku Sekundusa i usiłowaniami włamania do muzeum na Złotej Uliczce. Ktoś, kto ukradł tę książkę i zapoznał się z jej treścią, bez trudu pojął, jaką wartość kryje połówka talizmanu Kelleya.

Tym kimś był tajemniczy i nieuchwytny Robert...

A teraz jeszcze jedna niespodzianka, drodzy Czytelnicy. Pora wyjaśnić, że gdy przewracałem pozólkę stronie książki Dawida Katza, w pewnej chwili odkryłem pozostawioną między nimi małą karteczkę z wyrysowanym na niej planem. Karteczka pochodziła z jakiegoś notatnika, plan wyrysowano długopisem. Ktoś, kto czytał książkę Katza — może wczoraj, może przedwczoraj? — jednocześnie wyrysował jakiś plan. Karteczka z planem służyła mu zapewne jako zakładka do książki Katza. I jak to się często zdarza, pozostawił ją w niej przez roztargnienie.

Był to chyba plan jakiegoś bardzo małego miasta. Widziałem kilka uliczek, na peryferiach zaznaczono niewielki prostokąt, coś jakby cmentarz. Tam prowadziła strażka, na której napisano po czesku: „Prawdopodobnie grób Dawida Katza”.

Katz zmarł w Lesku. Jeszcze raz uważnie przyjrzałem się planowi. No tak, to był chyba plan Leska. Oto szosa z Zagórza, oto droga na Baligród, rzeka San przepływająca obok miasteczka.

A więc nieznanymi czytelnik książki Katza wyrysował plan Leska (zapewne jednocześnie z książką Katza wypożyczył w bibliotece mapę Rzeszowszczyzny i odrysował sobie plan Leska), zaznaczając na nim miejsce wiecznego spoczynku autora książki o szlacheckich kamieniach.

Po co to robił?

Chyba tylko w jednym celu. Zamierzał pojechać do Leska i w mieście, gdzie zmarł Dawid Katz, postanowił szukać drugiej połówki talizmanu.

„A więc i ja powinienem jak najszybciej znaleźć się w Lesku — pomyślałem. — To wielka szansa, że zetknę się oko w oko z tym człowiekiem, który być może jest Robertem.”

Z takim postanowieniem zamknąłem książkę i oddałem ją bibliotekarzowi. Kartkę z planem schowałem do portfela.

Było już południe. Zjadłem obiad, kupiłem jedzenie dla Protazego, a potem spacerowałem z nim dwie godziny po pięknych ulicach Pragi.

O czwartej po południu pojechałem na Paryską i pozostawiwszy Protazego w wehikule, zajrzałem do mieszkania państwa Dohnalów.

Zastałem tylko Ludmiłę. Powiedziałem jej, że zamierzam teraz odwiedzić grób Löwego. Zaofiarowała mi swoje towarzystwo, na co przystałem z ochotą, albowiem nigdy jeszcze nie byłem na starym żydowskim cmentarzu, ona zaś ucieszyła się, że sama wskaże mi grób rebeego.

W mieszkaniu na Paryskiej pozostawiłem kartkę dla pana Dohnala i panny Helenki informując ich, dokąd udaliśmy się i kiedy wrócimy. Nasza wyprawa nie mogła zresztą potrwać długo, z Paryskiej na stary żydowski cmentarz jest zaledwie kilka kroków.

Tak, tylko kilka kroków. A jakby się człowiek znalazł w zupełnie innym świecie.

Ulicą Paryską mkną samochody na most Svatopluka Czecha, a tuż obok, w zupełnej ciszy i melancholijnym skupieniu, zatacza łuk maleńka uliczka o nazwie: U stareho hrzbitova, co znaczy: Przy Starym Cmentarzu.

Cztery synagogi, jedna z nich bardzo wiekowa, jak gdyby strzegą spokoju tych, co przed wiekami spoczęli pod stłoczonymi na niewielkiej przestrzeni kamiennymi nagrobkami o dziwnych kształtach i zatartych hebrajskich napisach. To gdzieś tutaj, wedle pradawnej legendy, Jehuda Ben Becalel, zwany reb Löwe, żydowski mag i czarnoksiężnik, ulepił z gliny Golema, podobne do człowieka monstrum, i ożywił go, wkładając mu w usta tabliczkę z magicznym zaklęciem. Stworzył reb Löwe Golema, aby ulżył ludziom w najcięższej pracy. I jak opowiada legenda, Golem pracował pilnie przez sześć dni, lecz w sobotę, gdy Żydzi świętowali, a reb Löwe zapomniał mu wyjąć z ust magiczną tabliczkę, zbuntował się i w złości rozwalął dom swego twórcy, za co ten ukarał go, czyniąc z Golema znowu martwą glinianą kukłę. Inna znowu legenda twierdzi, że reb Löwe kazał Golemowi nosić wodę z rzeki. Lecz po jakimś czasie tak pogrążył się w rozmyślaniach i świętych księgach, że zapomniał o wydanym rozkazie. A bezmyślna kukła wciąż nosiła i nosiła wodę, aż żydowskie miasteczko zalała powódź. Wtedy mądry reb Löwe doszedł do wniosku, że nie może na

świecie istnieć coś wielkiego i silnego, lecz pozbawionego rozumu i serca. Wyjął tabliczkę z ust Golema i uczynił go martwym, a glinianą kukłę ukrył na strychu synagogi Starona. Jest w tej legendzie — tak jak w każdej — ziarno wielkiej mądrości, przestroga dla ludzi, aby nie ufali zbyt wiele własnym dziełom, przeróżnym wspaniałym machinom, ale poddawali je nieustannej kontroli ludzkiego rozumu i serca.

Legenda dodaje, że Golem leży wciąż na strychu synagogi Starona i czeka na tego, kto go ożywi, wkładając mu w usta tabliczkę z magicznym zaklęciem. Inna legenda twierdzi, że gliniana figura rozsypała się w proch i pył, co zapewne jest prawdą, skoro nie znalazł jej młodzieńca Egon Erwin Kisch, który urodził się na Starym Mieście w Pradze i wysłuchawszy legendy wyprawił się na poszukiwanie Golema na strych synagogi Starona. Młody Kisch wyrósł potem na najślynniejszego na świecie dziennikarza, nazwanego „szalejącym reporterem”, a relacje o swej wyprawie na strych synagogi opisał w zbiorze reportaży zatytułowanym „Jarmark sensacji”. Historia o Golemie i rabinie Löwe przewija się zresztą przez karty wielu książek, że wspomnę wielkiego czeskiego pisarza Jiraska albo Meyrinka i jego „Golema”. Albowiem — jak już wspominałem — praski Josefow z jego legendami, z przedziwnym i niepowtarzalnym nastrojem Stareho Hrzbitova, potrafi oddziaływać na wyobraźnię i głęboko zapada w pamięć.

Kiedyś było tu małe żydowskie miasto, wąskie uliczki stłoczone między murami. Straszliwy stan sanitarny, powodujący, że getto żydowskie stało się wylęgarnią chorób i epidemii, zdecydował o jego likwidacji. W XVII wieku zburzono wszystkie domy, z wyjątkiem zabytkowego ratusza i czterech synagog. Ocalał też stary żydowski cmentarz. A na miejscu dawnego getta powstała nowa dzielnica o nazwie Josefow. Hitlerowcy, którzy wszędzie, gdzie sięgała ich władza, niszczyli ślady żydowskiej kultury, nawet synagogi i cmentarze, w Pradze postanowili zorganizować antyżydowskie muzeum i z całej Europy zwieźli do praskich synagog mnóstwo starych judaików. Dziś historyk sztuki ma tu co oglądać: najstarsze na świecie zasłony, kunsztowne srebrne naczynia rytualne i przedmioty kultu religijnego o wielkiej wartości zabytkowej. Turyści chętnie zwiedzają synagogę najwyższego kapłana, Maisla, synagogę Klausa, synagogę Pinkasa, zamienioną po wojnie na mauzoleum ofiar hitleryzmu, i synagogę Starona — najstarszą w Europie, bo zbudowaną w połowie XVII wieku. Zbudowana w stylu wczesnogotyckim, dwunawowa, z krzyżowo-żebrowym sklepieniem, stanowi piękny, ciekawy okaz dawnej architektury.

Historia o glinianym Golemie jest legendą. Lecz reb Löwe żył naprawdę. Na starym cmentarzu znajduje się jego grób i wspaniały renesansowy nagrobek, tak zwana tumba, pięknie rzeźbiona i pokryta hebrajskimi napisami. Ząb czasu — reb Löwe zmarł w 1609 roku — rozluźnił nieco kamienie, tworząc między nimi szczeliny, w których widać mnóstwo karteczek. Na obramowaniu grobowca leży też wiele drobnych kamyczków. Albowiem inna legenda powiada, że potrafi on spełniać życzenia tych, co się do niego zwrócą. Małe karteczki w szczelinach jego tumbi zawierają prośby, a kamyczki na obramowaniu są znakiem czyjegoes przyrzeczenia złożonego przy tym grobie. Nie sądzę oczywiście, aby prażanie lub turyści, którzy licznie odwiedzają to miejsce, dawali wiarę przesądom lub legendzie. Jest to po prostu zwyczaj, sentymentalny gest podobny do tego, który czynią turyści wrzucając pieniążek do fontanny trewirskiej lub na Trafalgar Square w Londynie. Nie śmiejmy się z takich gestów, nie uwłaczają one nam w niczym, a przydają uroku miejscom, które odwiedzamy.

Tu, u renesansowej tumbi rebebo Löwe, mieli się spotkać Kelley i Dawid Katz, gdyby świątobliwy mąż zmarł wcześniej niż mogliby obydwaj zgłosić się do niego po klejnoty. Rzecz jasna, każdy z nich miałby przy sobie swoją połówkę talizmanu.

„Czy naprawdę mądry rebe wierzył, że potrafi im nawet zza grobu wskazać miejsce, gdzie ukrył klejnoty?” — zastanawiałem się mijając synagogę Starona i wkraczając na uliczkę U stareho hrzbitova.

Było popołudnie. Słońce stało jeszcze dość wysoko i lekko czerwieniącym odbłaskiem sączyło się przez gałęzie drzew obrastających stary cmentarz. Zieleń zdawała się być znużona całodziennym upałem, asfalt emanował ciepłem. Uliczka była pusta, słyszało się świergot ptactwa ukrytego wśród liści.

Szliśmy wolno, poddani urokowi tego miejsca.

Ludmiła milczała dyskretnie, zapewne rozumiejąc, że jeszcze raz w spokoju chcę przemyśleć niektóre szczegóły sprawy, której nadałem kryptonim „Tajemnica tajemnic”.

Tak, to był najwłaściwszy kryptonim. Tajemniczy gang, tajemniczy Robert, tajemnicze włamanie do domu Sekundusa i potem na Złotą Uliczkę, tajemnice magów i starych legend, tajne praktyki różokrzyżowców. Chwilami odnosiłem wrażenie, że oto wkraczałem do mrocznego wnętrza złożonego z długiej amfilady pokoi. Każdy z nich krył jakąś zagadkę. Należało rozwiązać je po kolei i iść coraz dalej, aż do ostatniego, gdzie znajdowała się „tajemnica tajemnic”.

Rozszyfrowana została sprawa ikony sprzedanej w sklepie na Vaclavskim Namiesti. Wyjaśniliśmy sprawę włamania do pracowni alchemicznej. Rozszyfrowaliśmy połówkę talizmanu. Przed nami stanęła zagadka Kelleya i Dawida Katza. Lecz oto kolejna tajemnica — zdanie reb Löwego: „Jeśli przyjdziecie do mnie, wydam wam klejnoty. Jeśli żyć nie będę, przyjdźcie do mego grobu”.

Jak je rozumieć?

Reb Löwe nie był szarlatanem, oszustem, złodziejem. Umarł otoczony ogólnym szacunkiem. Nie ma się prawa sądzić, że przywłaszczył sobie dane mu w zaufaniu bogactwo. Jego słowa miały więc zapewne jakiś ukryty sens.

„Te zagadkowe słowa muszą być metaforą, przenośnią, jaką często posługiwali się magowie dla ukrycia istoty sprawy” — rozmyślałem. Ludzie tamtych lat lubowali się zresztą w podobnych rebusach. Rozwiązanie kryje się zatem nie w tajemniczych słowach Löwego, lecz w obydwu połówkach talizmanu. Jeśli reb Löwe powiedział: „Przyjdźcie do mego grobu” mogło to znaczyć: przyjdźcie do mego grobu i zestawcie ze sobą obydwie połówki, a wtedy wiadomym stanie się dla was miejsce, w którym złożyłem wasze klejnoty.

A więc obydwie połówki talizmanu zawierają jakiś plan miejsca ukrycia klejnotów. Nie da się rozszyfrować tego planu, posiadając tylko jedną połówkę. Potrzebne są obie. Obydwaj magowie mieli przecież przyjść do grobu Löwego.

Wyjąłem z portfela kartkę z przerysowanym wizerunkiem talizmanu Kelleya i jeszcze raz przyjrzałem się dokładnie.

Nie, nie było na nim żadnego planu. Po jednej stronie połówka kwadratu magicznego, a po drugiej znak Jowisza, dwie daty i pół rysunku z postacią ludzką pod palmą, a raczej połówką palmy.

„Oto tajemnica tajemnic — pomyślałem. — Tę będzie rozwikłać najtrudniej.”

I schowawszy na powrót kartkę, zacząłem z Ludmiłą zwiedzać stary cmentarz.

Na niewielkiej przestrzeni sterczało z ziemi dwanaście tysięcy kamieni nagrobkowych. Duże i małe, wznoszące się wysoko ponad grunt cmentarza albo już zupełnie zapadłe w ziemię, jedne obok drugich, niemal wchodzące na siebie, szczipione z sobą. Spiczaste lub półokrągłe, rzeźbione misternie lub prosto ociosane kamienne tablice, pamiątka po tych, których przed wiekami skrył ten skrawek praskiej ziemi.

Sterczące w górę stelle kamienne pokrywają niemal każdy kawałek gruntu, tak że nie ma tu prawie drzew, gdzieniegdzie tylko rosną wątłe młode pnie, rozpychające się między kamiennymi płytami. Na każdej płycie napisy hebrajskie, zatarte przez sloty, niezrozumiałe, a przez to pełne groźnego uroku.

Jest to najstarszy cmentarz żydowski w Europie. Założono go w XV wieku i chowano tu zmarłych przez dłuższy czas. Niektóre groby mają po dziesięć pięter, stąd to ogromne nagromadzenie płyt z nazwiskami zmarłych. Tu i ówdzie stoją wspaniałe grobowce, sarkofagi, tumby o dużej wartości artystycznej. Albowiem wbrew obowiązującemu u Żydów prawu religijnemu, zabraniającemu odtwarzać podobizny ludzi, zwierząt i przedmiotów, Żydzi prasy przyozdabiali nagrobki podobiznami zwierząt i przedmiotów, pod ich postaciami wyrażając symbolicznie imiona i nazwiska zmarłych albo uprawiany przez zmarłego zawód. I tak ród Arona przedstawiono poprzez wyrzeźbione ręce, pinceta oznaczała, że zmarły był lekarzem, nożyczki — że był krawcem. Wyrzeźbione na kamieniach lwy, dzbany, jelonki, wszystko to jest świadectwem wspaniałej sztuki kamieniarskiej epoki Odrodzenia w Pradze i stanowi historyczną pamiątkę. Dlatego cmentarz ten, podobnie jak i stary ratusz oraz cztery synagogi, tworzą dziś kompleks Państwowego Muzeum Żydowskiego w Pradze i przez władze czeskie otoczone są troskliwą opieką konserwatorską.

Oto nagrobek z 1476 roku, Avigdora Karo. Oto nagrobek rabina Pinkasa z 1495 roku. Oto nagrobek Dawida Ganse ze znakiem gwiazdy i gęsi. Oto sarkofag Hendle Baseviove z 1628 roku. Oto wspaniale rzeźbiony sarkofag Mojszego z rodu Levitów, zmarłego w 1627 roku...

I wreszcie sarkofag rebego Löwe. Przód i tył stanowią dwa ogromne, pięknie rzeźbione kamienie z ornamentem kolumn, tablic Mojżeszowych. W wyrytym owalu przeży się wspaniały lew, oznaczający imię rebego — Jehuda. Między zaś przednią i tylną ścianą płyty tworzą jakby stromy dach nad grobowcem.

„To tutaj przyjąć mieli obydwaj magowie” — pomyślałem stając w zadumie przy grobie człowieka, który jako nauczyciel w znajdującej się tuż obok szkole talmudycznej zasłynął znajomością wiedzy tajemnej i kabały. Dziesiątki maniaków przez wiele wieków zgłębiało kabałę, aby znaleźć owo magiczne zaklęcie, które Löwemu pozwoliło ożywić glinianego Golema. O grobie Löwego krąży też legenda, że kryje on skarby przeogromne. Podobno w czasie ostatniej wojny Żydzi prasy, przed wywiezieniem do obozów śmierci, tutaj jakoby kryli swoje kosztowności.

Lecz mnie nie interesowały klejnoty okupione krwią i cierpieniem ludzi. Nie pociągały mnie również klejnoty Kelleya i Katza. Pasjonowała mnie tylko zagadka historyczna i dręczyła mnie myśl o przemytnikach ikon, którzy spleli swój trop ze śladem angielskiego czarnoksiężnika.

...Drgnąłem. To Ludmiła chwyciła mnie za rękę i ścisnęła ją mocno.

— Niech pan spojrzy... — szepnęła.

Pobiegłem wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem. Cmentarz był pusty, więc natychmiast zwróciłem uwagę na kogoś, kto szedł od bramy kierując się w naszą stronę. Po chwili poznałem tego człowieka.

Był to Zdenek Blacha.

A więc nie pojechał do Pardubic, jak to zapowiadał? Powrócił do Pragi mimo zakazu tajemniczego Roberta. I teraz szedł prosto do grobu Löwego. Po co? Czy podobnie jak i ja szukał tutaj rozwiązania zagadki starego czarnoksiężnika? A może umówił się tutaj z kimś? Z Robertem?

Teraz ja chwyciłem dłoń Ludmiły i nakazując jej największą ostrożność i ciszę, przygarbiony, pobiegłem między grobowcami. Oboje skryliśmy się za wysokim ozdobnym sarkofagiem. Stąd łatwo było obserwować tumbę grobu Löwego i Blachę, który nadchodził.

Chłopak był coraz bliżej. Słyszałem odgłos jego kroków, zgrzyt żwiru pod butami.

Nagle nastała cisza. Zdenek Blacha zatrzymał się.

Ostrożnie wyjrzałem spoza kamiennego nagrobka. Blacha stał odwrócony do nas plecami. Wyjął z kieszeni notesik i długopis, nabazgrał coś, potem wydarł kartkę — niebieską kartkę — i wsunął ją między szczeliny grobowca rebege.

„Czyżby przyszedł prosić o coś świątobliwego męża?” — przemknęła mi przez głowę myśl, którą zaraz wyśmiałem. Blacha nie należał chyba do takich, którzy wierzyli w cudowną moc zmarłego rabina.

Teraz Blacha rozejrzał się po cmentarzu, jak gdyby chcąc się upewnić, czy nikt go nie obserwował.

Znowu usłyszałem zgrzyt żwiru i odgłos oddalających się kroków...

Jeszcze przez jakiś czas czekaliśmy cierpliwie, przyczajeni za grobowcem. Wreszcie wyjrzałem i upewniłem się, że Blacha opuścił cmentarz. Wówczas zrobiłem kilka dużych susów i stanąłem przy grobie Löwego. Dojrzałem niebieską kartkę — wsuniętą między kamienie. Wyciągnąłem ją błyskawicznie, rozwinąłem i przeczytałem:

Szanowny Panie.

Zrobiłem tak, jak pan kazał. W Pardubicach jeden facet, którego znam, za 500 koron wykonał zleconą przez pana robotę. Spotkamy się jutro o dwunastej na Hradczanach. Mam też panu coś ważnego do powiedzenia.

Zdenek

Przeczytałem kartkę dwukrotnie, aby nie uronić żadnego słowa. Potem podałem liścik Ludmile.

— I co o tym myślisz? — zapytałem, gdy skończyła czytać.

— To list do tajemniczego Roberta — odpowiedziała. — Zdenek Blacha pana okłamał twierdząc, że nie ma żadnego kontaktu z Robertem i tylko na jego życzenie spotykał się z nim koło Cedoku. Tu, w tej tumbie, Robert zostawiał listy do Blachy, a Blacha do Roberta. To była ich skrzynka kontaktowa.

— Skrzynka kontaktowa? — uśmiechnąłem się. — A skąd ty wiesz o czymś takim?

— Czytałam powieść o szpiegach. Była tam mowa właśnie o „skrzynkach kontaktowych”. Dwaj szpiedzy, którzy nie znali się wzajemnie, w pewnym umówionym miejscu kładli listy do siebie i wymieniali informacje.

— Miejsce zresztą wybrali znakomicie — stwierdziłem z uznaniem. — W szczeliny grobowca wielu kładzie kartki z życzeniami. Specjalnie chyba wybrali niebieski kolor, aby swoje kartki wyróżnić spośród innych, zazwyczaj białych.

— Napisał, że ma coś ważnego do opowiedzenia. To pewnie o panu, prawda? A co pan myśli o zadaniu, które na rozkaz Roberta wykonał dla Zdenka ktoś w Pardubicach?

— Nie mam pojęcia, o co tu chodzi — westchnąłem. — Ale gdy trafimy na ślad Roberta, i tę sprawę zapewne uda się wyjaśnić.

To mówiąc włożyłem niebieską kartkę w szczelinę grobowca. Ludmiła kiwnęła głową, że zrozumiała, w jaki sposób zamierzam trafić na ślad Roberta.

— Cmentarz zamykają o osiemnastej — powiedziała. — A teraz jest już siedemnasta. Tę godzinkę powinniśmy przesiedzieć za którymś z grobowców. Jeśli Robert dziś nie przyjdzie po list, zapewne zajrzy tu jutro. Cmentarz otwierają o dziesiątej rano. Znowu się zaczaimy tu jutro, prawda? A potem pójdziemy w ślad za Robertem.

— Masz rację, Ludmiło — rzekłem. — Tak właśnie zrobimy.

I już zacząłem się rozglądać za miejscem dogodnym na kryjówkę gdy oto ujrzałem idącą ku nam pannę Helenkę.

— O rany, moja siostra — mruknęła Ludmiła bardzo niezadowolona. — Za nią przyjdzie tu zapewne magister Skwarek i spłoszą nam Roberta.

— Nie przejmuj się — pociesyłem ją. — Będziemy kręcić się po cmentarzu, oglądając grobowce, a jednocześnie nie spuścimy z oczu z tumbi Löwego. Jeśli zauważysz kogoś podejrzanego, daj mi znak. Opuścimy twoją siostrę i pójdziemy jego śladem.

I jak gdyby nic tu nie zaszło, z miłymi uśmiechami powitaliśmy pannę Helenkę.

— Oglądacie grobowiec Löwego? — zainteresowała się. — Jest bardzo piękny, prawda? Czy widzi pan, ile tu przeróżnych karteczek wciśniętych między płyty? Każda zawiera zapewne jakąś prośbę skierowaną do rabina. Szczególnie dużo tych karteczek pojawia się tutaj, gdy ma się odbyć jakiś mecz międzynarodowy, w którym bierze udział praska drużyna. No, i w okresie egzaminów w szkołach. O, tu widać nawet jakąś niebieską karteczkę — wskazała palcem. — Założę się, że kryje miłosne zaklęcia, aby czyjeś serce zwróciło się ku innemu sercu...

Panna Helenka przegrałaby ten zakład. Porozumieliśmy się wzrokiem z Ludmiłą i tak na wszelki wypadek, aby broń Boże panna Helenka nie zechciała sięgnąć po niebieską karteczkę, udaliśmy zaciekawienie sąsiednim grobowcem. Lecz panna Helenka wciąż tkwiła przy tumbie Löwego.

— I co? — zapytała mnie zaczepnie. — Spróbował pan wcielić się w Kelleya i z wyrysowaną na papierze połówką talizmanu zgłosił się pan do Löwego po odbiór klejnotów?

— Nie. Myślę, że nawet z prawdziwą połówką talizmanu Kelleya też nie otrzyma się odpowiedzi od rebege Löwe. Do tego potrzebna jest druga połówka.

— Zgadza się z panem. Magister Skwarek zaproponował wycieczkę do Polski, do Leska, gdzie znajduje się grób Dawida Katza. Zaofiarował się tam zawieźć swoim samochodem ojca, Ludmiłę i mnie.

— Mnie także? — ucieszyła się dziewczynka.

— A tak. I dziś rano wystąpiłam już o wkładki paszportowe.

— Życzę przyjemnej wycieczki — odparłem. — Choć bardzo wątpię, czy po tylu latach uda się wam odnaleźć w Lesku drugą połówkę talizmanu. To miasteczko, jak również okolice, bardzo ucierpiały podczas wojny, wielu ludzi wyemigrowało, stare pamiątki zaginęły.

— A jednak magister Skwarek wierzy w naszą misję — z uporem pokręciła głową.

Uśmiechnąłem się.

— Myślę, że przede wszystkim zależy mi na pani towarzystwie. I wcale się temu nie dziwię, ani go nie potępiam. Pani jest taka piękna...

Panna Helenka aż tupnęła nogą.

— Nie znoszę komplementów, słyszy pan? Pan magister Skwarek ma tę wyższość nad panem, że nie widzi we mnie kobiety, lecz kustosza.

— W takim razie chyba jest ślepy — stwierdziłem. I dodałem z największym przekonaniem:
— Dla mnie, panno Helenko, jest pani przede wszystkim piękną kobietą. Mało tego — zawołałem z entuzjazmem — bardzo piękną kobietą.

Przypuszczałem, że na te słowa panna Helenka wybuchnie gniewem. Lecz któż zrozumie kobietę? Zarumieniła się jak pensjonarka i zapytała cichutko:

— Naprawdę pan sądzi, że jestem piękna?

— Tak! — wykrzyknąłem z mocą. — I pozostałaby pani dla mnie tak samo piękną i interesującą, gdyby nie miała żadnych ambicji naukowych, była zwykłą sprzątaczką w biurze czy w kinie.

Panna Helenka popatrzyła na mnie bardzo uważnie. A potem zwróciła się do Ludmiły:

— Słyszałaś, Ludka, co mówi pan Tomasz? Zapamiętaj sobie, dziewczyno, że tacy mężczyźni, jak on, należą do najniebezpieczniejszych. Oni właśnie chcą zgubić nas, kobiety. Ich należy się strzec i ich unikać. Pragną każdej kobiecie wmówić, że jedynym jej posłannictwem jest wyjść za mąż, mieć dzieci i opiekować się domem. Co do mnie, ja takim mężczyznom wypowiedziałam walkę. My, kobiety, nie możemy rezygnować z naszych wielkich ambicji.

I chyba dla podkreślenia tych słów, jeszcze raz tupnęła nogą. A trzeba przyznać, że — jakby to określał anatom — kończyny dolne miała niezwykle zgrabne, bardzo długie i wysmukłe, co uwydatniała sukienka mini, którą wyjątkowo tego dnia włożyła zamiast spodni.

Chciałem zaoponować stwierdzając, że przenigdy nie stałem i nie stoję przeciw ambicjom kobiecym. Uważam, że kobiety potrafią: dorównać intelektualnie mężczyznom, co nie przeszkadza, że żadna kobieta budzi moje większe zainteresowanie niż brzydka. Niestety, w tych wywodach przeszkodził mi Skwarek. Pojawił się na cmentarzu, jakby wywołany tupnięciem zgrabnej nóżki panny Dohnalowej.

— Zawitałem na Paryską i dowiedziałem się od pana Dohnała, że jesteście tutaj. Pozwoliłem więc sobie tu przyjść.

Oświadczył też, że po raz pierwszy znalazł się na starym cmentarzu i z największą ciekawością go obejrzy, a przede wszystkim grób reb Löwego.

Staliśmy więc długo przy tumbie świątobliwego męża (widziałem wyraźnie niebieską kartkę wystającą ze szczeliny), a potem zaczęliśmy oglądać inne grobowce. Panna Helenka, jak wiemy, znała hebrajski i tłumaczyła nam niektóre napisy wyryte na kamieniach. Na cmentarzu zaroilo się zresztą od zwiedzających, albowiem przed bramą zatrzymały się dwa ogromne autokary z Włoch.

Włosi byli ruchliwi, kręcili się między grobowcami, zaglądali w każdy kąt. Z największym trudem udawało mi się obserwować grobowiec Löwego. Jakaż jednak to była obserwacja, skoro raz po raz zatrzymywała się przy nim jakaś grupka turystów?

— Jeszcze wczoraj zdecydowałam się przyjąć pańskie zaproszenie na wycieczkę po Polsce — mówiła panna Helenka do pana Skwarka, oprowadzając nas po cmentarzu. — Już złożyłam odpowiednie papiery na wyjazd. I przejrzałam w bibliotece informator o Lesku. Okazuje się, że jest tam również bardzo stary cmentarz żydowski, jeden z nielicznych, jakie ocalały w Polsce po wojnie. Może dzięki mej znajomości hebrajskiego odnajdziemy grób Dawida Katza? Może także trafimy na ślad drugiej połówki talizmanu?

— Tak pani zależy na klejnotach? — zapytałam.

— Myli się pan. Wcale mi nie zależy na klejnotach, i tak przecież trafią one do skarbu państwa. Chodzi mi o samą sprawę. Tyle się nasłuchiwałam o pańskich przygodach, panie Tomasz, o pana niezwykłych umiejętnościach rozwiązywania zagadek historycznych, że postanowiłam sama sobie udowodnić, że kobieta też potrafi być nie najgorszym detektywem.

Zauważyłem, że od pewnego czasu przy grobowcu Löwego stoi jakiś jegomość, niski, korpulentny, ubrany z wyszukaną elegancją. Włosi z wycieczki kręcili się już w innej części cmentarza, a on wciąż tkwił przy grobie, jak pogrążony w głębokiej zadumie. Odtąd spacerując z panną Helenką, Skwarkiem i Ludmiłą, starałem się nadać taki kierunek naszym krokom, aby go mieć wciąż na oku.

— Konkurencja w tej sprawie będzie bardzo duża — powiedział magister Skwarek. — Proszę nie zapominać, że najprawdopodobniej zagadką talizmanu zajmują się także różokrzyżowcy. A oni są potężni, mają do swoich usług najpotężniejsze umysły. Nie jestem pewien, czy i w tej chwili nie śledzą nas oczy jakiegoś różokrzyżowca...

To mówiąc magister Skwarek rozejrzał się bacznie na wszystkie strony.

A ja stwierdziłem z powagą:

— To po prostu mania prześladowcza. Wszędzie wierzy pan w działalność różokrzyżowców.

Magister Skwarek wzruszył ramionami.

— Ja ich lepiej znam, miałem z nimi do czynienia. Piszę o nich pracę doktorską. Wprawdzie moja praca będzie dotyczyć XVI wieku, lecz współcześnie istniejące organizacje różokrzyżowców posiadają wiele archiwalnych materiałów, do których musiałem sięgnąć. W taki sposób zetknąłem się z nimi. Warto podkreślić, że aczkolwiek dość chętnie udzielali mi zezwolenia na wgląd w swoje archiwa, to jednak odnosili się do mnie z pewną dozą podejrzliwości. I niejednokrotnie stwierdzałem, że jestem przez nich śledzony. Tym bardziej dzieje się to teraz, gdy włączyłem się w sprawę talizmanu Kelleya, który oni próbowali wykraść ze Złotej Uliczki...

— Nie wiemy, czy to byli różokrzyżowcy — przerwała mu panna Helenka. — Nie sądzę, aby Zdenek Blacha miał z nimi coś wspólnego.

— Ach — magister Skwarek tylko westchnął z rezygnacją, co miało oznaczać, że i tak nie wierzy, aby zdołał rozproszyć nasze wątpliwości. — Wkrótce się sami przekonacie, że ja mam rację.

Proroce to były słowa. Zniecierpliwiony widokiem jegomościa który od kilkunastu minut wciąż tkwił nieruchomo przy grobie Löwego, pokierowałem w tamtą stronę krokami naszej gromadki. Zatrzymaliśmy się przy tumbie i stojącym obok jegomościu, któremu chciałem się bliżej przyjrzeć.

— O rany, gdzie jest niebieska kartka?! — wyrwało się Ludmile.

Zgromiłem ją wzrokiem, a ona aż usta zakryła dłonią, dopiero teraz świadoma, że powiedziała za dużo.

Ale faktem jest, że list Blachy zniknął. Przepadł. Rozwiął się w powietrzu. Nie było go już w szczelinie między płytami.

— Niebieska kartka? — zdziwiła się panna Helenka. — O czym mówicie? Aha, tu była taka niebieska karteczka, prawdopodobnie z miłosnymi życzeniami. I zniknęła. Ktoś ją chyba zabrał. Tyłu się tu kręci turystów, może któryś wziął ją na pamiątkę?

— Tak, tak — zgodził się Skwarek. — Turyści to straszni barbarzyńcy. Mają manię zdobywania pamiątek z każdej wycieczki.

Raptem elegancko ubrany jegomość odwrócił się do nas i skłoniwszy się nisko, oświadczył po angielsku:

— Jestem Henry Smith, z Bractwa Różokrzyżowców. Czy mogę z państwem zamienić kilka słów?

Jakby w nas piorun uderzył. Zaniemówiliśmy, a twarze i oczy nasze wyrażały takie zdumienie, jakby przed nami pojawił się upiór.

A pan Henry Smith przyjął nasze milczenie za oznakę braku znajomości języka angielskiego. I przemówił znowu, tym razem po niemiecku.

— Nazywam się Henry Smith, z Bractwa Różokrzyżowców. Czy mógłbym z państwem chwilę porozmawiać?

Nie, to nie był żartowniś. Zażywny jegomość nosił w klapie swego bardzo eleganckiego garnituru mały złoty znaczek: różę i krzyż św. Andrzeja. A taki właśnie jest znak Bractwa Różokrzyżowców.

Zażywny jegomość znowu pomyślał, że nie znamy niemieckiego, wobec czego powtórzył wszystko łamanym czeskim językiem, dodając, że wprawdzie jest Amerykaninem, ma jednak obywatelstwo austriackie, a jego matka była czeską emigrantką w Ameryce i dlatego on zna trochę czeski język. Mówi nim słabo, ale wszystko świetnie rozumie.

Ja pierwszy z naszego towarzystwa ochłonałem ze zdumienia.

— Słuchamy pana uprzejmie — powiedziałem po niemiecku.

Jegomość skłonił mi się, jak gdyby dziękując za te słowa. Potem rozejrzał się po cmentarzu i rzekł:

— Mam państwu bardzo dużo do powiedzenia. Wydaje mi się, że będą to dla was sprawy ważne i interesujące. Jeśli bowiem się nie mylę, zajmujecie się zagadką talizmanu?

— Tak jest — wyjąkała panna Helenka. — Ale skąd pan o tym wie?

Zażywny jegomość roześmiał się cichutko. A potem śmiech jego przeszedł o ton wyżej, w coś w rodzaju chichotu. Jego różowe policzki jeszcze bardziej pokraśniały z zadowolenia. Zatarł swoje małe, pulchne rączki i oświadczył z dumą:

— Państwo chyba nie doceniają różokrzyżowców. Celem naszym jest osiągnięcie poznania pozazmysłowego, ogarnięcie tego, czego nikt do tej pory umysłem ludzkim nie ogarnął. Naszą dewizą stało się hasło: „Poznać to, czego nikt jeszcze nie poznał, zrozumieć to, czego nikt nie zrozumiał”. Udaje się nam niekiedy porozumieć z tymi, co już odeszli z ziemskiego padole łez. Niektórzy z moich braci posiadają zdolności telepatyczne i potrafią bez żadnych środków technicznych przekazywać sobie myśli na odległość. Czasami otrzymujemy nie wiadomo skąd tajemnicze znaki, sygnały, informacje...

— I to drogą telepatii dowiedział się pan o nas? — zadrwiłem.

— Nie — odparł jegomość. — Przybyłem do Pragi, aby rozwikłać zagadkę talizmanu. Rzecz oczywista, że musiałem zjawić się u grobu Löwego, który należał do Wielkich Wtajemniczonych. Na cmentarzu ujrzałem magistra Skwarka i domyśliłem się, że towarzyszące mu osoby zajmują się także zagadką talizmanu. Pan Skwarek chyba mnie jeszcze pamięta? Poznaliśmy się w Wiedniu, dokąd przyjechał, aby studiować archiwa naszego bractwa.

— Tak, przypominam sobie pana — mruknął Skwarek.

— Proszę państwa — oświadczył Smith — mam wam do zakomunikowania ważne sprawy. Na cmentarzu rozmawiać o tym dość trudno. Proponuję spotkać się dziś wieczorem w restauracji „Slovenska jizba” w hotelu „Paryż”. Zgoda?

— Zgoda — szepnęła panna Helenka.

Skłonił się i odszedł z ogromną godnością.

A ja patrzyłem w szczelinę grobowca Löwego, z której zniknęła niebieska kartka. Czy to on ją zabrał i wraz z nią odchodził teraz z cmentarza?

Ale nie powiedziałem na ten temat ani słowa. Pozostała mi bowiem jeszcze jedna szansa. Jutro o dwunastej na Hradczanach Zdenek Blacha miał się z kimś spotkać. Z kim?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

OPOWIADANIE RÓŻOKRZYŻOWCA • CO WIDZIAŁEM NA HRADCZANACH •
POJAWIENIE SIĘ SMITHA • CZERWONY KWIAT • OSOBNIK W BIAŁYM
PROCHOWCU • PIES DEMASKUJE BLACHĘ • DZIWNA PRZYGODA

RÓZOKRZYŻOWCA • FALSZYFIKAT • KTO JEST ROBERTEM • ZNOWU NA STARYM CMENTARZU

Restauracja „Slovenska jizba” mieści się w hotelu „Paryż” przy ulicy U obecniho domu. Podają tam znakomite słowackie specjały, ale nie wymienię wam ich, ponieważ nie pamiętam już, co jadłem i piłem. Przez cały czas absorbowała mnie osoba pana Smitha.

Czekał już tam na nas przy suto zastawionym stoliku. Przyszliśmy bez Ludmiły, która z uwagi na późną porę pozostała w domu. Towarzyszył nam natomiast pan Dohnal, także bardzo ciekawy, jakie wiadomości miał nam do przekazania nasz dziwny nowy znajomy.

— Nazywam się Henry Smith — zaczął przedstawiając się po raz czwarty. — Mieszkam w Wiedniu, gdzie prowadzę jeden z największych w tym mieście sklepów i zakładów jubilerskich. Bractwo Różokrzyżowców, do którego należę, sobie tylko znanymi drogami otrzymało wiadomość, że w Pradze na Złotej Uliczce znajduje się połówka talizmanu należąca do jednego z naszych świętych mężów, Edwarda Kelleya. Z historią tego talizmanu związana jest zagadkowa sprawa ukrytych gdzieś klejnotów. Bractwo nasze, które stara się nawiązać kontakt z siłami pozaziemskimi, szuka po całym świecie relikwii służących dawnym różokrzyżowcom do kontaktu ze zjawami...

— Ach, to wspaniale — wyrwało mi się. — Gdyby tak udało się nam porozumieć z Kelleyem i wyjaśnić jego zagadkę. Albo nawiązać kontakt z Dawidem Katzem i usłyszeć, gdzie znajduje się druga połówka talizmanu.

Pan Smith zmarszczył brwi i powiedział z przyganą w głosie:

— Chyba pan zdaje sobie sprawę, że zarówno w świecie zmysłowym, jak i ponadzmysłowym trwa nieustanna walka Dobrego ze Złem. Dobre duchy powiedziały nam, że w Pradze Czeskiej na Złotej Uliczce znajduje się połówka talizmanu Kelleya. Przybyłem po nią wydelegowany przez nasze Bractwo. Lecz po przyjeździe do Pragi uzyskałem informacje, że z muzeum na Złotej Uliczce ktoś skradł połówkę talizmanu. Fakt ten skonstatowałem ze smutkiem.

— Nie ma powodu do zmartwienia — odezwała się panna Helenka. — Włamywaczowi odebrano jego łup. Odzyskaliśmy połówkę talizmanu, który znajduje się w moich rękach i wkrótce wróci do gabloty muzealnej.

Na twarzy pana Smitha pojawił się wyraz ogromnej ulgi.

— To świetnie. To świetnie. To świetnie — trzykrotnie powtórzył z zadowoleniem.

— No, nie wiem, czy ma pan aż taki powód do radości — stwierdziła z ironią panna Helenka. — Jak już wspomniałam, połówka talizmanu Kelleya wkrótce powróci do gabloty muzealnej. Jest ona własnością państwa. Jeśli wiedeńskie Bractwo Różokrzyżowców traktuje talizman jako swoją świętą relikwię, to będziecie musieli zadowolić się świadomością, że pozostaje ona w Pradze, a nie w Wiedniu.

— No tak, tak, naturalnie — przytaknął gorliwie pan Smith. — Wydaje mi się, że rzeczywiście będziemy musieli zadowolić się tą wiadomością. Choć przyznaję, że z nieco innymi zamiarami przyjechałem do Pragi...

W tym momencie przerwał, zastanowił się i dopiero przełamawszy w sobie jakieś wewnętrzne wahanie, zaczął mówić:

— Państwo pozwolą, że zajmę im jeszcze trochę czasu i opowiem pokrótce historię mej wyprawy do Pragi, gdyż może mieć ona znaczenie dla naszych dalszych wzajemnych stosunków. Otóż, jak już nadmieniałem, jestem z pochodzenia Amerykaninem i biznesmenem pracującym w branży jubilerskiej. Ożeniłem się jednak z Austriaczką, panną z niezwykle arystokratycznego domu hrabiów von Borckdorf-Ahlenfeldt. W rodzinie mojej żony z pokolenia na pokolenie przechodziła godność Kawalera Bractwa Różokrzyżowców. Niestety, ja, amerykański biznesmen, czyli po prostu parweniusz wobec starych arystokratycznych rodów, zaledwie marzyć mogłem o takiej godności, co było przyczyną nieustannej troski mojej żony. Nie muszę państwu chyba opowiadać, ile zabiegów i pieniędzy kosztowało mnie, zanim po kilku latach stałem się Kawalerem Bractwa Różokrzyżowców — powiedział pan Smith, z dumą patrząc na swój złoty znaczek w klapie.

A potem ciągnął dalej:

— Kobietom jednak nigdy dość sukcesów. Wkrótce marzeniem mojej żony, Emmy hrabianki von Borckdorf-Ahlenfeldt, stało się uzyskanie przeze mnie jakiejś wyższej godności w bractwie, na przykład stanowiska sekretarza. O godności prezesa nawet oczywiście i marzyć nie można, gdyż jest nim pan Elard, burgrabia i hrabia zu Dohna, który wstawiał się usiłowaniami kradzieży „kryształowej tarczy” i został przez sąd angielski skazany na wysoką grzywnę, ale powrócił do Wiednia w glorii sławy, jako męczennik sprawy. I oczywiście został natychmiast jednogłośnie wybrany na prezesa. Sami rozumiecie, że w tej sytuacji jego pozycja w bractwie pozostaje niezachwiana i swe stanowisko będzie piastował dożywotnio. Natomiast sekretarzem bractwa jest niejaki Johann Albers, zwykły fabrykant, i do tego producent... pasty do butów — niemal z pogardą rzucił te słowa pan Smith.

— Państwo zapewne zdają sobie sprawę — ciągnął — że czymś znacznie szlachetniejszym, a nawet ośmieliłbym się rzec, czymś znacznie wznioślejszym jest handlować wyrobami ze złota i drogimi kamieniami niż produkować pastę do butów. A ponadto osobnik ten, ów Johann Albers, niczym specjalnie się nie zasłużył dla Bractwa. Opublikował jedynie broszurę o niektórych tajnych praktykach magicznych, prawdopodobnie przez kogoś innego napisaną i kupioną za duże pieniądze. Otóż właśnie żona moja, Emma hrabianka von Borckdorf-Ahlenfeldt, sądzi, że tego osobnika powinienem ja zastąpić na stanowisku sekretarza. Muszę jednak wprzód dokonać jakiegoś wielkiego czynu, który rozślawiłby moje imię wśród różokrzyżowców, budząc podziw i szacunek...

— Mógłby pan na przykład włamać się do muzeum na Złotej Uliczce i skraść połówkę talizmanu Kelleya — podpowiedziałem.

— Tak. Przyznaję, że z początku nosiłem się z podobnym projektem — stwierdził bezwstydnie. — Ale wkrótce zmieniłem zamiar, doszedłem bowiem do wniosku, że byłoby to tylko powtórzeniem czynu Elarda, burgrabiego i hrabiego zu Dohna. Stać mnie na dokonanie czegoś wspanialszego...

— Na przykład, jakiego czynu, jeśli można wiedzieć? — podchwytliwie zapytał magister Skwarek.

— Nie tak dawno wpadła mi w ręce książka niejakiego Dawida Katza o przedziwnych właściwościach szlachetnych kamieni. Zainteresowała mnie ona z tego względu, że i ja, jak to się mówi, pracuję w szlachetnych kamieniach. Kazałem ją przetłumaczyć z łaciny na niemiecki. Otóż w tej książce znalazłem wzmiankę o ukryciu klejnotów przez Kelleya i Katza, i połówkach talizmanu, które mogą doprowadzić do schowka.

— Jednym słowem, chce pan dotrzeć do kryjówki — odpowiedziała panna Helenka.

Ale pan Smith przecząco pokręcił głową:

— Nie zależy mi na tej garści klejnotów, które mogli mieć Kelley i Katz. Wystarczy mi to, co posiadam w swoich kasach pancernych. Rzecz w tym, że w książce Katza znalazłem również rysunek i opis „stołu przymierza”, który zbudował kiedyś John Dee. Przy pomocy tego stołu nawiązywał on kontakt z istotami pozaziemskimi. I ja, proszę państwa, postanowiłem również taki stół zbudować! — obwieścił nam triumfująco.

— To nie jest takie skomplikowane — odezwał się pan Dohnal.

— Państwo się mylą — odparł Smith — „stół przymierza” odtworzyć łatwo, ponieważ zachował się jego rysunek. Ale wiadomo, że nie sam stół umożliwiał kontakty ze zjawami. Powodowały to szlachetne kamienie, którymi był ozdobiony. Niestety, w książce Katza nie wspomniano, jakie kamienie posiadał na swym stole John Dee. A ponieważ mają one przedziwne właściwości, nie jest obojętne, czy stół ozdobiony jest szafirami, rubinami, opalami czy szmaragdami. Jeśli odnajdziemy klejnoty Kelleya i Katza, wówczas dowiem się, jakie kamienie miały im służyć do „stołu przymierza”. Wtedy zbuduję stół, przyozdobię go odpowiednio i wniosę na salę posiedzeń naszego bractwa. Myślę, że to wystarczy, aby fabrykant pasty do butów przestał być sekretarzem i mnie powierzono to stanowisko.

— Pan powiedział: „odnajdziemy klejnoty”. Co pan przez to rozumie? — zapytała panna Helenka.

Pan Smith wstał z krzesła i oświadczył uroczyście:

— Pragnę państwu zaproponować współpracę przy poszukiwaniach klejnotów Kelleya i Katza. Do dyspozycji waszej oddaję swoją osobę, mój portfel oraz samochód marki porsche.

Usiadł i w skupieniu czekał na wynik swej propozycji.

Nie mam pojęcia, co inni z naszego towarzystwa sądzili o tym dziwnym osobniku. Co do mnie, dwie tylko sprawy w jego wypowiedzi mnie zainteresowały. Odrzuciłem gadaninę o przedziwnych umiejętnościach niektórych członków Bractwa Różokrzyżowców, którzy potrafili zdobywać informacje zza świątów. Ktoś musiał powiadomić pana Smitha, że w Pradze na Złotej Uliczce znajduje się połówka talizmanu Kelleya. Kim był ten ktoś? I druga sprawa. Smith wspomniał, że nie tak dawno wpadła mu w ręce książka Dawida Katza. Czy ostatnio nie za często miałem do czynienia z informacjami o tej tak rzadkiej przecież książce?

A może mieliśmy przed sobą tajemniczego Roberta, który po nieudanej próbie kradzieży talizmanu, pod maską Smitha, usiłował dotrzeć do nieosiągalnego dla niego przedmiotu?

Nie. Opowiadania Smitha o jego żonie Emmie, o kłopotach w Bractwie Różokrzyżowców — brzmiały zabawnie, ale właśnie przez to bardzo prawdopodobnie. Wszystko wskazywało, że jest on rzeczywiście tylko biznesmenem, którego snobizmy żony-arystokratki zmuszały do działania w tak dziwnym kierunku. Stąd ta nieoczekiwana propozycja.

Czy można go jednak przyjąć do współpracy przy poszukiwaniach klejnotów Kelleya i Katza?

Na szczęście, nie ja musiałem podejmować decyzję w tej sprawie. To panna Helenka, nie ja, wzięła na siebie rozwiązanie zagadki Kelleya.

A ona milczała, zapewne ogarnięta podobnymi wątpliwościami. Pan Smith zdawał sobie chyba z tego sprawę, bo znowu odezwał się z prośbą w głosie:

— Nie macie do mnie zaufania? Czy nie przekonałem was co do uczciwości swoich zamiarów? Czy naprawdę sądzicie, że jak się pojawia amerykańsko-austriacki biznesmen, to zaraz kryje on w zanadrzu jakiś podstęp, dybie na wasz talizman, na nie odnalezione klejnoty? Przecież nie wyglądam chyba na czarny charakter z kiepskiego filmu sensacyjnego, nie jestem ani złodziejem, ani dywersantem czy szpiegiem.

Uśmiechnąłem się. Pan Smith, ze swoim brzuszkiem i puciołowatą różową twarzą, zupełnie nie wyglądał na „czarny charakter” z sensacyjnego filmu.

Panna Helenka przerwała wreszcie przykre dla Smitha milczenie.

— Pan chyba zdaje sobie sprawę, że odnalezienie klejnotów nie będzie łatwe. Potrzebna jest do tego druga połówka talizmanu.

— Tak jest — gorliwie zgodził się pan Smith. — Wiem o tym. Dlatego nawet przedsięwzięłem już pewne kroki dla ułatwienia naszych poszukiwań. Jutro w kilku gazetach ukaże się moje ogłoszenie, w którym powiadamiam, że „dla celów naukowo-badawczych poszukuje się za wynagrodzeniem informacji lub eksponatów związanych z osobą Kelleya”. Wydałem na to mnóstwo pieniędzy, ale jak powiadam, nie będę szczędził kosztów. Może tą drogą trafimy na ślad drugiej połówki talizmanu?

Panna Helenka okazała mu swoje niezadowolenie, z niesmakiem krzywiąc usta:

— Postąpił pan jak człowiek, który wierzy tylko w potęgę pieniądza. I niepotrzebnie nadał pan tej sprawie aż tyle rozgłosu. Jeśli pan chce nam... pomagać, proszę na przyszłość zawsze konsultować się przed poczynieniem podobnych kroków.

— Więc jednak przyjmiecie mnie do swego grona? — uradował się pan Smith.

— Tak — kiwnęła głową panna Helenka. — Ale powtarzam: nie należy działać na własną rękę. To ogłoszenie nic nam nie da. Talizman bowiem prawdopodobnie znajduje się nie w Czechach, ale w Polsce, w Lesku. Właśnie zamierzamy tam wyjechać.

Smith znowu podniósł się z krzesła i oświadczył uroczyście:

— Jestem do waszej dyspozycji. Ja, mój portfel i mój wóz. Kelner, szampana! — zawołał w stronę przechodzącego kelnera.

Wyjąłem z kieszeni kartkę z planem Leska i wręczyłem ją panie Helence.

— Zdaje mi się, że to pani zostawiła ją przez roztargnienie w książce Dawida Katza — powiedziałem.

Schowała kartkę do torebki.

— Tak, to ja robiłam ten plan — skinęła głową.

Pan Dohnal popatrzył na mnie z uznaniem.

— Nie zasypia pan gruszek w popiele, panie Tomaszu. Zaledwie padło nazwisko Dawida Katza, a już pan sięgnął po jego książkę, podobnie jak Helenka. Innymi słowy, idziecie tym samym tropem.

— Tylko że ja jestem spóźniony o jeden dzień — zauważyłem z uśmiechem. I dodałem żartobliwie: — Mam nadzieję, że w Lesku was dogonię.

— Co takiego? — oburzyła się panna Helenka. — Pan także ma zamiar jechać do Leska na poszukiwanie drugiej połówki talizmanu?

— Nie — odparłem — nie wierzę, aby udało się odnaleźć tę drugą połówkę. Do Leska prowadzą mnie zupełnie inne sprawy.

Z twarzy panny Helenki nie zniknęła jednak nieufność. Być może, nie wierzyła w te jakieś tam moje „inne sprawy”. Szybko jednak doszła do wniosku, że nie jest w stanie zabronić mi wyjazdu do Leska. Zrobiła więc słodką minę, uśmiechnęła się promiennie i powiedziała:

— Czy można mieć do pana prośbę, panie Tomaszu?

— Ależ oczywiście...

— Pan podobno odkrył już wiele... tajemnic. Czy tę z talizmanem Kelleya może pan pozostawić wyłącznie dla mnie?

— Zgoda — kiwnąłem głową. — Przestaną się zajmować zagadką talizmanu Kelleya, choćby i z tego względu, że nie wierzę, aby udało się odnaleźć drugą połówkę. Niestety, nie znaczy to, że nie spotkamy się w Lesku. Jak pani już wspomniałem, prowadzą mnie tam inne sprawy.

Tymczasem kelner postawił na naszym stoliku butelkę szampana. I rozpoczęła się swobodna rozmowa, która ciągnęła się aż do późnej nocy.

* * *

Nazajutrz rano przyjechałem znowu na Paryską. Pana Dohnalę już nie zastałem, ponieważ zaraz po śniadaniu poszedł do biblioteki w Klementinum, aby zapoznać się z dziełem Dawida Katza. Wyobrażałem sobie minę bibliotekarza, gdy będzie mu wręczał nowy bestseller.

Panny Helenki też oczywiście już nie było, urzędowała na Złotej Uliczce.

Swobodnie więc wniosłem na górę małą walizeczkę, w której — tak na wszelki wypadek — woziłem sztuczną brodę, przyciemnione okulary i komplet szminek.

Z pomocą Ludmiły, która zaśmiewała się przy tym do łez, dokonałem zmiany wyglądu swego oblicza. Po tych zabiegach nawet ja sam z trudem rozpoznałem się w lusterku. Protazy zaś — aż warknął, nagle widząc przed sobą obcego człowieka. Tylko węch powiedział mu, że to jednak jestem ja, jego pan.

O wpół do dwunastej zesliśmy do wehikułu i pojechaliśmy na drugi brzeg Wełtawy. Zaparkowałem wóz na rynku Małej Strany i rozstaliśmy się.

Ja — wyglądając niczym jakiś hippis czy malarz — pomaszerowałem na Hradczańskie Namiesti, a Ludmiła w towarzystwie Prota poszła do Starych Zamkowych Schodów, aby od tamtej strony obserwować wędrujących na Hradczany. Któż bowiem mógł wiedzieć, któredy przybędzie Zdenek Blacha? Hradczany to ogromny kompleks budowli, dziesiątkach zakamarków. Nie mieliśmy żadnej pewności, czy w ogóle zdołamy zetknąć się z Blachą, skoro nie podał on w swoim liście, gdzie konkretnie wyznacza spotkanie na Hradczanach.

Praski Gród zwiedzałem kilkakrotnie i dość dobrze orientowałem się w położeniu poszczególnych obiektów. W poszukiwaniu Zdenka Blachy przemierzałem powoli dziedzińce zamkowe, okrążyłem monumentalną katedrę św. Wita — prawdziwy las gotyckich wież i wieżyczek. Ale choć zbliżała się już dwunasta, Zdenka Blachy nie spostrzegłem. „Gdzie on się umówił?” — zastanawiałem się gorączkowo, rozglądając się na wszystkie strony.

A jest tu gdzie wyznaczyć tajne spotkanie. Od niepamiętnych czasów na skalistym ostrogu nad Wełtawą wznosiła się warownia umocniona murami i wałami ziemnymi. Jako siedziba królów czeskich były Hradczany ciągle upiększane, przebudowywane, każdy z władców miał ambicję wznieść jakąś nową imponującą budowlę i świątynię. W ten sposób w ciągu wieków powstało mnóstwo budynków o nieprzeciętnej urodzie, które razem tworzą swoiste dzieło sztuki i stanowią świadectwo historii Czech.

Do upiększenia Zamku Praskiego najbardziej przyczynił się król Karol IV, który rządził w XIV wieku. On to kazał sobie wystawić wspaniały pałac królewski i wzniósł katedrę św. Wita, rozbudowywaną potem niemal do czasów współczesnych. Dobrze się też zasłużył Hradczanom król Władysław Jagiellończyk. Pozostała po nim między innymi wspaniała Sala Władysławowska, tak ogromna, że nie tylko mogły się w niej odbywać sejmy, bale dworskie, przeróżne zgromadzenia, ale nawet turnieje rycerskie. I dziś również jest to miejsce wielkich uroczystości narodowych.

Zamek praski posiada zresztą jeszcze inne sławne sale, jak choćby Sala Hiszpańska, znajdująca się nad dawnymi stajniami cesarza Rudolfa II, gdzie odbywają się ważne dla Czechosłowacji narady polityczne i społeczne.

...Minąłem pierwszy zamkowy dziedziniec, zbudowany na miejscu dawnej fosy. Z filarów głównej bramy spojrzały na mnie twarze walczących ze sobą gigantów. Zatrzymałem się przy schodach prowadzących do salonów reprezentacyjnych prezydenta Republiki, a potem ruszyłem dalej, na drugi dziedziniec zamkowy. Tutaj znowu chwilę stałem obok znajdującej się na środku dziedzińca wielkiej barokowej fontanny z piaskowca, zastanawiając się, czy nie wejść do dawnej kaplicy św. Krzyża. Jako historyk sztuki wabił mnie tam słynny „skarby świętowicki”, złożony z bezcennych przedmiotów liturgicznych i zabytków sztuki sakralnej. Nęciła mnie też wspaniała galeria obrazów w dawnych stajniach Rudolfa II. Lecz przecież nie przybyłem tu, aby napawać oczy muzealnika i miłośnika zabytków. Moim obowiązkiem było odnaleźć Zdenka Blachę.

Jeszcze raz rozejrzałem się po drugim dziedzińcu i raptem — zobaczyłem. Nie, nie Zdenka Blachę. To pan Smith kierował się do katedry św. Wita.

A przecież ten biznesmen nie czynił wrażenia człowieka, który interesował się starą architekturą. Już raczej skłonny byłem sądzić, że wolny czas w Pradze spędzi na oglądaniu sklepów jubilerskich „Jablonexu” ze słynną czeską sztuczną biżuterią. Ale cóż, może myliłem się co do niego? Zapewne kupił przewodnik po Pradze w języku niemieckim lub angielskim, a tam wyraźnie było napisane, że należy obejrzeć Hradczany. I pan Smith tego posłuchał.

Zdenka Blachy nie widziałem, a pan Smith najwyraźniej kierował się do katedry. Intuicja mówiła mi, że nie powinienem spuszczać go z oka, co było łatwe, ponieważ tego dnia wielu ludzi zwiedzało Praski Gród, a ja — jak wiecie — nie przypominałem w niczym człowieka, którego pan Smith poznał w słowackiej restauracji.

Nie, nie tylko intuicja kazała mi go śledzić. Pan Smith ostentacyjnie trzymał w ręku duży czerwony kwiat. Jak gdyby znak rozpoznawczy.

Katedra św. Wita to potężna budowla, ma sto dwadzieścia cztery metry długości, sześćdziesiąt metrów szerokości, a jej gotyckie sklepienia zdają się unosić aż po niebo, dzieli je bowiem od ziemi aż trzydzieści trzy metry wysokości. A jednak całość, mimo swego ogromu, robi wrażenie lekkości.

We wnętrzu trzynawowej świątyni ogarnął mnie chłód, choć na zewnątrz świeciło upalne czerwcowe słońce. Przez wielkie kolorowe witraże spływało słońce, rzucając na posadzkę różnobarwne refleksy.

Lecz pana Smitha zdawał się nie interesować kalejdoskop barw kościelnych witraży ani usytuowany na środku katedry wielki grobowiec królów czeskich, ani znajdujący się w kaplicy św. Wacława renesansowy cykl malowideł, przedstawiający legendę o świętym Wacławie. Nie zaciekało go także znajdujące się w rogu kaplicy wejście do sali koronacyjnej, gdzie przechowywane są klejnoty koronne królów czeskich. A są one bogato zdobione drogimi kamieniami, co przecież powinno zainteresować jubilera. Pan Smith wolnym krokiem leniwego turysty obszedł dookoła całą katedrę zaledwie rzuciwszy okiem na poszczególne kaplice, które zazwyczaj budzą zachwyt zwiedzających, jak na przykład kaplica Waldsteinów z grobowcami budowniczych katedry, Mateusza z Arras i Piotra Parleral, lub kaplica św. Relikwii z grobowcami pierwszych władców Przemysła I i Przemysła II.

Przy głównym wejściu pan Smith zatrzymał się na chwilę, jakby na kogoś czekając. Ja też przystanąłem, kryjąc się za jednym z ogromnych filarów podpierających sklepienie nawy

główniej. I staliśmy tak przez długą chwilę, aż nagle spostrzegłem, że do pana Smitha ktoś podszedł.

Jegomość z brodą, w przyciemnionych okularach, i mimo upału, w białym prochowcu narzuconym na marynarkę. Ta broda i przyciemnione okulary zastanowiły mnie. Przecież i ja nosiłem podobną brodę i miałem podobne okulary. Czyżby więc ten człowiek w prochowcu również się ucharakteryzował, kryjąc swoje prawdziwe oblicze?

Pan Smith i jegomość w prochowcu przywitani się ze sobą. A potem szybko wyszli ze świątyni i skierowali się na trzeci, najstarszy dziedziniec Praskiego Grodu. Tu zatrzymali się przed Pałacem Królewskim z ową słynną Salą Władysławowską.

Gdyby pan Smith pragnął zwiedzić Hradczany, zapewne wszedłby do wnętrza pałacu, aby obejrzeć tę salę, a z niej przejść do dobudowanego w czasach Ludwika Jagiellończyka pałacu, gdzie za salą kolumnową ciągnie się arkadowy korytarz, w którym znajduje się część zbiorów muzealnych. Zobaczyć tam można grób nieznanego wojownika z IX wieku, odkryty na trzecim dziedzińcu podczas wykopalisk archeologicznych, i wiele innych ciekawych eksponatów.

Ale pan Smith i człowiek w prochowcu stali przed pałacem i rozmawiali. Jegomość w prochowcu zdawał się o czymś przekonywać pana Smitha, który oponował, przecząco kręcąc głową. Wreszcie jednak chyba dał się przekonać. Obydwaj nagle ruszyli w stronę Starych Zamkowych Schodów. A ja poszedłem za nimi.

Na Starych Zamkowych Schodach nie zauważyłem Ludmiły, choć przecież powinna tam być, bo tak umawialiśmy się.

Tymczasem Smith i osobnik w prochowcu maszerowali w dół, w stronę Wełtawy. Na ulicy, która zwie się Nabrzeże kpt. Jarosza, zauważyłem pięknego białego porscha z austriacką rejestracją. Czyżby to był wóz pana Smitha?

Tak, nie myliłem się. Obserwowani przeze mnie zmierzali do tego właśnie samochodu, a ja miałem swój wehikuł daleko stąd, aż na Małostrąnskimi Namiestami. A więc odjadą i nie będę wiedział dokąd. Nie dowiem się, kim jest człowiek, który spotkał się z wiedeńskim różokrzyżowcem.

Pan Smith otworzył kluczykiem drzwiczki samochodu, gestem zapraszając osobnika w prochowcu.

Właśnie wsiadali do wozu, gdy nagle od strony uliczki U Pruskich Kasaren wyskoczył mój błękitny dog. W kilku potężnych susach dopadł białego porscha i groźnie warcząc skoczył na osobnika w prochowcu.

Pies był w kagańcu, więc nie mógł zrobić mu nic złego. Lecz napad okazał się tak niespodziewany, że osobnik stracił głowę. Chciał szybko skryć się w samochodzie i... spadły mu okulary, odkleiła się czarna broda.

I oto ujrzałem — Zdenka Blachę.

Tak, to był on. Przyszedł na Hradczany w przebraniu podobnym do mojego. Tyle tylko, że włożył biały prochowiec.

Gwizdnąłem ostro na Prota. Pies stanął nasłuchując. A wtedy Zdenek Blacha wskoczył do porscha zatraskując za sobą drzwiczki. Pani Smith siedział już za kierownicą. Samochód natychmiast ruszył i szybko odjechał.

Po Starych Zamkowych Schodach zbiegła Ludmiła. Krzyczała gniewnie na Prota, ale pies już zdążył mnie zauważyć. Podbiegł do mnie wywijając ogromnym ogonem.

Ludmiła zaczęła wyjaśniać, że znudziło jej się kręcenie po Starych Zamkowych Schodach, pomyślała, że Blacha przyszedł na Hradczany, od innej strony. Zajrzała więc na chwilę do siostry na Złotą Uliczkę, po krótkim jednak czasie wróciła na dawne miejsce.

— Po drodze stwierdziłam, że Prot świetnie rozumie po czesku — opowiadała. — Kazałam mu iść posłusznie przy nodze i on szedł bardzo grzecznie. Odpiełam mu więc smycz. Nagle on rzucił się do przodu i dopędził kogoś przy samochodzie. Nawet nie zdążyłam krzyknąć, żeby się zatrzymał...

— Poznałaś, kto to był?

— Tak. Zdenek Blacha. I pan Smith. Teraz wiemy nareszcie, kim jest tajemniczy Robert.

— Tak, Ludmiło — odparłem bez entuzjazmu. — Ale na przyszłość, błagam cię, nie spuszczaś jednak Prota ze smyczy. Okazuje się, że on ma nieokiełznany charakter i może narobić wiele kłopotu.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego on tak zrobił. Przecież szedł bez smyczy, spokojnie i grzecznie. Tyle ludzi nas mijało, niektórzy nawet do niego zagadywali, a on ani mrugnął okiem. Raptem skoczył na Zdenka Blachę.

— Czytałem, że dogi są bardzo pamiętliwe. Kazałem mu w lesie pilnować Zdenka Blachę, zapamiętał widać, że musi pilnować tego człowieka. I robi to o każdej porze, na każdym miejscu. Nawet nie mogę o to gniewać się na niego.

— A pewnie — gorliwie podchwyciła Ludmiła. — Tylko dzięki Protowi rozpoznał pan Zdenka Blachę. I dzięki Protowi nareszcie trafił pan na Roberta. Teraz chyba już bez większych kłopotów rozwiąże pan sprawę przemycanych ikon.

— Masz rację, Ludmiło — przytaknąłem. — Tylko że...

— Tylko że?

— Nie mam żadnej pewności, że Smith jest Robertem.

— Dlaczego? Skoro Blacha miał o dwunastej na Hradczanach spotkać się z Robertem, a spotkał się z panem Smithem, to znaczy, że Smith jest Robertem. Proste jak to, że dwa jest cztery.

Sceptycznie odniosłem się do tego wyводу.

— Zaczniemy od tego, Ludmiło, że nie mamy żadnej pewności, czy list Blachy skierowany był do Roberta. Może właśnie odbiorcą listu miał być pan Smith? Tylko że...

— Znowu „tylko że” — mruknęła dziewczynka.

— Smith przyszedł na Hradczany z czerwonym kwiatem w ręku. Wyglądało to na znak rozpoznawczy. Innymi słowy, nie znał on Zdenka Blachy ani Zdenek Blacha nie znał Smitha. A przecież korespondowali ze sobą za pośrednictwem skrzynki kontaktowej.

— Szpiedzy z książki też się nie znali i po to mieli skrzynkę kontaktową — odparowała Ludmiła.

— Tak. Ale jednak coś tu nie jest jasne...

— I Zdenek Blacha był w przebraniu? Dlaczego? — Ludmiła podsunęła mi nową myśl.

— A właśnie. Dlaczego przyszedł w przebraniu? Nie zrobił tego ze względu na mnie, ponieważ nie mógł wiedzieć, że ja przeczytałem jego list. Zmienił więc wygląd z uwagi na Smitha, po prostu nie chciał, aby Smith go kiedyś rozpoznał. Dlaczego?

— Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Za dużo tych „dlaczego” — powtarzała Ludmiła.

Pokiwałem głową.

— Tak już jest w tej sprawie, że ciągle musimy sobie zadawać pytanie: „dlaczego” i szukać na nie odpowiedzi. W tym przypadku nie będzie to aż takie trudne. Przy najbliższej okazji zapytam o to pana Smitha.

Na taką okazję nie musiałem nawet zbyt długo czekać. Ponieważ w trzy godziny później, gdy zgodnie z zaproszeniem panny Helenki znowu siedziałem w mieszkaniu przy ulicy Paryskiej (ku mojemu ubolewaniu na obiad zjawił się także pan Skwarek), u drzwi zabrzmiał dzwonek. A po chwili Ludmiła wprowadziła pana Smitha, różokrzyżowca.

— Przepraszam bardzo, że przychodzę w porze obiadu — sumitował się — ale sprawa, która mnie tu sprowadza, jest niezwykle ważna. Dlatego pozwoliłem sobie skorzystać z podanego mi przez państwa adresu prywatnego.

— Proszę siadać z nami do stołu — zaproponował gościnnie pan Dohnal.

Różokrzyżowiec usiadł przy stole, ale jedzenia odmówił, ponieważ już posilił się w restauracji hotelu „Jałta”, gdzie mieszkał.

— Czytaliście chyba moje ogłoszenie w dzisiejszych gazetach — rozpoczął swe wyjaśnienie pan Smith. — Otóż już z samego rana odebrałem telefon w hotelu. Jakiś jegomość powiedział mi, że w związku z moim ogłoszeniem ma mi do przekazania pewną informację. Z sobie wiadomych powodów chce się jednak ze mną spotkać nie w hotelu, ale na Hradczanach. Poprosił, abym jako znak rozpoznawczy trzymał w ręku czerwony kwiat...

Wymieniliśmy z Ludmiłą porozumiewawcze spojrzenia. Nasze spostrzeżenia i wnioski zaczynały znajdować potwierdzenie.

— Wyznaczył spotkanie na dwunastą — ciągnął różokrzyżowiec. — Poszedłem na Hradczany i w katedrze św. Wita ów jegomość podszedł do mnie. Oświadczył, że to on dokonał włamania do muzeum na Złotą Uliczkę i skradł połówkę talizmanu Kelleya. Dał się złapać milicji i odebrano mu talizman. Ale to nie był już prawdziwy talizman, tylko falsyfikat.

— Co takiego?! — zdumiała się panna Helenka.

— A tak, proszę pani. Uciekając po dokonaniu włamania, zdążył ukryć prawdziwy talizman, a falsyfikat miał przy sobie. I do waszych rąk trafił już falsyfikat.

— Nieprawdopodobne... — mruknął pan Skwarek.

— Zaproponował mi kupno prawdziwego talizmanu za pięć tysięcy koron. I pokazał mi oryginalny talizman.

„Może mówi prawdę, a może nie” — zastanawiałem się.

— Pięć tysięcy koron to dla mnie nie taka duża suma. A skoro przyrzekłem nie szczędzić kosztów dla dobra sprawy, zdecydowałem się przystać na warunki. Nie miałem tyle pieniędzy przy sobie, zdecydowałem więc, że pojedziemy razem do banku, gdzie wymienię szylingi na korony. Tak się też stało i oto macie oryginalną połówkę talizmanu.

Położył na obrusie poczerniałą od starości srebrną blaszkę.

— Mogłem ją schować do kieszeni i zabrać z sobą do Wiednia — dodał. — Ale oddaję ją do waszych rąk jako dowód moich uczciwych intencji w tej sprawie.

Wszyscy z ogromnym zainteresowaniem zaczęli oglądać blaszkę, tylko ja siedziałem sztywno przy stole.

— Wygląda na rzecz oryginalną — stwierdził pan Skwarek.

— Owszem — przytaknąłem. — Bo zrobił ją jakiś znakomity fachowiec z Pardubic. Wziął za tę robotę pięćset koron. Na spotkaniu z panem Smithem Zdenek Blacha i Robert zarobili na czysto cztery i pół tysiąca. Opłaciło się, prawda?

Pan Smith patrzył na mnie ze zdumieniem. Podobne spojrzenie rzucili mi: panna Helenka, pan Dohnal i pan Skwarek. Tylko Ludmiła mrugnęła na mnie znacząco, świadoma, z czego wypływa moje jasnowidztwo.

Panna Helenka przyniosła lupę, pan Dohnal — doświadczony rzeczoznawca dzieł sztuki — obejrzał dokładnie połówkę talizmanu. Potem odłożył lupę i stwierdził:

— Dał się pan nabrać, panie Smith. To jednak falsyfikat. Cyfry i rysunek zrobiono niedawno, a tylko przycerniono całość, żeby wyglądało staro... Oryginał jest u Helenki w sejfie muzeum.

— Tam do licha — rzekłem do Smitha. — Przecież jest pan jubilerem. Powinien pan odróżnić starą srebrną blaszkę od nowej.

Zmartwiony pan Smith wziął do ręki lupę i własnym okiem obejrzał talizman.

— Tak, chyba macie rację — westchnął. — Dałem się nabrać. Muszę wam jednak wyznać, że nie jestem jubilerem — fachowcem, lecz biznesmenem. Miałem trochę pieniędzy i za namową żony po prostu kupiłem wielki sklep i zakład jubilerski razem z całą fachową obsługą. Osobiście nie potrafię odróżnić brylantu od oszlifowanego szkiełka. Do tego zatrudniam specjalistów. Na domiar złego transakcja odbyła się w pośpiechu, napadł na nas jakiś wielki pies...

Dałem znak Ludmile. Zrozumiała, o co chodzi, i wyprowadziła z łazienki Prota.

— Czy to ten pies? — zapytałem.

— Tak. Chyba tak... Skąd on się wziął?

— To mój pies — wyjaśniłem. — Ja pana śledziłem, panie Smith. A raczej nie pana, tylko Zdenka Blachę. Czy nie zdziwiło pana, że gdy na Blachę napadł pies, okazało się, że Blacha nosi sztuczną brodę?

— Owszem, ale wytłumaczył mi, że boi się milicji.

— Nie, proszę pana. On wziął pod uwagę, że pan może w końcu skonfrontować oryginał z falsyfikatem. Poczuje się pan oszukany i być może zgłosi się pan na milicję podając rysopis oszusta. Jak powiadam, tę ewentualność wziął on pod uwagę, ale raczej sądził, że pan głęboko ukryje talizman i nikomu go nie pokaże, ponieważ jest to relikwia różokrzyżowców. Ktoś, kto zaaranżował tę sprawę, dość dużo o panu wie. Dużo, ale nie wszystko. Nie przewidział, że pan przyjdzie do nas i położy na stole kupiony talizman. Podejmuję się odszukać Blachę i zażądać zwrotu pieniędzy.

Pan Smith zastanowił się chwilę. A potem rzekł uśmiechając się z odrobiną zażenowania:

— Pięć tysięcy koron to dla mnie nie tak znów wielka strata. Jeśli państwo pozwolą, zabiorę ten falsyfiikat do Wiednia. Może to brzydko z mej strony, ale przekażę go do zbiorów naszego bractwa. Przecież to naprawdę nie ma dla mnie znaczenia: oryginał czy dobrze zrobiony falsyfiikat. Jeśli nie uda nam się odnaleźć klejnotów Kelleya i Katza, niechże przynajmniej ta połówka talizmanu podniesie mój prestiż...

To nie było uczciwe. Ale roześmialiśmy się. Pan Smith tak bardzo chciał osiągnąć godność sekretarza bractwa! Moim zdaniem, cała działalność tego bractwa oparta była na wielkiej bujdzie. Co więc za różnica, jedna bujda więcej czy mniej?

I tak oto wyjaśniło się jedno „dlaczego”.

„Ach, gdyby jeszcze udało się rozwikłać zagadkę Löwego” — pomyślałem.

I zaraz po obiedzie poszedłem znowu na stary żydowski cmentarz. Towarzyszyła mi tylko Ludmiła, z kamerą filmową. Postanowiła uwiecznić mnie na taśmie filmowej właśnie w miejscu, gdzie kryła się „tajemnica tajemnic”.

Tak oto znowu kroczyłem wąską dróżką pośród spiętrzonych płyt nagrobnych, tumb i sarkofagów, jakbym szedł po jakimś ogromnym poboju albo błądził po ruinach zaginionego przed wiekami miasta. Kamienne tablice, niektóre aż do połowy zapadnięte w ziemię, inne wsparte jedna o drugą — wydawały się zmęczone swym nieustannym trwaniem. Zdawały się też przemawiać, szeptać coś swymi napisami. Nie rozumiałem ich języka i czułem się tu jak obcy, który zakłóca spokój. Zostałem oddzielony od nich śmiercią i wiekami. Byłem tu kimś, kto chciał wydrzeć temu zakątkowi jego zagadkę.

Z napięciem wpatrywałem się w bogaty sarkofag rebe Löwego. Ale do mych myśli nie wkraadał się żaden szept, który odkryłby przede mną jej rozwiązanie. No cóż, nie dziwiłem się temu. Byłem tu intruzem, przed takimi właśnie jak ja — historia klejnotów otoczona została niewidzialną zasłoną. Powinienem posiadać obydwie połówki talizmanu, wtedy dopiero byłbym w prawie wdrzeć się za tę zasłonę.

— Niech pan jeszcze raz podejdzie do grobu Löwego — usłyszałem głos Ludmiły, która filmowała mój spacer po starym cmentarzu.

Spełniłem jej życzenie, choć nie czułem się dobrze w roli kogoś, kogo się filmuje, utrwala jego ruchy i wyraz twarzy.

Kamera Ludmiły nareszcie przestała warczeć.

— No i co? I co? — zapytała dziewczynka. — Czy wpadł panu do głowy jakiś pomysł? Miał pan taki wyraz twarzy, jakby rozwiązanie było tuż, tuż o mały kroczek.

— Nie, Ludmiło, muszę cię rozczarować — odrzekłem. — Coraz bardziej upewniam się co do tego, że nie uda się wyjaśnić tej sprawy, jeśli nie będzie się miało drugiej połówki talizmanu. Zastanawiałem się nad zupełnie inną kwestią.

— Nad jaką, jeśli można zapytać?

— Do kogo był skierowany list Zdenka Blachy? Do Roberta czy do pana Smitha? Jeśli wierzyć opowiadaniu Smitha, to nie on wyjął list z grobowca Löwego. A jeśli nie zrobił tego nasz różokrzyżowiec, to kto to uczynił?

— Może Smith kłamie?...

— Czytając list Zdenka odniosłem wrażenie, że pisał on go do kogoś, z kim wielokroć się kontaktował. A Smitha nie znał, nasz różokrzyżowiec musiał mieć znak rozpoznawczy w postaci czerwonego kwiatu, o którym ani słowa nie było w liście. Poza tym Zdenek Blacha przyszedł w przebraniu.

— Nic z tego nie rozumiem — westchnęła.

— Ja także — uśmiechnąłem się.

Ale to nie była prawda. W mojej głowie kiełkowała już pewna myśl.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI • OBURZENIE PANNY HELENKI • BUNT I ZDRADA • DWA IDEAŁY • WYZWANIE NA POJEDYNEK • WYKRĘT MAGISTRA SKWARKA • SMUTNA WIADOMOŚĆ • KTO UKRADŁ IKONY • ROZMOWA W PRASKIEJ MILICJI • W POLSCE • DYREKTOR MARCZAK ŻĄDA WYJAŚNIENIA • HIPOTEZY I CO Z NICH WYNIKŁO

Był to naprawdę feralny wieczór, choć zaczął się bardzo przyjemnie. Spędziłem go jak zwykle u państwa Dohnalów w towarzystwie przemiłego gospodarza, jego córek, pana Skwarka i Smitha. Popijając czarną kawę i sącząc wino, rozmawialiśmy na temat wyprawy do Leska, snuliśmy przypuszczenia co do miejsca, gdzie może znajdować się druga połówka talizmanu.

Pana Smitha zmartwił fakt, że nie wezmę udziału w wyprawie.

— Naprawdę nie może pan nam towarzyszyć? — pytał mnie kilkakrotnie. — Może względy natury materialnej stoją panu na przeszkodzie? Gdyby ta sprawa wchodziła w grę, to... proszę się nie obrazić... służę pożyczką. Dowiedziałem się od pana Dohnala, że pan jest specjalistą od zagadek historycznych, więc pański udział w naszej wyprawie wydaje mi się nieodzowny.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Niestety, drogi panie, tylko względy natury służbowej nie pozwalają mi wam towarzyszyć. Po prostu, otrzymałem od swych władz zwierzchnich inne zadanie i muszę je wykonać. Przyrzekam jednak, że tak czy owak spotkamy się w Lesku, bo i mnie tam pojechać wypada.

— A więc pańska misja jest niejako zbieżna z naszą wyprawą? — uradował się pan Smith.

Wtrąciła się panna Helenka. Jak zwykle nie obyło się bez złośliwości pod moim adresem.

— Pan Tomasz tak sekretnie kryje cel swojej misji, panie Smith, że nikt z nas nic o niej nie wie, i niech pan także nie stara się niczego dowiedzieć.

— O, przepraszam. Ojciec i ja wiemy o misji pana Tomasza! — zawołała Ludmiła.

I tak zaczęły się dla mnie fatalne chwile. Albowiem panna Helenka, usłyszawszy słowa siostry, zmarszczyła brwi i poczuła się obrażona.

— A więc to taaaaak... — syknęła. — To my nie jesteśmy osobami godnymi zaufania. Czy tak to należy rozumieć, panie Tomaszu?

— Nieeee... Niezupełnie — zająknąłem się.

Ludmiła jednak psuła wszystko dalej.

— A właśnie, że dobrze zrozumiałaś, Helenko! — wykrzyknęła. — Ty i pan Skwarek macie swoje sprawy. A ja i pan Tomasz mamy swoje! Ach, wiem, co mi powiesz: „Ja w twoim wieku, moja mała” i tak dalej. I to pewnie jest prawda. Tylko że ja wcale nie chcę z ciebie brać przykładu. Nie chcę tak jak ty udawać mężczyźnię, ale zamierzam zostać stuprocentową kobietą! — zaperzyła się dziewczynka.

— Patrzcie no?... — zdumiała się Helenka.

— A tak — potrząsała głową Ludmiła. — Będę dobrze gotować, prowadzić dom, a także filmować! Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ciebie żaden prawdziwy mężczyzna nie dopuści do swoich spraw, bo ty uważasz go za konkurencję w swoich własnych ambicjach. A ja będę podobna do tych kobiet w historii, które były powiernicami największych męskich tajemnic!

Panna Helenka złapała się za głowę.

— O Boże, co ta dziewczyna wygaduje? I kto jej tak namącił w łepetynie? Wiem kto! Pan Tomasz.

I oskarżycielski palec panny Helenki skierował się ku mnie.

— O, przepraszam — głos zabrał pan Dohnal. — To moja wina, nie pana Tomasza. Postanowiłem przynajmniej jedną z córek wychować na prawdziwą kobietę, z której pociechę mieć będą mąż i dzieci.

Panna Helenka aż zaniemówiła.

— Bunt! — stwierdziła ponuro. — Ta mała zdradziła sprawę wyzwolenia kobiet. I co pan na to, panie magistrze? Czy też pan podziela poglądy mojego papy, a także pana Tomasza? Bo co do pana Smitha, to już wiem, że nade wszystko na świecie przedkłada on ambicje swojej żony, Emmy, hrabianki von Borckdorf-Ahlenfeldt.

Miałem na końcu języka słowa: jest bowiem klasycznym „pantoflarzem”, ale na szczęście ugryzłem się w język.

— Tak jest — zgodził się potulnie pan Smith. — Z powodu ambicji mojej żony siedzę teraz w Pradze i wybieram się do Polski, zamiast doglądać sprzedaży diamentów w moim sklepie w Wiedniu.

Dodałem:

— A także z powodu ambicji pewnej pięknej Czeszki wybieracie się wszyscy na wyprawę do Leska, choć dalipan, żadne z was nie wierzy, aby odnalazła się tam druga połówka talizmanu.

Tego było pannie Helence za wiele.

— Szkoda, że nie mogę pana wyzwąć na pojedynek — syknęła.

— Niestety, należę do tak zwanej słabej płci. Mam nadzieję, że pan magister gotów jest pomścić tę zniewagę.

Magister Skwarek wyprostował swoją postać supermana.

— Bardzo chętnie zboksuję pana Tomasza — rzekł.

Z ubolewaniem pokiwałem głową.

— No tak, jak przychodzi co do czego, to trzeba wołać do pomocy mężczyznę. Trudno, będę się boksować z panem Skwarkiem, choć uważam, że nie gra on z nami uczciwie.

— Jak to: nie gram uczciwie? — oburzył się Skwarek.

— A tak. Nie wypowiedział się pan co do swego ideału kobiety. Czy woli pan ideał panny Helenki, czy Ludmiły?

— Słusznie. Proszę się wypowiedzieć — zażądała stanowczo panna Helenka. — A co do tego boksowania, obejdę się bez pomocy pana Skwarka.

— Będziesz się sama boksować?! — wykrzyknęła zachwycona Ludmiła.

— Coś ty, mała? — Zboksuję go intelektualnie. Po prostu odnajdę tę drugą połówkę talizmanu i to będzie nokaut.

— Przyjmuję walkę — odrzekłem.

I teraz oczy wszystkich zwróciły się na magistra Skwarka. Czekaliśmy na jego, że tak powiem, „ideową deklarację”. A on, biedak, poczerwieniał, kilkakrotnie łyknął ślinę, jakby mu zaschło w ustach.

— Hm... ten tego... jaki ja mam ideał? — bąknął pod nosem. — Jakoś nigdy nie zastanawiałem się nad tym... Hm, cóż mam powiedzieć? Nie mam! — zakrzyknął radośnie, trafiony szczęśliwą myślą. — Nie mam!

— Czego pan nie ma? — zapytała Helenka.

— Nie mam ideału kobiety — odrzekł triumfująco pan Skwarek, rad, że wyłgał się, nie narażając się żadnej ze stron.

— Oto mężczyzna! — lekceważąco stwierdziła panna Helenka. — Nie ma nawet ideału kobiety.

Skwarek skłonił się jej i rzekł:

— Jest nadzieja, że przyjmę ideał, który pani reprezentuje.

— Brawo! To znakomita wypowiedź — zaklaskał w ręce pan Smith.

A potem nastąpiła druga fatalna chwila. Helenka zwróciła się do mnie z ironią:

— A pan pewno już wie, panie Tomaszu, że złodzieje dowiedzieli się zapewne o pańskim wyjeździe z Polski i zabrali się do roboty.

— O czym pani mówi? — zapytałem z niepokojem.

— Nie czytał pan dzisiejszej naszej prasy? Piszą o kradzieży ikon w Polsce.

Dojrzała niepokój na mojej twarzy. Wstała od stołu i przyniosła gazetę wskazując zamieszczoną w niej notatkę.

„Jak donosi z Polski nasz korespondent, w miejscowości Zagórze dokonano włamania do prywatnego mieszkania pana Jana Sekundusa, znanego kolekcjonera starych ikon. Skradziono bardzo cenną XV-wieczną ikonę srebrną oraz tak zwany «prazniczek» z I połowy XVI wieku, ikonę dwutematyczną, z dwoma obrazami na jednej desce: «Zwiastowanie» i «Wjazd do Jerozolimy». Organa MO toczą w tej sprawie śledztwo. Warto na marginesie tej historii wspomnieć, że Ministerstwo Kultury i Sztuki kilkakrotnie zwracało się do pana Sekundusa, aby z uwagi na słabe zabezpieczenie zbiorów i na ich ogromną wartość unikatową przekazał je do muzeum. Kolekcjoner jednak ciągle się wahał, aż nastąpiło najgorsze — włamanie i kradzież. Drukujemy wzmiankę o tym wydarzeniu także dlatego, że i na terenie Czechosłowacji znajdują się kolekcjonerzy, posiadający unikatowe zbiory nie najlepiej zabezpieczone przed kradzieżą. Może wydarzenie w Polsce skłoni ich do przekazania najcenniejszych przedmiotów do dobrze zabezpieczonych muzeów.”

Przez dłuższą chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu, tak byłem wstrząśnięty tą informacją.

— Dwutematyczny „prazniczek” Sekundusa i jego srebrna ikona? — wybełkotałem wreszcie — Ależ to, proszę państwa, rzeczy bezcenne! W Polsce mamy tylko jedną dwutematyczną ikonę i znajdowała się ona właśnie u Sekundusa. A tak go prosiłem, żeby przekazał ją do muzeum...

Opanowałem się. Wstałem od stołu i oświadczyłem:

— Państwo wybaczą, ale ja muszę natychmiast wracać do kraju. Bardzo dziękuję za gościnę, lecz sprawa tej kradzieży zmusza mnie do wyjazdu.

— Teraz? Dzisiaj? Wieczorem? — zdumiał się pan Dohnal. — Będzie pan jechał przez całą noc, a to nie jest bezpieczne nawet dla znakomitego kierowcy.

I wszyscy zaczęli mnie zatrzymywać, nawet panna Helenka.

Pozostałem u gościnnych Dohnalów, bo rzeczywiście nie było sensu jechać nocą przez Czechy. Zresztą, miałem w Pradze do załatwienia jeszcze pewną ważną sprawę, z którą musiałem zaczekać do jutra.

Tak więc aż do późnego wieczora przesiedziałem u państwa Dohnalów, choć już nie brałem udziału w ogólnej rozmowie, wciąż zaprzątnięty tym, co się zdarzyło w Polsce podczas mojej nieobecności.

Pan Dohnal opowiadał o przeróżnych złodziejach dzieł sztuki, z którymi miał do czynienia podczas swej pracy w muzeum, pan Smith mówił o złodziejach włamujących się do sklepów jubilerskich. A ja ciągle przebywałem myślami w małym domku koło Zagórza i zastanawiałem się, czy włamanie do Sekundusa miało jakiś związek z tajemniczym Robertem i szajką przemytników, której ślad przywiódł mnie do Pragi.

Jedno było pewne, nieuchwytny Robert przebywał w Pradze i nie on włamał się do Sekundusa. Gang przemytników ikon, jak do tej pory, ograniczał się wyłącznie do skupowania starych ikon i przemykania ich za granicę. Czyżby więc włamanie do Sekundusa nie miało nic wspólnego z działalnością gangu i tajemniczego Roberta?

A może źródło zakupu ikon już wyszło i gang doszedł do wniosku, że trzeba zdobyć ikony przy pomocy włamania i kradzieży? Proceder z przemytem i sprzedażą ikon zagranicą był tak intratny, że nie chcieli z niego zrezygnować i również zdecydowali się przemycać skradzione ikony?

Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Pełen więc wewnętrznej rozterki pożegnałem gościnny dom Dohnalów, uściskałem serdecznie Ludmiłę, ucałowałem dłoń panny Helenki, podałem rękę Skwarkowi i panu Smithowi. Uściskaliśmy się też mocno z panem Dohnalem.

Powiedziałem wszystkim: „Do zobaczenia w Lesku”, a potem wyprowadziłem Prota z łazienki i odjechałem na swój camping.

Po prawie bezsennej nocy wczesnym rankiem zjawiłem się w Praskiej Komendzie Głównej Milicji, przedstawiłem się oficerowi, do którego mnie skierowano, wyłuszczyłem cel swego przybycia do Pragi i opowiedziałem o historii sprzedanej w Pradze ikony, o Zdenku Blasze i tajemniczym Robercie. Wspomniałem również o historii z połówką talizmanu i związanych z nią osobach.

Wysłuchano mnie uważnie, tym bardziej że w sprawie ikon przemykanych do Wiednia mieli już wcześniej sygnał od polskiej milicji. Obiecano zająć się wnikliwie podanymi przeze mnie faktami i przesłuchać Zdenka Blachę już nie tylko na okoliczność jego włamania do muzeum, ale i w sprawie sprzedanej przez niego ikony.

W kwadrans później już wyjeżdżałem z Pragi, kierując się do Polski.

Opuszczałem z żalem piękną Złotą Pragę, nie tylko, przyznaję, ze względu na urok miasta pełnego zabytków. Miałem w pamięci prześliczną twarz panny Helenki, zdawało mi się, że wciąż brzmi mi w uszach jej głos, uroczy nawet wtedy, gdy gniewała się na mnie.

Do Warszawy przybyłem następnego dnia po południu, bez żadnych przygód. A nazajutrz rano stawiłem się w Ministerstwie Kultury i Sztuki i stanąłem przed obliczem dyrektora Marczaka.

Głęboka zmarszczka przecinała czoło dyrektora, a pełen napięcia wyraz jego twarzy mówił mi, że Marczak oczekuje ode mnie rozwiązania sprawy gangu.

— O włamaniu do domu Sekundusa chyba pan słyszał? — zapytał.

— Dowiedziałem się o tym w Pradze i natychmiast zdecydowałem się powrócić do kraju.

— Po co? — wzruszył ramionami Marczak. — Wywnioskowałem z pańskiego listu, że jest pan na tropie przestępców i należało tę sprawę doprowadzić do końca. Jak pan sam wie, włamaniami i kradzieżami dzieł sztuki zajmuje się u nas nie Ministerstwo Kultury, ale organa ścigania, czyli Milicja Obywatelska. Ona ma tę sprawę w swoich rękach i mam nadzieję, że odnajdzie nie tylko sprawców, ale i skradzione ikony.

— W Pradze straciłem trop — przyznałem się. — Z początku wydawało mi się, że tylko mały krok dzieli mnie od zdemaskowania przestępców. Niestety, wszystko bardzo się skomplikowało.

I opowiedziałem o swoich praskich przygodach.

Dyrektor wysłuchał mnie uważnie i w milczeniu, bo był to człowiek mądry i miał do mnie duże zaufanie, choć tego nie okazywał.

— Yhm — chrząknął, gdy zakończyłem opowiadanie.

A wiadomo przecież, że jego słynne chrząknięcie, w zależności od tonacji, w jakiej zostało wydane, oznaczało zadowolenie lub gniew. Tym jednak razem słynne „yhmknięcie” dyrektora brzmiało bardzo groźnie.

— Nie rozumiem, po co pan wrócił? — burknął. — Należało ponawiać próby zdemaskowania Roberta. Czy pan sądzi naiwnie, że on zjawi się tutaj w ślad za panem?

— Tak właśnie sędzę.

— Jeszcze nie słyszałem, aby jakiś przestępca gonił za kimś, kto go tropi. Nie, panie Tomaszu, ta koncepcja funta kłaków niewarta.

— A jednak przy niej obstaję — sprzeciwiłem się. — Na moją korzyść przemawiają dwie okoliczności. Pierwsza, to włamanie do domu Sekundusa i kradzież dwóch ikon. Chyba oczywiste jest, panie dyrektorze, że żadnej z tych ikon ze względu na ich unikalny charakter nie da się złodziejom sprzedać w kraju. A więc wnioskować można, że kradzież ta została dokonana z myślą o odbiorcy zagranicznym, czyli innymi słowy dokonał jej nasz gang przemytników. Pozostaje dla przestępców problem przemycenia ikon za granicę. Myślę, że to dość trudna sprawa i aby ją rozwiązać, pojawi się w Polsce również tajemniczy Robert.

— To nie jest słuszny wniosek. Równie dobrze ów Robert może mieć w Polsce znakomitego zastępcę, który mu zorganizuje przemyt ikon do Wiednia. Na pana miejscu pozostałbym w Pradze.

— Zapomina pan o drugiej sprawie: o talizmanie Kelleya. Z tajemniczych względów zagadka talizmanu Kelleya interesuje Roberta. Przecież nawet sprzedał w Pradze ikonę przemyconą z Polski, aby opłacić włamywacza w osobie Zdenka Blachy. Obecnie szykuje się do Polski wyprawa w celu odnalezienia drugiej połówki talizmanu, co, być może, pozwoli rozwiązać zagadkę. Jeśli mu tak na tym zależy, czy pozostanie bierny w Pradze? Nie. Myślę, że zdecyduje się przyjechać do Polski, aby śledzić ich poczynania.

— A pan co będzie robił? — zapytał Marczak.

— Nie wierzę, aby udało się w Polsce odnaleźć drugą połówkę talizmanu. Nie chcę zresztą odbierać pannie Dohnalowej laurów poszukiwacza. Ale przecież mogę interesować się przebiegiem poszukiwań. Sądzę, że z boku będzie mi łatwiej obserwować, co dzieje się wśród uczestników wyprawy oraz w jej otoczeniu.

— Co do tych laurów panny Dohnalowej — dodał dyrektor — to nie miałbym nic przeciwko temu, aby pan odnalazł drugą połówkę talizmanu. Rzecz jasna, oddamy ją naszym czeskim przyjaciołom, ale to zawsze byłby dla nas duży plus, gdybyśmy okazali się lepsi.

Taki był właśnie dyrektor Marczak. Zawsze miał na względzie dobre imię swego departamentu. Już sama myśl, że kto inny mógłby w naszym kraju odnaleźć coś, czego nie udało się odnaleźć jego pracownikom, była mu nieprzyjemna.

— Przyrzekłem pannie Dohnalowej, że nie będę zajmował się tą sprawą — oświadczyłem Marczakowi.

— Nie musi pan specjalnie zajmować się tą sprawą. Ale gdyby tak mimochodem, szukając Roberta, jednocześnie znalazł pan i drugą połówkę talizmanu, nie potępiłbym wcale pana i nie uważałbym, że złamał pan przyrzeczenie. A swoją drogą, dlaczego ten Robert aż tak bardzo interesuje się zagadką talizmanu?

— Może chce zdobyć klejnoty Kelleya i Katza?

— E tam, panie Tomaszu, to wszystko bzdura. Robert rysuje mi się w wyobraźni jako wielki spryciarz. On lubi zielone dolarowe papierki, które można otrzymać za nasze ikony. Czy taki osobnik wierzyłby, że stary reb Löwe da mu z za grobu wskazówkę, gdzie ukrył klejnoty czarnoksiężników?

Uśmiechnąłem się. I potakująco kiwnąłem głową.

— Zgadzam się z panem.

— No, widzi pan — ucieszył się Marczak zadowolony, że pochwaliłem jego przenikliwość.
— I dlatego moim zdaniem wystarczy dowiedzieć się, dlaczego Robert interesuje się historią talizmanu, a trafi się i na samego Roberta.

— Wałęsają mi się po głowie pewne hipotezy — odezwałem się po chwili wahania.

— Jakie?

— Wydaje mi się, że jeszcze jest trochę za wcześnie, aby o nich mówić.

— Cóż to, pan ma jakieś tajemnice przed swoim zwierzchnikiem?

Nie pozostało mi nic innego jak wyłuszczyć Marczakowi swoje hipotezy. Przez cały czas, gdy mówiłem, dyrektor „yhmkał” na różne tony, z coraz większym zadowoleniem. A wreszcie uderzył dłonią w biurko i zakrzyknął:

— Świetnie! Znakomicie! Podobają mi się pana hipotezy, choć jak na razie nie mają żadnych realnych podstaw.

Potem zamilkł na chwilę, jakby ogarnięty jakąś wspaniałą wizją. Jego surowe oblicze rozpromieniło się.

— Od jutra idę na urlop — oświadczył nieoczekiwanie. — Zaproponowano mi kajakowe wczasy na Mazurach. Podobają mi się jeziora, drogi panie, ale do kajakowania już się nie nadaję. Dlatego wybiorę się w Bieszczady, na przykład... do Leska. Z plecakiem, ze sprzętem turystycznym, na samotną górską wycieczkę.

— Ach tak? To wspaniale — zawołałem, choć wcale nie byłem zachwycony perspektywą nieustannego spotkania dyrektora Marcza.

A on klepnął mnie po kolanie i stwierdził:

— Rzecz jasna, wybiorę się tam incognito, pan rozumie? Przyda się panu oko i ucho zwierchnika.

Opuszczając gabinet dyrektora, usłyszałem:

— A więc do zobaczenia na bieszczadzkich szlakach, panie Tomasz.

— Aha — przypomniałem coś sobie i zawróciłem od drzwi. — Nie wiem, czy pan pamięta, że pies...

— Pan znowu o psie? — jęknął dyrektor. — Miałem nadzieję, że się go pan pozbył.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Z DZIENNIKA BAŚKI

I znowu jesteśmy w Lesku — po długiej, uciążliwej, pieszej wędrówce przez Bieszczady. Wróciliśmy na camping PTTK nad Sanem do pozostawionych tu naszych bagaży. Postanowiliśmy odpocząć, bo niektórzy z nas bardzo się zmęczyli. Mamy poobcierane nogi, bolą nas wszystkie kości. Nawet profesor Hilary obtarł sobie aż do krwi prawą piętę i nie może włożyć buta. Musimy przynajmniej przez kilka dni posiedzieć w Lesku, wykurować się i dopiero wtedy wyruszyć dalej. I jeszcze nie wiemy dokąd. Może przez góry Słonne? A może do Sanoka, gdzie obejrzelibyśmy tamtejszy skansen?

Przebyliśmy szmat drogi. Przez Połoninę Wetlińską i Połoninę Caryńską dostaliśmy się do Ustrzyk Górnych, a potem wzdłuż szosy, rezygnując ze zdobycia Krzemienia, Halicza i Tarnicy — bo okazało się, że nie wszyscy z nas nadają się do wędrówki po górach — pomaszzerowaliśmy do Ustrzyk Dolnych. Następnie zwiedziliśmy zaporę na Solinie, Myczkowce i zakończyliśmy marszrutę w gościnnym Lesku.

Tutaj dotarła do nas wiadomość o włamaniu do domku pana Sekundusa i kradzieży dwóch bezcennych ikon.

Ciekawe, kto to zrobił i gdzie, u licha, podziewa się Pan Samochodzik? Dlaczego tak długo nie daje o sobie znaku życia? Czy wciąż jeszcze przebywa w Pradze?

Wszyscy chłopcy, a także profesor Hilary, bardzo się przejęli wiadomością o kradzieży. Ciekawym, czy włamanie do Sekundusa ma jakiś związek z gangiem przemytników ikon, o którym mówił pan Tomasz?

Wieczorem zeszliśmy się w świetlicy PTTK, gdzie — jak się okazało — właśnie nawalił telewizor. Zaczęliśmy więc rozmowę o kradzieży ikon. Niemal wszyscy, nie wyłączając także profesora Hilarego, byli zdania, że ikony ukradł albo jakiś zwariowany na tym punkcie kolekcjoner, albo zwykli złodzieje, którzy ikony natychmiast sprzedadzą.

Wtedy ja zabrałem głos i powiedziałem, że najprawdopodobniej ikony skradziono z myślą o wywiezieniu ich za granicę, zrobił to więc albo jakiś cudzoziemiec, albo ktoś, kto wyjedzie wkrótce z Polski.

— Dlaczego tak przypuszczasz? — zapytał profesor Hilary.

Wyjaśniłem:

— To wierutne bajki, że kolekcjonerzy, nawet bardzo namiętni, włamują się i kradną dzieła sztuki. Mam znajomego, który zna wielu kolekcjonerów i uważa, że nie są oni zdolni do takiego czynu, albowiem bardzo kochają zabytki kultury. Wątpliwe też jest, aby złodzieje mogli skradzione ikony sprzedać w naszym kraju, cała prasa bowiem doniosła o włamaniu i opisała skradzione obrazy. Nikt, kto ma głowę na karku, nie zaryzykowałby kupna tych ikon. I złodzieje chyba brali to pod uwagę. Jeśli więc kradli, to z myślą o wywiezieniu za granicę. Kto wie, czy skradzione ikony nie pozostają ukryte gdzieś w tych okolicach i nie czekają, aż przyjedzie ktoś z Pragi lub Wiednia i przemyci je przez granicę.

— Dlaczego właśnie z Pragi, Wiednia, a nie z Londynu? — roześmiał się profesor Hilary.

Powtórzyłem to, co mi mówił pan Tomasz. Przemycane ikony sprzedawano w Wiedniu. Przemyt prawdopodobnie odbywał się przez Pragę.

— Tak uważam, że przybędzie po nie ktoś z Pragi lub Wiednia — powtórzyłem z uporem.

W tym momencie, jakby za wymówieniem czarnoksiężskiego zaklęcia, zobaczyliśmy przez okna świetlicy, że na parking campingu zajeżdżają dwa samochody osobowe: fiat 125p i piękny biały porsche z austriacką rejestracją. O dziwo, z obydwu samochodów wysiedli Czesi. Najwyraźniej usłyszeliśmy język czeski.

Czesi w polskim i austriackim samochodzie?

— Bardzo dziwne — mruknąłem.

Wszyscy chłopcy usłyszeli to mrukniecie i stało się dla nich jasne, że to jakaś podejrzana historia.

Wśród przybyłych znajdowali się dwaj starsi panowie, jeden puciołowaty, niski, z brzuszkiem — z tym można było najlepiej dogadać się po niemiecku lub po angielsku, o czym dowiedzieliśmy się, gdy ów pan zamawiał dla siebie osobny domek campingowy. Drugi zaś pan, mniej więcej w tym samym wieku, lecz łysy, był niewątpliwie Czechem. W tym towarzystwie znajdowała się także ładna, młoda pani, Czeszka, co okazało się, gdy wypełniała kartę meldunkową, oraz dziewczynka w naszym wieku, również Czeszka, młodsza siostra tej ładnej pani. Łysy, szczupły starszy pan był ich ojcem. Do tego towarzystwa należy jeszcze Polak, który prowadził fiata 125p, a nazywa się Franciszek Skwarek.

Wynajęli trzy domki campingowe na okres tygodnia. W jednym zamieszkały obie siostry Czeszki, w drugim ich ojciec i ten Polak, w trzecim zaś Austriak o nazwisku Smith.

— To wcale nie austriackie nazwisko — szepnął mi na ucho Piątek. — Gdyby był naprawdę Austriakiem, nazywałby się Schmidt, co znaczy kowal. Schmidt to taki polski Kowalski. Zaś Kowalski po angielsku znaczy Smith.

Patrzcie no, jaki z tego Piątka lingwista! Ale chyba ma słuszność. Jednym słowem, podejrzana grupa.

Profesorowi Hilaremu nie podobały się nasze rozmowy.

— Baśka zaraził was podejrzliwością — oświadczył. — To Bogu ducha winni ludzie. Tacy sami turyści jak wy. Skąd wam przyszło do głowy, że oni mają coś wspólnego ze skradzionymi ikonami pana Sekundusa?

Ale ja byłem innego zdania. Namówiłem grubego Czwartka, który miał się za wielkiego podrywacza, aby zaznajomił się z młodą Czeszką i — jak to się mówi — zasięgnął języka.

Dowiedział się jednak od niej bardzo mało. Dziewczynka miała na imię Ludmiła i oświadczyła, że przyjechali z Pragi. Nic więcej, ale to i tak dużo, zważywszy, że ona nie mówiła po polsku, a on po czesku.

Wtedy ja wziąłem się na sposób. Zgromadziłem kupione przez nas mapki Bieszczad, foldery, przewodniki i ze sporym plikiem tych papierzysk poszedłem do domku zajmowanego przez Polaka nazwiskiem Skwarek.

— Zapewne wybierają się państwo na zwiedzenie gór bieszczadzkich — powiedziałem uśmiechając się grzecznie. — Nam nie są już potrzebne te przewodniki i foldery, i chętnie je sprzedamy, bo potrzebujemy pieniędzy na cukierki.

— Przewodniki? Foldery? — burknął do mnie pan Skwarek.

— Nie, chłopcze, sprzedaj je komu innemu. Nie mamy zamiaru chodzić po górach ani zwiedzać Bieszczad.

— To po co tu przyjechaliście? — zapytałem, niby to ze szczerego serca. — W Lesku nie ma przecież nic ciekawego do oglądania.

Skwarek łypnął na mnie okiem i znowu burknął, ale tym razem bardzo niegrzecznie:

— A co cię to obchodzi? Nie chcę twoich przewodników i folderów, więc zwiewaj stąd.

Wzruszyłem ramionami i natychmiast odszedłem. Ale przecież dowiedziałem się bardzo dużo.

W takiej sytuacji zaprosiłem wszystkich chłopaków do domku campingowego, w którym mieszkałem razem z Piątkiem, i urządziliśmy coś w rodzaju narady wojennej. W wyniku tej narady każdy z podejrzanych turystów otrzymał przydzielonego mu przeze mnie detektywa w osobie jednego z naszych chłopców. Zadaniem takiego detektywa było śledzić od rana do wieczora wszelkie poczynania podejrzanego. Nas było ośmiu, a turystów pięcioro. Dlatego co bardziej podejrzanym turystom, jak na przykład Skwarkowi i Austriakowi, przydzieliłem aż po dwóch detektywów, bo przecież niewykluczone, że mogą usiłować wyprowadzić w pole jednego detektywa.

Z DZIENNIKA BAŚKI (C.D.)

Nie wszyscy nasi detektywi mieli następnego dnia zajęcie. Osobnik nazwiskiem Skwarek wsiadł rano w swój samochód, fiat 125p, i pojechał nim dokądś, a wrócił dopiero po południu. Rzecz jasna, nikt z nas nie mógł go śledzić, nie posiadamy, niestety, samochodu ani motocykla. Podejrzany Austriak zaraz z rana, korzystając ze słonecznej pogody, położył się na kocu na brzegu Sanu i opalał się w towarzystwie drugiego starszego pana. Więc ich detektywi także próżnowali, to znaczy wraz z profesorem Hilarym leżeli na brzegu rzeki.

Co się tyczy Ludmiły, to ta dziewczynka ma kamerę filmową i najpierw fotografowała domy i uliczki w Lesku, potem brzeg rzeki i wodę przelewającą się przez ogromne głazy. Nasz detektyw — Wtorek — zaprzyjaźnił się z Ludmiłą i nosił jej kamerę, a także, gdy go o to poprosiła, odgrywał jakieś scenki przed obiektywem.

Najbardziej podejrzanie zachowywała się panna Helenka. Zaraz po śniadaniu poszła za miasteczko, gdzie na malowniczym wzgórzu porośniętym dębami znajduje się bardzo stary żydowski cmentarzyk. I aż do południa usiłowała odczytać zatarte napisy na kamiennych płytach nagrobnych, co widocznie nie przychodziło jej łatwo, ponieważ raz po raz musiała zaglądać do grubej książki, zapewne do słownika. Zresztą, napisy są bardzo niewyraźne, tak że Czeszka wodziła palcem po wgłębieniach na kamieniu, aby uzmysłować sobie kształt liter. Po co odczytywała napisy na starych nagrobkach?

Gdy tylko przydzielony detektyw zameldował mi, co ona robi, natychmiast osobiście udałem się na obserwację.

Cmentarzyk — to pełne uroków miejsce, aż dziwne, że nie zwiedziliśmy go za pierwszą bytnością w Lesku. Jest to wzgórze ze starymi dębami. Ich korzenie, grubsze od ramienia

bardzo tęgiego mężczyzny, oplatają kamienne płyty, co świadczy, że leżały one tu wcześniej, niż zaczęły rosnąć dęby, a te mają po trzysta albo i więcej lat. Zresztą, przeczytałem potem w przewodniku, że cmentarzyk posiada nagrobki aż z XVI wieku, gdy w te okolice przybyli Żydzi, którzy uciekli z Hiszpanii.

Stare dęby, kamienne nagrobki w trawie, w uścisku potężnych ramion grubych drzew — ileż w tym uroku i poezji. A ze wzgórza widok na bieszczadzkie pasma gór...

W cieniu dębów siedziała Czeszka i odczytywała stare napisy.

— Ona chyba jest naukowcem — oświadczyłem Poniedziałkowi, który był jej przydzielony jako detektyw. Tym niemniej kazałem mu w dalszym ciągu mieć ją na oku, a sam powróciłem na camping.

W samą porę. Bo oto usłyszałem, jak Wtorek oświadczył chłopcom, którzy opalali się nad rzeką, że zrzeka się funkcji detektywa, przestaje śledzić Ludmiłę i idzie grać z nią w badminton. Co też i uczynił. Wrócił do Ludmiły już nie w charakterze detektywa, lecz kolegi do zabawy.

Profesor Hilary stwierdził, że źle postępuję, ponieważ ze względu na swoje detektywistyczne ambicje stwarzam atmosferę podejrzliwości.

Ale następna godzina utwierdziła mnie znowu w moich podejrzeniach.

Oto w recepcji campingu zjawił się niski, krępy jegomość o okazałej łysinie. Twarz jego wydawała się mi znajoma, co zdziwiło mnie bardzo, gdyż nie mam żadnych znajomości wśród taterników. A ten człowiek — lat chyba około pięćdziesięciu — musi być doświadczonym taternikiem. Miał buty podbite ogromnymi gwoździami, z jego plecaka wyglądał zwój grubej liny. Wspierał się na czekanie, u pasa wisały mu haki potrzebne do pokonywania stromizn skalnych. Z takim ekwipunkiem widziałem taterników wybierających się na Orlą Perć i Zawrat. W Bieszczadach nie ma takich stromizn, ale jak się ktoś uprze...

Najpierw taternik wynajął domek. Potem zapytał w recepcji, czy do Leska na camping przybyli już państwo Dohnalowie z Pragi Czeskiej. „Tak” — odparła recepcjonistka. A Dohnalowie to przecież ci podejrzani przeze mnie turyści.

Zwróciłem więc jeszcze baczniejszą uwagę na taternika i o mało nie krzyknąłem ze zdumienia. Toż to był pan Marczak z Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków, którego poznałem we Fromborku ubiegłego lata. Dyrektor Marczak, zwierzchnik pana Tomasza.

Teraz już było dla mnie oczywiste, że miałem rację podejrzewając przybyszów z Pragi o jakieś nieczne zamysły. Skoro dyrektor Marczak pofatygował się do Leska osobiście i pytał o owych Dohnalów, znaczyło to, że postanowił mieć na nich baczenie. Tylko dlaczego przyjechał tu bez Pana Samochodzika?

Przed obiadem powrócił skądś swym wozem osobnik o nazwisku Franciszek Skwarek. Zaraz też Czesi, Austriak i ów Polak zasiedli w stołówce do obiadu. Zwróciłem uwagę, że dyrektor Marczak zajął miejsce w najbliższym sąsiedztwie tych ludzi i pilnie nadstawał uszu.

Po obiedzie Skwarek i panna Helena udali się na spacer po Lesku, a pan Dohnal i Austriak znowu rozłożyli się na kocach nad brzegiem Sanu. Pogoda, trzeba przyznać, była przepiękna, więc trudno się dziwić, że i nasi chłopcy wraz z profesorem Hilarym także wybrali brzeg rzeki. Gdy zjawiała się nad rzeką Ludmiła z kamerą filmową, wszyscy chcieli być aktorami w jej filmie i robili najgłupsze na świecie miny. Wkrótce przybył tam także dyrektor Marczak, rozłożył swój koc w pobliżu koca Austriaka i pana Dohnala i wdał się z nimi w rozmowę w języku niemieckim. „On ich śledzi — pomyślałem — i stara się ich pociągnąć za język”.

Doszedłem do wniosku, że nad Sanem jestem niepotrzebny, ponieważ tutaj czuwa dyrektor Marczak. Zacząłem więc namawiać Piątka na spacer po Lesku i obserwowanie pary, która poszła do miasteczka.

— Ty ciągle myślisz, że oni mają coś wspólnego z kradzieżą ikon? — kpił ze mnie Piątek. — Chcesz, żebyśmy się smażyli na ulicach, gdy tak pięknie jest nad rzeką?

Wskazałem mu rozłożonego na kocu dyrektora Marczaka i wyjawilem Piątkowi, kim on jest.

— Przybył tutaj incognito. I zaraz na wstępie zapytał o tych Czechów. Możesz mówić, co chcesz, ale coś w tym jest...

Piątek nie dostrzegł w tym nic niezwykłego, ale chyba dlatego, że po prostu nie chciało mu się łązić w upał po ulicach.

W końcu jednak poszliśmy do miasteczka. Skwarka i pannę Dohnalową napotkaliśmy przed wejściem do budynku, w którym mieści się oddział PTTK i muzeum przyrodnicze. Skwarek służył Czeszce za tłumacza i głośno rozmawiał z kierowniczką muzeum, a my, przysłuchując się rozmowie, udawaliśmy, że pilnie oglądamy eksponaty.

Przede wszystkim dowiedzieliśmy się, że budynek, w którym mieści się oddział PTTK, to obronna synagoga, prawdopodobnie z pierwszej połowy XVII wieku. Zniszczyli ją hitlerowcy, ale nasze władze odremontowały ją w 1963 roku i przeznaczyły na pomieszczenie dla PTTK i muzeum.

Skwarek zapytał kierowniczkę muzeum, czy w magazynach muzealnych nie posiadają jakichś starych przedmiotów. I pokazał małą srebrną blaszkę zapytując, czy ona czegoś takiego nie ma albo u kogoś nie widziała. Kierowniczka odpowiedziała, że niczego takiego u nikogo nie widziała i w magazynach muzealnych także nie ma, bo to jest przecież muzeum przyrodnicze.

Trąciliśmy się łokciami z Piątkiem. Teraz wszystko było jasne — Czeszka szukała tutaj podobnej srebrnej blaszki.

A tymczasem nad brzegiem Sanu zastaliśmy nową sytuację. Dyrektor Marczak zaprzyjaźnił się ze Smithem. Na jego prośbę wymalował kolorowymi flamastrami plakat. Wynikało z niego, że ten, kto dostarczy informację o drugiej części blaszki, otrzyma pięć tysięcy złotych nagrody. Na plakacie wyrysowana została blaszka i dokładnie opisana. Informatorzy mieli się zgłaszać do pan Smitha: „Camping, domek nr 5”. Ten plakat pan Smith osobiście przyczepił pinezkami do drzwi restauracji w Lesku.

A więc cała sprawa wyjaśniła się. Przybysze nie mieli nic wspólnego z kradzieżą ikon, lecz przyjechali do Leska, aby odnaleźć jakąś srebrną blaszkę.

Profesor Hilary tryumfował.

— Przekonałeś się, Baśka, że nie należy być aż tak podejrzliwym. Nie wydaje mi się, abyś nadawał się do roli samozwańczego detektywa.

Trochę zawstydziły mnie jego słowa. Ale zaraz pomyślałem, że ta historia z blaszką także wygląda dość dziwnie. Bo po co im ta rzecz? I dlaczego dyrektor Marczak udaje taternika?

Tak mnie ta sprawa gnębiła, że z trapiących mnie wątpliwości zwierzyłem się Piątkowi. Opowiedziałem mu o Panu Samochodziku i o naszych poprzednich przygodach.

— Ach, gdyby tu był z nami pan Tomasz — westchnąłem — wszystko stałoby się natychmiast jasne i zrozumiałe.

— A jak myślisz, gdzie on jest teraz? — zapytał Piątek.

— Tropi gang przemytników starych ikon — odpowiedziałem z głębokim przekonaniem. — W dzień i w nocy ich śledzi. Ty go nie znasz, ale możesz mi wierzyć, że to nadzwyczajny człowiek. Gdyby wiedział, że panu Sekundusowi skradziono ikony, zapewne przyjechałby tutaj i nie spoczęlibyśmy, dopóki przestępcy nie zostaliby schwytani. On nie należy do takich, co to leżą nad rzeką i opalają się albo czytają książki, gdy obok dzieje się coś złego.

Te ostatnie słowa skierowałem do moich kolegów, którzy opalali się nad Sanem.

W tym momencie podszedł do nas Wtorek i oświadczył kpiąco:

— Skoro udajesz takiego wielkiego detektywa, Baśka, to ci powiem, że niedaleko stąd, nad rzeką, urządził sobie biwak jakiś podejrzany osobnik.

— Podejrzany?

— Przecież dla ciebie wszyscy są podejrzani — szydził. — A on zachowuje się dość dziwnie. Postawił swój samochód nad wodą, nakrył go płachtą. Gdy przechodziłem obok, zauważyłem, że z walizki wyjął jakieś grube tomisko i jakby jakąś perukę... Akurat coś dla takich detektywów, jak ty i Piątek.

Może żartował. Należało jednak sprawdzić jego informacje.

— Ach, gdyby tu był z nami pan Tomasz — jeszcze raz westchnąłem.

Poszliśmy z Piątkiem brzegiem rzeki. I rzeczywiście, po krótkiej wędrówce zobaczyliśmy nakryty płachtą samochód, stojący tuż nad wodą. Na brzegu leżało mnóstwo wielkich głazów, więc do biwaku można było podejść niezauważenie.

— Zrobimy to po indiańsku — szepnąłem do Piątka.

Zaczęliśmy pełzać, kryjąc się za głazami. I wkrótce znaleźliśmy się bardzo blisko od nakrytego płachtą samochodu. A potem zobaczyliśmy tego człowieka. Odwrócony do nas plecami, leżał na kocu nad rzeką. Opalając się czytał książkę.

— Musimy poczekać, aż odwróci się do nas twarzą — szepnąłem do Piątka.

— Ale on nie wygląda podejrzanie — mruknął Piątek.

— To nic. Żaden podejrzany człowiek nie wygląda podejrzanie — znowu szepnąłem.

I raptem, gdy tak leżałem wyciągnięty na ziemi i ukryty za wielkim głazem, wpatrując się w człowieka czytającego książkę, tuż nad sobą usłyszałem dziwne sapanie. Podniosłem głowę i ujrzałem coś strasznego. Jakby pysk niedźwiedzia albo lamparta. Nie, to był ogromny pies. Stał nade mną i przyglądał mi się z wielką uwagą.

— O Boże... — jęknął przerażony Piątek, który także zobaczył ogromnego psa.

A wtedy człowiek na kocu odwrócił się i zawołał:

— Prot, do nogi!

Spostrzegłszy nas, dodał:

— Daj spokój, Prot, tym dwóm młodym ludziom. O, jeśli się nie mylę... jeden z nich to mój przyjaciel, Baśka!

Albowiem był to Pan Samochodzik.

Wielki pies zostawił nas w spokoju i usiadł posłusznie obok pana Tomasza. My także po chwili siedzieliśmy już na jego kocu.

— Co pan tu robi, panie Tomaszu? — zapytałem ochłonawszy ze zdumienia.

— Co robię? Przecież widziałeś. Czytam. Cykl „Przekłęci królowie” Maurice Druona. To pasjonująca lektura.

— Nie tropi pan gangu przemytników?! — stwierdziłem niemal z oburzeniem.

Pan Tomasz popatrzył na mnie uważnie i uśmiechnął się pod nosem.

— Zareczam ci, Baśka, że trudno oderwać się od tych książek.

Potem spoważniał i wysłuchał mojego sprawozdania z wędrowki po Bieszczadach. Opowiedział nam także o swych przeżyciach w Pradze.

Wówczas zrozumiałem, że być detektywem, to nie znaczy podejrzewać dookoła wszystkich ludzi. Bo czym to się u mnie skończyło? Że zacząłem śledzić nawet pana Tomasza.

— A dlaczego pan się ukrywa? Czemu pan nie zamieszkał na campingu? — dopytywałem się, bo wydawało mi się, że pan Tomasz coś chowa w zanadru.

— Ach, Baśka, Baśka — znowu uśmiechnął się pan Tomasz. — Czy nie zauważyłeś napisu przy wejździe na camping: „Wprowadzanie psów wzbronione”? Przed dwiema godzinami

przyjechałem do Leska od pana Sekundusa. Przeczytałem napis i nie chcąc rozstawać się z Protem, zdecydowałem biwakować poza polem campingowym. Nie miałem innego wyjścia. Przyrządziłem sobie tutaj obiad, odpocząłem przy lekturze, a teraz pójdę z wami na camping, aby się przywitać z moimi praskimi przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SKWAREK SZUKA PREZENTU • BIZNES PANA SMITHA • ILE KOSZTUJE KRYSTAŁOWA KULA • CZY MĘŻCZYŹNI SĄ EGOISTAMI • ZABAWIAM SIĘ WE WRÓZBITĘ • RELACJA ZE ŚLEDZTWA • CHŁOPAK NA HONDZIE • O ŻYŁCE SPORTOWEJ • SKANSEN W SANOKU • JAK WYGLĄDAŁA CHYŻA • FRAPUJĄCA WIADOMOŚĆ • POCAŁUNEK

Dzień wstał smutny, szary i mglisty. Z samego rana na moim biwaku nad rzeką odwiedził mnie magister Skwarek.

— Mam prośbę do pana — oświadczył. — Chciałbym panie Helence sprawić jakiś prezent, który byłby miłą pamiątką jej pobytu w Polsce. Ona, jeśli pan sobie przypomina, podarowała mi piękną słowacką lalkę. Myślę odwzajemnić się jej czymś podobnym. Pan, jako historyk sztuki, być może orientuje się, gdzie w tych stronach mieszkają jacyś artyści ludowi. Odwiedź któregoś z nich i może kupię coś oryginalnego.

Przyznaję, że pomysł był dobry, choć narodził się w głowie mojego i konkurenta do serca panny Helenki.

— W Polańczyku mieszka i pracuje pan Romaszkan, który rzeźbi bardzo pięknie — powiedziałem. — Mój znajomy z Warszawy kupił od niego ładnego Szymona Słupnika. Zaznaczam jednak, że to drogi artysta i chyba trudno go nazwać ludowym. Jest z wykształcenia inżynierem, rzeźbą zajmuje się jednak jako samouk. W Przysietnicy w powiecie Brzozów mieszka i tworzy oryginalna ludowa artystka, Aniela Orłowska. Spod jej ręki wychodzą przepiękne Chrystusy Frasobliwe. Słyszałem też o jakimś Gnacie z okolic Bystrego, że też zajmuje się sztuką ludową. Ale on nie ma dobrej opinii, podobno rzeźbi tandetę. Może są i inni, najlepiej poinformuje się pan w Wydziale Kultury Rady Narodowej w Lesku albo w Sanoku.

— Skorzystam z pańskiej rady. Chciałbym też wiedzieć, jak zamierzacie spędzić dzisiejszy dzień? Pytam o to, bo gdy uporam się z poszukiwaniami prezentu zamierzam was znaleźć.

— Nie wiem, co będziemy dziś robić — odrzekłem. — Chciałbym zaproponować samochodową wycieczkę do Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Ale to chyba dopiero po południu.

Pożegnał mnie uprzejmie, podziękował za radę, wsiadł do swego fiata 125p i wyjechał z campingu.

Byłem z tego rad, bo panna Helenka nareszcie pozostała bez asysty. Korzystając z okazji, zaraz po śniadaniu zaproponowałem jej spacer na stary żydowski cmentarzyk za

miasteczkiem. Ale miałem chyba pecha — już wybieraliśmy się w tamtą stronę, kiedy na naszej drodze stanął pan Smith.

Najpierw podrapał się w głowę, a potem uprzejmym gestem wskazał nam ławeczkę koło swego domku campingowego.

— Proszę bardzo, siadźcie państwo, a ja wam wyłuszczę całą prawdę o sobie.

Zabrzmiało to zachęcająco. Jakąż to prawdę o sobie zechce nam nareszcie wyjawić nasz różokrzyżowiec? Usiedliśmy posłusznie na wskazanej przez niego ławeczce i nastawiliśmy się na słuchanie. A on — zażywny, okrągłutki, o różowych policzkach o poczciwym wejrzeniu — stanął przed nami i tak zaczął:

— Opowiadałem wam o mojej żonie, Emmie, hrabiance von Borckdorf-Ahlenfeldt. Nadmieniałem, że to z powodu jej nadmiernych ambicji przybyłem do Pragi, aby osiąść talizman Kelleya, a potem zmieniłem zamiar i zdecydowałem się wziąć udział w waszej wyprawie, myśląc o klejnotach do „stołu przymierza” dla naszego Bractwa Różokrzyżowców. Wszystko to prawda, drodzy moi. Ale czas upływa i coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nie odnajdziemy kryjówek. Wieczorami leżę na pryczy w ciasnym domku campingowym i rozmyślam. A o czym może rozmyślać Herr Smith, biznesmen? Oczywiście, o biznesie, czyli o interesach. A taki już jestem dziwny człowiek, jak legendarny król Midas, że wszystko, czego się tknę, zamienia się w złoto. I pani srebrna blaszka też już prawie zamieniła się w złoto.

— To bardzo ciekawe — stwierdziła panna Dohnalowa.

— Proszę państwa — podjął swój wątek pan Smith. — Pluńmy na te klejnoty i talizman Kelleya i Katza. Weźmy się razem za znakomity biznes, który przyniesie nam furę pieniędzy. Otóż byłem nie tak dawno w Stanach Zjednoczonych. Sam własnymi oczami widziałem, a także w rozmaitych gazetach tamtejszych wyczytałem, że w Ameryce szerzy się nagminnie tak zwana „pop-religia”, czyli modna wiara w okultyzm i różnego rodzaju magię. Naukowcy doszukują się różnych przyczyn tego zjawiska, ale zgodni są co do tego, że wielu ludzi rozczarowała wiara w technikę. Okazało się, że technika w Ameryce nie tylko nie poprawia świata, ale psuje go, niszczy, zanieczyszcza. Stąd też i nastąpił u wielu ludzi zwrot do mistycyzmu, wiary w siły nadprzyrodzone, w astrologię i okultyzm. W Stanach Zjednoczonych istnieją specjalne księgarnie, które sprzedają tylko książki o astrologii, o czarnej i białej magii. Powszechnie reklamuje się naukę wróżenia z kart i kryształowych kul. Dużą kulę można kupić za dwadzieścia pięć dolarów, małą za szesnaście i pół dolara. Towarzystwa lotnicze oferują specjalne wycieczki do Wielkiej Brytanii, w cenę wycieczki włączając zwiedzanie słynnego Stonenhenge[6], a najkorzystniejsze dni odlotów są obliczane przez astrologów. I w ogóle znakomicie zarabiają różnego rodzaju wróżbici, astrologowie, wywoływacze duchów. A moda ta przenika do Europy Zachodniej. Na przykład we Francji madame Soleil, słynna wróżbiarka, co tydzień prowadzi w radiu specjalną audycję. Jak grzyby po deszczu powstają przeróżne kluby okultystyczne, które robią konkurencję nam, Braciom Różokrzyżowcom. Lada dzień moda ta dotrze i do Austrii. Kto pierwszy zdoła na niej zarobić, ten zarobi najwięcej. Pan Tomasz, słyszałem, znakomicie zna się na różnego rodzaju talizmanach. Pan Tomasz mógłby opracować dla mnie schematy talizmanów dla zakochanych i niekochanych, dla tych, co chcą wygrać na loterii, dla tchórzliwych i odważnych, dla tych, co się boją swoich szefów. A ja będę produkował takie talizmany. Otworzę w tym celu specjalny sklep w Wiedniu. Pani zaś, panno Helenko, wynajdzie w

praskich archiwach przepisy na eliksiry alchemiczne. Mój sklep będzie sprzedawał takie przepisy i gotowe mikstury, specjalne karty do wrózenia, kule kryształowe, talizmany magiczne, stoły przymierza do wywoływania duchów. Wszystkie te rzeczy będą tanie, po cenach przystępnych dla każdego średnio zarabiającego człowieka. Bo gdybym próbował robić talizmany ze szlachetnych kamieni, według nauk z książki Dawida Katza, nabywców wielu by się nie znalazło. My jednak zaczniemy produkcję tanich amuletów i tanich sposobów nawiązania kontaktu z siłami pozaziemskimi. No i co? Zgoda? Ja, Henry Smith, proponuję wam wspaniały biznes!

Panna Helenka popatrzyła na mnie, ja popatrzyłem na pannę Helenkę i wybuchliśmy śmiechem.

— Nie, panie Smith — powiedziałem opanowując wesołość — to nie dla mnie taka propozycja. Zapomniał pan, że my jesteśmy przyzwyczajeni do innego sposobu myślenia. U nas nie wolno oszukiwać ludzi.

— Ludzie chcą być oszukiwani — odparł pan Smith.

— Ale u nas walczy się z wszelkiego rodzaju przesądami, zabobonami, wyśmiewa się wiarę w duchy, uczy się racjonalistycznego pojmowania świata.

— Tak jest — zgodziła się ze mną panna Helenka.

Wstała z ławki, ja zrobiłem to samo.

— No cóż, może sam poprowadzę ten interes — pomyślał głośno pan Smith.

Pozostawiliśmy go na campingu i poszliśmy na cmentarzyk, co jakiś czas wybuchając śmiechem, gdy się nam przypomniła propozycja naszego różokrzyżowca.

Ale po kilkunastu krokach panna Dohnalowa spoważniała.

— A jednak to oburzające — stwierdziła. — Czy nie sądzi pan, że Smith to zwykły lajdak?

— Nie — pokręciłem przecząco głową. — W jego pojęciu interes, który nam zaproponował, jest bardzo uczciwy. Byłem trochę na Zachodzie, więc wiem, jaki jest sposób myślenia wielu tamtejszych ludzi. Interes, biznes, wszystko jedno jaki, jest uważany za coś uczciwego, ba, chwalebego. I tym się między innymi różnią nasze dwa światy, panno Helenko. Według naszych zasad to, co chce robić Smith, wydaje się nieuczciwe. A znowu według zasad biznesmenów, to, co pani robi, jest po prostu głupotą, gdyż nie przynosi żadnej materialnej korzyści. Chce pani odnaleźć klejnoty Kelleya i Katza? Owszem. Ale skoro klejnoty te zamierza pani oddać swemu państwu, zdaniem Smitha, to idiotyzm.

Panna Dohnalowa nagle posmutniała. Westchnęła cicho:

— Niestety, nie udało mi się trafić na ślad drugiej połówki talizmanu.

Weszliśmy na cmentarzyk. Panna Helenka zatoczyła szeroko ręką, wskazując drzewa i nagrobki.

— Nawet grobu Dawida Katza nie potrafiłam znaleźć. Spotkały mnie same niepowodzenia — stwierdziła ze smutkiem. — Chyba powrócę do Pragi...

Nie dziwiłem się jej klęsce. Cmentarzyk w Lesku był bardzo zniszczony. Ocalało na nim tylko kilkanaście kamiennych płyt. Niektóre z nich miały zupełnie nieczytelne napisy. Gdzieś tutaj jednak, na tym pagórku porośniętym starymi dębami, w korzeniach ogromnych drzew — spoczywały prochy leskiego czarnoksiężnika. Lecz któż dzisiaj potrafi wskazać miejsce jego wiecznego spoczynku? A jeśli nawet — to przecież nie zabrał on z sobą połówki talizmanu do grobu ani miejsca jej ukrycia nie kazał wyjawić w nagrobnym napisie.

Żal mi było panny Dohnalowej i jej zawiedzionych nadziei.

Może to sprawiły mgły snujące się dziś jak duchy po bieszczadzkich wzgórzach, że smutna twarz Czeszki wydała mi się bardziej piękna? Czuję, że mam ochotę powiedzieć jej coś bardzo miłego i ująć za rękę. Lecz nie śmiałem.

Pagórek z cmentarzem był jak wyspa w morzu mgieł. Zarysy grubych dębów wyglądały niczym wysokie, dziwne skręcone postacie z jakichś bajek, a panna Helenka wydawała mi się Alicją z Krainy Czarów. Tak bardzo chciałem okazać jej swoją sympatię, że jak to zwykle w takich razach bywa, na próżno szukałem w głowie czułych słów i wciąż milczałem uparcie, bo słowa, które podsuwała mi pamięć, ciągle wydawały się niedostatecznie miłe.

— Niech się pani nie martwi — powiedziałem w końcu. — Znajdzie się druga połówka talizmanu. Może dziś, może jutro, ktoś z nas, może pani, może Marczak, może ja, a może Skwarek, trafimy na trop wiodący do talizmanu. Taka powinna być logika wydarzeń.

— A mnie się widzi, że pańskie wróżby właśnie pozbawione są logiki.

— Założmy się — zaproponowałem.

— Zgoda. O co?

— Jeśli ja wygram, pani mnie pocałuje. Jeśli pani wygra, ja pocałuję panią.

— Ale z pana spryciarz! — zawołała. — Nie zakładam się. Zresztą, i tak zdecydowałam się wyjechać do Pragi.

Chwyciłem ją mocno za rękę.

— Nie wolno pani tego robić. Czy pani nie domyśla się, że tu chodzi o coś znacznie poważniejszego niż te idiotyczne blaszki? O przemyt i kradzież ikon.

Wyrwała mi swoją rękę.

— Ach tak? Jak pan powiedział: „idiotyczne blaszki”? A więc myśli pan tak samo jak Smith. Rozumiem, wszystko teraz rozumiem. I pan, i Smith, i może jeszcze Skwarek chcecie upiec własną pieczeń! Smith zamierza wykorzystać moje zainteresowanie zagadką Kelleya i Katza. Idiotyczne blaszki! To mnie traktował pan jak idiotkę! Wielkodusznie odstąpił mi pan zagadkę talizmanu, aby realizować jakieś własne cele. Stałam się szyldzikiem, za którym kryła się zupełnie inna sprawa! Każdy zachęca mnie do poszukiwań i każdy przy tej okazji

piecze własną pieczeń! Smith myśli o wielkim biznesie, pan o przemytnikach ikon. Skwarek udaje, że podziela moje pasje i ambicje, a myśli o małżeństwie ze mną. Boże, jakże strasznymi egoistami są mężczyźni!

— Nie wszyscy, panno Helenko — wtrąciłem z przekonaniem.

— O Boże, i ja chciałam się upodobnić do mężczyzn? Rezygnuję z tego. Wolę być kobietą!
— zawołała.

— Słusznie — przytaknałem. — Będzie pani z tym bardziej do twarzy. I niech pani pozostanie w Lesku, bardzo o to proszę.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy, jakby chciała mnie zmiażdżyć tym spojrzeniem.

— Dobrze — oświadczyła nieoczekiwanie. — Zostanę. Pokażę panu, jak wielkoduszną potrafi być kobieta. Radzę jednak panu pamiętać, że i ja jeszcze nie powiedziałam swojego ostatniego słowa. To się okaże, kto w końcu wygra tę batalię. Być może, uda mi się przekonać pana, że mózg kobiety pracuje nie gorzej od mózgu mężczyzny.

To mówiąc odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem zaczęła schodzić ze wzgórza porośniętego starymi dębami. A ja powlokłem się za nią zrezygnowany.

Wkrótce zaczął padać deszcz. Mieszkańcy campingu skryli się w domkach. Na mój biwak przyszedł Baśka i zaczęliśmy dyskutować o jego podejrzeniach w stosunku do Józefa Gnata, a także o dziwnej kartce pocztowej.

— Przypuszczam, że Sekundus opowiedział milicji o Gnacie — rzekł Baśka — i oni zainteresowali się jego osobą.

— Naturalnie, chłopcze. Józef Gnat został wciągnięty na listę podejrzanych. Sęk w tym, że lista jest bardzo długa, obejmuje ponad pięćdziesiąt nazwisk i adresów. Wyobraź sobie, że dom Sekundusa odwiedza codziennie mnóstwo osób, zwłaszcza teraz, gdy rozpoczął się sezon turystyczny. Byli wśród nich cudzoziemcy i Polacy z najróżniejszych stron Polski. Niektórzy, podobnie jak i Józef Gnat, proponowali Sekundusowi sprzedaż ikon i pozostawili swoje adresy. Trudność polega jednak nie tylko na tym. Można przypuszczać, że osobnik, który przybył do domku Sekundusa z myślą o kradzieży ikon, zapewne nie podał swego prawdziwego nazwiska lub w ogóle celowo nie okazał wielkiego zainteresowania zbiorami. Jedyna nadzieja, że złodziej zechce sprzedać ikony. Pod ścisłą obserwacją znajdują się więc sklepy z dziełami sztuki oraz pokątni handlarze antykami. Daliśmy także znać o tej sprawie celnikom.

— Ale Gnat jest jednak bardzo podejrzany — upierał się Baśka.

— Nie więcej niż inni — odparłem.

Wyciągnąłem notatnik i przeczytałem informacje o Gnacie, które uzyskała milicja.

— Kiedyś pracował jako drwal w lesie. Potem jednak odkrył w sobie talent artysty ludowego i zaczął rzeźbić figurki i zwierzątka z korzeni drzew. Wreszcie założył własny sklepik w Cisnej z różnego rodzaju pamiątkami. Sprzedaje w nim wyroby własne.

— To nie są dzieła sztuki, to straszydła! — oburzył się Baśka.

— Być może masz rację. Ale to przecież nie znaczy, że Gnat jest złodziejem ikon.

— A jednak pan Sekundus wspomniał właśnie o Gnacie, gdy go pytałem, kto interesował się jego ikonami — argumentował Baśka.

— Zrobił tak — wyjaśniłem — ponieważ mówiłeś, że wybieracie się na wycieczkę w Bieszczady. A Gnat był jedyną osobą z tych okolic, która chciała kupić jego ikony.

— No właśnie. Dlaczego?

— Ależ to oczywiste. Może któryś z jego klientów pytał go o ikony? Więc Gnat chciał kupić od Sekundusa, żeby je potem odsprzedać z zyskiem.

— A dziwna kartka pocztowa?

Nie od razu odpowiedziałem.

— Jak sam wiesz, kartka ma treść bardzo niewinną. Oczywiście o tych sprawach poinformuję milicjantów prowadzących śledztwo. Niestety, dotychczas nie trafiliśmy na ślad człowieka, który skupował ikony.

— Pan do tej sprawy przywiązuje aż taką wagę?

— Tak — odparłem szczerze. — Myślę, że człowiek ten był związany z gangiem przemytników. Pewnego dnia źródło, z którego czerpał, wyschło. W Bieszczadach przecież coraz mniej jest starych ikon u prywatnych osób. Tymczasem gang domagał się nowego towaru. I wtedy ów człowiek, może z polecenia gangu, zdecydował się na kradzież.

— Co pan zamierza robić dalej? — zapytał Baśka.

W tym momencie na moim biwaku zjawiła się Ludmiła. Odtąd rozmowa nasza toczyła się po polsku i po czesku.

— Mam ze sobą film, na którym utrwaliłam pański pobyt w Pradze — opowiadała Ludmiła.

— W Lesku, w Domu Kultury, mają projektor na taśmę ośmiomilimetrową. Czy chce pan, abym go wyświetliła?

— Oczywiście, że chcę twój film obejrzeć — uśmiechnąłem się.

— Zobacz pan siebie spacerującego po żydowskim cmentarzu...

Usłyszeliśmy gong na obiad. Postanowiliśmy, że jutro pójdziemy na projekcję filmu Ludmiły do Domu Kultury w Lesku, a dziś po południu wyruszamy do muzeum w Sanoku. Na zwiedzenie sanockiego skansenu namówiłem także profesora Hilarego i chłopców. Między Leskiem i Sanokiem istnieje połączenie autobusowe, harcerze mieli się więc czym dostać do Sanoka. My zaś zdecydowaliśmy się pojechać naszymi samochodami.

Skwarek nie zjawił się na obiedzie. Wobec tego pan Smith zabrał do swego porsche pana Dohnalę i dyrektora Marczaka, a ja zaprosiłem do wehikułu pannę Helenkę i Ludmiłę. Harcerze i profesor Hilary już wcześniej, zaraz po obiedzie, odjechali autobusem.

Panna Helenka pojawiła się przede mną zupełnie odmieniona. Zastosowała się do swego postanowienia i przestała udawać mężczyznę. Ubrała się w krótką spódniczkę mini, sweter z ogromnym dekoltem i krótkimi rękawami. Wyperfumowała się, na nogi włożyła lekkie pantofelki. Uczesania już zmienić nie mogła, ale na nosie miała zupełnie inne okulary, w delikatnej oprawce. Okazuje się, że wozila z sobą dwie pary — na różne okazje.

— Jaka pani piękna — zawołałem z zachwytem.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— No cóż — stwierdziła — niekiedy dobrze jest być kobietą. — Dysponuje się całym arsenałem środków. Do tej pory gardziłam nimi, ale przekonałam się, że źle na tym wychodzę. Od dziś postanowiłam je wykorzystać dla własnych celów.

Zabrzmiało to złowróźnie.

— Co do mnie, od razu się poddaję — podniosłem ręce do góry. — Jestem gotów na wszystko. Może pani nawet wydobyć ode mnie wszystkie tajemnice Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków, jak słynna kobieta-szpieg, Mata Hari.

— Obejdzie się bez pańskich tajemnic — rzekła. — I jedziemy wreszcie do Sanoka.

Ale okazało się, że brakuje nam benzyny. Podjechaliśmy więc najpierw pod stację benzynową w Lesku — Smith porsche, a ja — wehikułem. Porsche już odjeżdżał, gdy na podjazd do stacji wpadł motocyklem jakiś młody człowiek. Tak go zachwyił widok białego porsche, że o mało nie uderzył w wehikuł. W ostatniej niemal chwili zahamował, trącając mój tylny zderzak.

— Niech pan uważa — powiedziałem do młodzieńca — nie chcę mieć wgniecionego zderzaka.

Udawał, że nie słyszy. Jak zahipnotyzowany patrzył za oddalającym się białym wozem.

— Mógłby pan przynajmniej powiedzieć „przepraszam” — burknąłem.

Ocknął się i spojrzał na mnie jak na wariata.

— Coś pan, na głowę upadł? To, czym pan jeździ, to i tak kupa szmelcu. Przez pański wrak byłbym sobie mógł zepsuć swój motocykl. To pan powinien powiedzieć „przepraszam”. Ja mam hondę, pan rozumie, co to jest? Gdybym chciał, to mógłbym dogonić tego porsche. Pańska kupa szmelcu w ogóle się nie liczy!

Miał szeroką, płaską twarz, a nos jak kartofel. Wyglądał pocziwie, ale zachowywał się grubiańsko. Zapewne posiadanie japońskiej hondy przewróciło mu w głowie. Honda to rzadki u nas pojazd — ciekawe, skąd go wytrzasnął? Wyobrażam sobie, z jaką dumą wyprzedzał

wszystkie motocykle w okolicy, a nawet i samochody. Honda potrafi osiągnąć szybkość do dwustu kilometrów na godzinę.

— Każdy ma taki pojazd, na jaki go stać — powiedziałem. — A jednak pan nie ma prawa uderzać w mój zderzak.

— W tę kupę szmelcu? Ja bym się wstydził jeździć czymś takim! Karoseria młotkiem klepana. Sam pan robił tego grata czy ktoś panu pomagał?

Obsługujący pompę benzynową napełnił mój bak. Zapłaciłem za benzynę i wsiadłem do wehikułu.

A chłopak jeszcze wykrzykiwał:

— Kręcą się po szosach takimi gratami i jeszcze mają do wszystkich pretensje! Jego wrak nie jest wart jednego koła w mojej hondzie. Byłbym sobie przez jego psią budę rozbił swój motocykl, a on jeszcze sobie każe mówić „przepraszam”!

Nie uważałem za stosowne wdawać się z tym chłopakiem w dyskusję. Nie znoszę chamstwa. Wolę udać, że nie słyszałem, niż doprowadzić do awantury. Jest takie przysłowie, do którego często się stosuję: „Mądry głupiemu ustępuje”.

Już byłem za Leskiem na szosie do Sanoka, gdy dogoniła mnie honda. Jechałem sześćdziesiątką, więc chłopak bez trudu mnie wyprzedził. I pokazał mi język na całą długość.

— Smarkacz — powiedziałem głośno do Helenki i Ludmiły.

— Owszem, smarkacz — zgodziła się panna Helenka. — Ale w panu nie ma ani trochę sportowej żyłki. Nie ma pan chęci, żeby go wyprzedzić i w ten sposób nauczyć rozumu?

— To honda — stwierdziła Ludmiła. — Takiego motocykla pan Tomasz nie zdoła wyprzedzić...

— Mylisz się, Ludmiło — odrzekłem. — Wehikuł mój jest szybszy od najszybszej hondy. Ja o tym wiem i to mi wystarczy. Nie mam zamiaru dla głupiego smarkacza popisywać się niebezpieczną jazdą.

— Och, to są tylko przechwałki, pański wóz nie dogoni hondy, a poza tym nie ma pan sportowej żyłki — upierała się panna Helenka.

— Pani też się myli. Sportową żyłkę trzeba okazywać na zawodach sportowych, a nie w normalnym życiu. Co sądzić o bokserach, którzy zamiast na ringu, chcą się popisywać w barach, knajpach albo na ulicy? Czy też pani powie, że oni mają sportową żyłkę?

— Ma pan rację — zgodziła się panna Helenka. — Ale musi pan przyznać, że pański wehikuł nie jest piękny i dlatego budzi drwinę.

— Owszem. Niestety, nie stać mnie na inny. Zresztą, to dobry samochód, posiada wiele zalet. Nie jest wprawdzie ładny, to prawda. Lecz znowu przysłowie, do którego się stosuję, brzmi:

„Jeśli nie można czegoś zmienić, to należy to polubić”. Skoro nie mogę uczynić z wehikułu porsche, to postarałem się przyzwyczaić do jego szkaradnego wyglądu.

Lecz oto i Sanok. Dość duże miasto położone na lewym brzegu rzeki. To tutaj znajduje się znana w całej Polsce fabryka autobusów san. Miasto posiada wiele ciekawych obiektów, godnych obejrzenia. Nas jednak interesował tylko położony na prawym brzegu rzeki Park Etnograficzny i Muzeum Budownictwa Ludowego na wolnym powietrzu.

Z różnych okolic tej części Rzeszowszczyzny przeniesiono tutaj stare zabudowania wiejskie, cerkwie, młyn, wiatrak, kapliczki ludowe i zgromadziwszy je tutaj na dużej przestrzeni, ukazano zwiedzającym, jak mieszkali ongiś, a jeszcze tu i ówdzie nawet dziś mieszkają ludzie z tych okolic.

Zorganizować taki skansen nie było łatwo, choćby z tego względu, że okolice te zasiedlają aż cztery, wyraźnie różniące się między sobą, grupy ludnościowe, z których każda nosiła inne ubiory, w odmiennym stylu budowała domy, oddawała się innym zajęciom.

Tereny górskie zamieszkiwała ludność pochodzenia ukraińskiego — Łemkowie i Bojkowie, wyznania prawosławnego. Trudnili się oni kiedyś pasterstwem, potem wegetowali na nędznych poletkach wydartym górą, żyli z wyrobu sprzętów gospodarstwa domowego, koszyków, z produkcji dziegiu i smoły.

Na południe od nich osiedlili się Pogórzanie, ludność pochodzenia polskiego, wyznająca religię rzymskokatolicką. Byli to przeważnie rolnicy, podobnie jak i Dolinianie, grupa ludnościowa stanowiąca mieszaninę Polaków i Ukraińców.

Zaparkowaliśmy samochody na lewym brzegu Sanu i przez wąski most przeszliśmy na prawy brzeg do bramy skansenu. Uściliśmy opłatę za zwiedzanie i zaraz przy wejściu spotkaliśmy oczekujących nas harcerzy z profesorem Hilarym. Po chwili dołączył się do nas specjalny przewodnik i ruszyliśmy całą grupą.

Najpierw udaliśmy się do tej części muzeum, gdzie eksponowane są zabytki Bojków. Zainteresowała wszystkich ogromna, długa chałupa bojkowska ze wsi Skorodne w powiecie ustrzyckim. Zagrody Bojków i Łemków na ogół rzadko składały się z kilku zabudowań. Zazwyczaj był to jeden długi budynek kryty słomą. W jednej części mieściły się mieszkanie i komora, w drugiej stajnia i owczarnia.

Zajrzeliśmy do wnętrza izby: pod trzema ścianami ławy ustawione były na pieńkach wbitych w glinianą polepę, w rogu zobaczyliśmy stół podobny do skrzyni, warsztat tkacki, kołowrotek do przędzenia wełny, wielki piec z klapą do odprowadzania dymu na strych.

Obejrzeliśmy potem dwie stare cerkwie, jedną z Grąziowej, a drugą z nie istniejącej już dziś wsi Rosolin. I w jednej, i w drugiej przepiękne wydały mi się polichromie przedstawiające święte postacie.

Wiele komentarzy wywołała kurna chata łemkowska z Komańczy, tak zwana „chyża”. W izbie mieszkalnej najwięcej miejsca zajmował piec bez komina. Rozpalało się w nim ogień na tak zwanej nalepie, garnki do gotowania kładziono bezpośrednio na ognisku albo na żelaznych dynarkach. U powały na łańcuchu wisiał kocioł do gotowania wody. Dym z kuchni rozchodził się po całej izbie i potem ulatywał do góry przez dziurę w suficie, którą można

było odsłaniać lub częściowo zasłaniać. Chłopcy z zainteresowaniem słuchali, jak przewodnik opowiadał, że chałupę taką zawsze wypełniał dym, tak że ludzie musieli chodzić pochyleni, aby nie gryzł ich w oczy. Piec służył jednocześnie za sypialnię — zimą mieszkańcy spali na nim, grzejąc się jego ciepłem.

Wszystkim bardzo podobały się stare ule zrobione z pni drzewnych, niektóre wyrzeźbione w kształcie figur, na przykład ul z postacią świętego Franciszka. Zajrzeliśmy także do chałupy ze wsi Dąbrówka w powiecie sanockim, zwiedziliśmy zagrodę dawnego olejarza z Baryczy w powiecie brzozowskim, piękny młyn wodny w Woli Komborskiej, zabudowania plebańskie z Pogórza.

Mieliśmy jeszcze sporo do oglądania, gdy oto zobaczyliśmy idącego ku nam magistra Franciszka Skwarka. Wyglądał na bardzo zaaferowanego.

— Przyjechałem za wami — oświadczył nam — bo wydaje mi się, że zdobyłem bardzo ważną informację. Jeździłem dzisiaj w teren w pewnych ważnych sprawach — tu mrugnął ku mnie znacząco, bo ja wiedziałem, czego szukał w terenie pan Skwarek — i na drodze zobaczyłem budę na kółkach ciągnioną przez konia. Na budzie widniał napis: „Skupuję butelki, pierze, makulaturę, szmaty i złom”. Tknięty przecuciem, zatrzymałem właściciela furgonu i zapytałem, czy skupując przeróżne stare rupiecie nie trafił na małą srebrną blaszkę. Opisałem mu połówkę talizmanu. Chłop zastanawiał się długo, wreszcie powiedział mi, że chyba coś takiego u niego rzeczywiście leży w skrzyni w komórce. Człowiek ten nazywa się Pókijaniec i mieszka w starej chałupie koło wsi Bóbrka nad Jeziorem Myczkowskim. Obiecał, że na wieczór dotrze do swego domu. Panno Helenko, zabłyśła dla pani nadzieja. Pojedziemy do niego dziś wieczorem. Wszyscy!

— Dobrze! — zawołała panna Helenka.

A potem nagle odwróciła się ku mnie i na oczach wszystkich pocałowała mnie w policzek.

— Wygrał pan zakład — szepnęła mi do ucha.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WYPRAWA PO TALIZMAN • MOJA PRZEPOWIEDNIA • „POSTAW AUTORA NA SWOIM MIEJSCU” • ZAGRODA PÓKIJAŃCA • SKRZYŃIA Z RUPIECIAMI • TALIZMAN KATZA • MROK • KTO ZNOWU UKRADŁ TALIZMAN • WSZYSCY JESTEŚMY PODEJRZANI • POŚCIG ZA KAJAKIEM • ZNOWU HONDA

— Zabierze mnie pan z sobą? — zapytał Baśka.

— Naturalnie, jeśli masz ochotę — odparłem.

— Może okaże się, że ten Pókijaniec zamiast drugiej połówki talizmanu zechce nam odstąpić stary rower lub zepsutą maszynę do szycia? Protazego pan oczywiście weźmie, prawda?

Pogłaskał psa po wielkim łbie. Zdążył się już z nim zaprzyjaźnić. I Protazy polubił go równie szybko, jak Ludmiłę. Wielkie psy przepadają za dziećmi, i z młodzieżą nawiązują łatwy kontakt, jak gdyby były świadome, że budzą ich zainteresowanie oraz gotowość do zabaw i baraszkowania. To przecież Ludmiła nieustannie zabierała go ze sobą na spacer i to samo dziś od rana robił Baśka.

Na dworze odezwał się klakson samochodowy. Jeden, a potem drugi. To pan Smith i Skwarek niecierpliwili się oczekiwaniem na pannę Helenkę. Jakąż smutną minę zrobił Skwarek, gdy przekonał się, że obydwie panny Dohnalowe kierują się do mego wehikułu, a nie do jego fiata.

Biedak musiał zadowolić się towarzystwem pana Dohnala, który zajął miejsce w samochodzie. Do porscha ostrożnie wsiadł dyrektor Marczak. Usłyszałem, jak mówił po niemiecku do Smitha:

— Proszę się nie obrażać, szanowny panie, ale ilekroć spoglądam na pana, doznaję dziwnego wrażenia...

— Dlaczego? — zaniepokoił się Smith.

— Niedawno czytałem powieść sensacyjną węgierskiego pisarza. Była tam mowa o różokrzyżowcach, rzecz działa się współcześnie w jakimś angielskim zamku wspaniałego lorda. Autor wprowadził bohaterów w ruiny zamczyska pełnego lochów, podziemnych przejść i sal, gdzie leżeli pogrążeni w kataleptycznym śnie dawni członkowie bractwa, którzy posiadli tajemnicę wiecznego życia. Brr, straszne to były sceny, gdy przy pomocy zaklęć budzili się z wielowiekowego snu. Czasami zastanawiam się, czy pan nie jest takim obudzonym różokrzyżowcem, czymś w rodzaju wampira...

— Ja? Wampirem? — zarechotał zażywny biznesmen. — Pan mi schlebia, drogi panie.

Wyruszyliśmy w kierunku na Myczkowce. Zapadł już mrok, więc zapaliliśmy reflektory samochodowe. Kawalkada trzech aut przejechała przez Lesko i wydostała się na szosę prowadzącą do miejscowości Uherce, gdzie należało skręcić w prawo.

Na tylnym siedzeniu wehikułu siedzieli Baśka i Ludmiła, a między nimi Protazy. Panna Helenka zajęła miejsce obok mnie.

— Pocałunek, zgodnie z umową, pan otrzymał — zaznaczyła. — Ale dostanie pan drugi, jeśli mi pan powie, skąd pan wiedział, że trafimy na ślad talizmanu. Skoro mam być Mata Hari, niech pan zdradzi mi teraz swoją tajemnicę.

— Kto to była Mata Hari? — zapytała z tyłu Ludmiła.

— Kobieta-szpieg z czasów pierwszej wojny światowej — wyjaśnił Baśka.

— I ty jesteś taka kobieta-szpieg? — z powątpiewaniem powiedziała Ludmiła.

— Cicho, mała — zgromiła ją siostra.

Udałem, że przełamuję w sobie jakieś ogromne opory wewnętrzne i tylko uroda panny Helenki wydziera mi z głowy najskrytsze myśli.

— W młodości chciałem zostać czarnoksiężnikiem...

— Nic nowego. Każdy chciał być czarnoksiężnikiem — przerwała mi panna Helenka.

Z tyłu zabrzmiał głos Ludmiły:

— Kobieta nie może stać się czarnoksiężnikiem. A co najwyżej czarownicą. Więc powiedz od razu, że chciałaś być czarownicą.

— Cicho — syknęła panna Helenka.

— Czytałem kabałę, która była natchnieniem dla Kelleya i Katza — dodałem.

— I co? Zrozumiał ją pan? — zakpiła panna Helenka.

— Pozostała mi w pamięci jedna mądra nauka z kabały. Zdanie, które brzmiało: „Pomnij mądrze, rozważ rozumnie, zbadaj, zgłębij. Sprowadź rzecz do swej jasności i umieść autora na swoim miejscu”. Oto cała moja tajemnica.

— Trele-morele, panie Tomaszu. Znam to zdanie i robiłam podobnie. Sprowadziłam rzecz do swej jasności i umieściłam autora na swoim miejscu, a mimo tego nie przewidziałam, że pojedziemy do Pókijańca.

— Prawdopodobnie wybrała pani niewłaściwego autora — powiedziałem.

— O czym mówicie? O jakich autorach? — zaciekała się Ludmiła.

— O autorze pomysłu, zwanego przeze mnie „tajemnicą tajemnic” — odrzekłem.

— Nic z tego nie rozumiem — westchnęła Ludmiła.

— Pociesz się, że ja także — dodała Helenka. — Przynajmniej niechże pan powie, czy odnajdziemy u Pókijańca drugą połówkę, czy nie?

— Tego nie wiem. Ale wydaje mi się, że jeśli nie u Pókijańca, to jednak w końcu druga połówka trafi do naszych rąk.

— Skąd ta pewność?! — oburzyła się panna Helenka. — Znowu jakieś przechwałki.

— Dobrze, wyjawię swoje przypuszczenia. Ale muszą one pozostać między nami. Otóż Ludmiła i ja czytaliśmy list Blachy do Roberta. W liście tym Blacha wspomniał, że na polecenie Roberta wykonał u fachowca w Pardubicach za pięćset koron jakąś rzecz. Z początku sądziłem, że chodzi tylko o falsyfikat jednej połówki talizmanu, tej ze Złotej Uliczki. Teraz jednak sądzę, że chodziło o obydwie połówki, o cały talizman. A ponieważ jedna połówka już się znalazła, kupił ją w Pradze pan Smith, teraz powinna się znaleźć i druga.

— Rozumiem pański wywód. Ale po co to wszystko? Jaki cel ma ta zabawa w talizmany? — zapytała panna Helenka.

Wzruszyłem ramionami.

— Na to pytanie sama musi pani sobie odpowiedzieć. Proszę sprowadzić rzecz do swej jasności i postawić autora na swoim miejscu.

Zapadło milczenie. A choć swoje wyjaśnienia przekazywałem w żartobliwym tonie, to przecież treść ich zabrzmiała groźnie. Wszyscy nagle zdali sobie sprawę, że jeśli jest tak, jak mówię, i jedziemy na spotkanie z tajemniczym Robertem, nie obejdzie się bez jakichś dramatycznych przeżyć. Ja zechcę zdemaskować Roberta, a on postara się do tego nie dopuścić. Kto wie zresztą, jaką niespodziankę nam gotował?

Za oknami samochodu była noc — widna, księżycowa. Do tyłu leciały czarne zarysy drzew przydrożnych, obok nas jawiły się i znikwały światła okien w pobliskich zagrodach. U kresu tej podróży czekała nas być może nowa przygoda — i myśl o niej nie dawała nam już spokoju.

W Uhercach skręciliśmy na szosę do Myczkowców i do Bóbrki. Zaczęliśmy się zbliżać do brzegów jeziora.

Są dwa wielkie zbiorniki wody w Bieszczadach. Jezioro Myczkowskie i trochę dalej — Jezioro Solińskie, powstałe na skutek budowy tam dla hydroelektrowni. Rzeki San, Solina i Potok Czarny oddają swe wody Solińskiemu Jezioru, potem opuszczają je wąskim korytem, aby znowu rozlać się szeroko, tworząc Jezioro Myczkowskie.

W Myczkowcach są ośrodki wczasowe. Coraz więcej ich zresztą powstaje nad brzegami obydwu jezior. Czy można wyobrazić sobie piękniejsze zestawienie — szeroko rozlane, czyste, błękitne wody i zieleń gór bieszczadzkich?

Ale w chwili, gdy działa się niniejsza historia, tylko w Myczkowcach znajdował się ośrodek wczasowy. Brzegi jeziora dopiero wykupywały różne zakłady pracy i zaczynały budować swoje campingi. Chałupa Pókijańca, stojąca tuż nad brzegiem jeziora, była właśnie obiektem przeznaczonym do rozbiórki, na tym terenie miał wkrótce stanąć rząd domków campingowych. Gdyby ją pozostawiono, specyfaby bardzo tę okolicę. Była to już bowiem rudera. Przez zardzewiały blaszany dach ciekła do wnętrza woda deszczowa, jeden szczyt chałupy pochylił się ku ziemi i lada silniejsza wichura mogła ją przewrócić.

Otaczał chałupę drewniany płot, a raczej jego nędzne resztki, które właściwie niczego już nie ogradzały. Na zasłanym starą słomą podwórzu stał tylko furgon na ogumionych kołach z wymalowanym napisem: „Skup butelek, pierza, makulatury, szmat i złomu”. Wewnątrz chałupy, w jednej izbie, do której jeszcze nie ciekła woda z dachu, paliła się goła zakurzona żarówka o żółtawym świetle.

W izbie na czarnej od brudu podłodze stał równie czarny od brudu stół i obok kulawy podłużny zydel, jedyny sprzęt do siedzenia. Na zydlu przykucnął potężny chłop w waciaku. Miał rzadkie rude włosy, szczecinę na policzkach, dużą brodawkę na nosie. Gdy stanęliśmy na progu, krajał właśnie wielki bochen chleba. Na stole leżało pięto kiełbasy.

— Poznaje mnie pan? — powitał go Skwarek. — To ja spotkałem pana dziś na szosie i pytałem o starą blaszkę z cyframi i napisami. Mówił mi pan, że chyba pan ma coś takiego, i ci państwo przyjechali ze mną, żeby tę rzecz obejrzeć i kupić.

Izdebka była mała. Gdy wszyscy weszliśmy do niej, zrobiło się natychmiast ciasno. A ponieważ brakowało krzeseł i ławek, musieliśmy stanąć wokół stołu.

Pókijaniec popatrzył na nas z ciekawością. Potem kilkakrotnie pociągnął nosem, jakby miał katar, wytarł usta rękawem waciaka i odezwał się grubym głosem:

— Gadał mi pan coś, pamiętam, ale żeby wiedział co, to nie powiem.

— Pytałem pana, czy ma pan może taką małą blaszkę — powtórzył lekko poirytowany Skwarek.

— Blaszek mam dużo. Kupuję przecież starą blachę i złom — odparł i znowu kilkakrotnie pociągnął nosem.

Panna Dohnalowa westchnęła ciężko. Nadzieja, że odnajdziemy drugą połówkę talizmanu, znowu zaczynała się oddalać.

— Chodzi nam o małą blaszkę z cyframi i napisami — tłumaczył Pókijańcowi magister Skwarek.

Smith wyjął z kieszeni swój falsyfikat talizmanu i położył na brudnym stole, obok bochenka chleba i pęta kielbasy.

— O, właśnie takiej blaszki szukamy — wyjaśnił chłopu.

Pókijaniec brudnymi paluchami wziął do ręki fałszywą połówkę talizmanu, obejrzał ją, co chwila pociągając nosem, jakby wietrząc jakiś miły zapach.

— Ma pan u siebie coś podobnego? — dopytywał się Skwarek.

Pókijaniec położył blaszkę na stole.

— Może się coś znajdzie — rzekł. — Poszukać by trzeba.

— No, to niech pan poszuka.

— Teraz? Dzisiaj?

— Teraz. Dzisiaj — niecierpliwił się Skwarek. — Przecież panu już mówiłem, że ten pan — wskazał Smitha — chce dać za taką blaszkę pięć tysięcy złotych. W tej sprawie wywiesił nawet ogłoszenie w Lesku.

Pókijaniec spojrział na Smitha z ogromnym zainteresowaniem. Znowu pociągnął nosem, podniósł się z zydlu i poszedł do sąsiadującej z izbą komory. Przyniósł z niej ciężką skrzynkę bez wieka. Postawił ją na podłodze pod światłem żarówki i zaczął w niej grzebać.

Och, czego w tej skrzyni nie było! Stare klucze rozmaitej wielkości, porzewiałe kłódki, zamki, kątowniki, śruby, nakrętki, różnego rodzaju żelastwo o nie znanym mi przeznaczeniu. Pokrzywione gwoździe, płaskowniki, fajerki, małe kłębki miedzianego drutu, oprawki do żarówek, połamane śrubokręty, staroświecki skobel...

Chłop grzebał w tych rupieciach i grzebał, a nas ogarniało coraz większe rozczarowanie. Nie wydawało nam się prawdopodobne, aby w tym stosie porzewiałych kluczy i skobli krył się bezcenny talizman Katza.

Pókijaniec pociągał bez przerwy nosem, a my śledziliśmy w milczeniu ruchy jego rąk.

Raptem wyprostował się. W brudnych paluchach coś trzymał.

— Czy o to wam chodziło? — zapytał i podał coś Skwarkowi.

Tak, to był talizman. Druga połówka talizmanu. Skwarek rzucił na nią okiem i przekazał ją pannie Helence.

— Boże święty, to chyba to... — szepnęła uszczęśliwiona.

Patrzyłem przez jej ramię na przedmiot, który trzymała w ręku.

Była to mała blaszka, pod względem wielkości identyczna z tą, która znajdowała się w muzeum na Złotej Uliczce. Miała cyfry po jednej stronie, a po drugiej jawił się jakiś niewyraźny rysunek. Na pierwszy rzut oka, w odróżnieniu od falsyfikatu, który miał Smith, blaszka wyglądała na starą. Tu i ówdzie widać było poszczerbione brzegi, była wygięta, niemal przełamana na pół. W środku jej widniała niewielka dziurka, jakby ktoś zawieszał ją sobie na szyi na tasemce.

— Niech pan obejrzy, panie Tomaszu — panna Helenka wyciągnęła do mnie dłoń z talizmanem.

Lecz Pókijaniec złapał ją za rękę. Wyjął z jej palców talizman i położył go na stole.

— Pięć tysięcy — powiedział ponuro. — Pięć tysięcy i bierzcie tę blaszkę. Nie dam się oszukać. Ten pan — powołał się na Skwarka — mówił o pięciu tysiącach.

— Nie będziemy kupować kota w worku — odezwałem się. — Musimy najpierw blaszkę obejrzeć.

— To nie kino ani telewizor, nie ma co oglądać — burknął Pókijaniec. — A czy ja wiem, może wam chodzi, żeby ją tylko obejrzeć. Najpierw proszę kłaść na stół pięć tysięcy, potem możecie sobie oglądać, ile wam się podoba.

Smith sięgnął do portfela. Ale go wstrzymałem.

— Nie. Tak nie można — oświadczyłem. — Muszę najpierw zobaczyć, czy to rzeczywiście druga połówka talizmanu.

Wyciągnąłem rękę w kierunku stołu, gdy raptem zgasło światło w izbie. Zrobiło się tak ciemno, że nie widziałem ani Pókijańca, ani panny Helenki, ani nikogo.

— Coś takiego! — zawołała panna Helenka.

Usłyszałem chrapliwy głos Pókijańca:

— Znowu światło wyłączyli. Często tak robią. Tu gdzieś mam świecę...

Trwało to dłuższą chwilę, zanim znalazł świecę. Błysnęła zapalka, zapalił się płomyk.

I raptem zabłysło światło żarówki.

— No, włączyli — stwierdził Pókijaniec i zdmuchnął świecę.

— Boże święty! — krzyknęła raptem panna Helenka.

Pókijaniec także wrzasnął:

— Gdzie moja blaszka? Ukradliście ją!

Na stole nie było drugiej połówki talizmanu. Leżał tylko bochenek chleba, pęto kielbasy i falsyfikat, który położył pan Smith.

Popatrzyliśmy na siebie. Spojrzeliśmy na Pókijańca. A on aż poczerwieniał ze złości.

— Zabraliście ją, kiedy zrobiło się ciemno! Dawajcie mi tu zaraz pieniądze. Bo pójdę na milicję — zagroził.

Skwarek oświadczył z powagą:

— Nikt z nas nie zabrał pańskiej blaszki. Ręczę za to.

— A co?! Wyparowała?! — szydził Pókijaniec. — Znam się na takich numerach. Albo pięć tysięcy, albo pójdę na milicję.

Do licha, miał rację ten człowiek. Przecież druga połówka talizmanu nie mogła wyparować. Ktoś z nas musiał chwycić ją ze stołu, korzystając z chwilowej ciemności. Ale kto to zrobił?

— Nie ja — powiedział Skwarek. — Gotów jestem poddać się osobistej rewizji. Jeśli każdy z nas tak postąpi, wyjaśnimy całą sprawę.

To mówiąc zaczął wyciągać ze swoich kieszeni: portfel, chusteczkę do nosa, klucze od samochodu, portmonetkę, scyzoryk — kładł te rzeczy na stole.

— No... to ja również poddam się rewizji — oświadczył pan Dohnal.

— I ja! — zawołał Baśka.

— Ja zrewiduję Helenkę, a Helenka mnie — zaproponowała Ludmiła. — Zresztą, jesteśmy tylko w sukienkach i nie mamy kieszeni. Swoją torebkę zostawiłam w samochodzie pana Tomasza, a Helenka w ogóle nie miała przy sobie torebki. Nie miałybyśmy gdzie schować talizmanu.

— Mnie tam nic nie obchodzi. Dawajcie pięć tysięcy albo blaszkę — rzekł Pókijaniec. — Inaczej, to ja pójdę na milicję.

— Proszę bardzo, niech pan wezwie milicję — zgodził się Marczak.

— Ja pójdę po milicję, a wy uciekniecie z blaszką! — krzyknął Pókijaniec.

— Proszę mnie zrewidować. A potem ja sam pójdę po milicję — ofiarował się Skwarek.

— Tak jest. To najlepsze wyjście z tej sytuacji — powiedziałem, choć obmierzła wydawała mi się myśl o rewizji osobistej.

Znalazłem się więc wśród podejrzanych. Nie tylko ja zresztą. W tym gronie każdy był podejrzany o kradzież.

Odezwał się Smith. Mówił po niemiecku, ale ponieważ zwracał się do Pókijanca, Skwarek zaczął tłumaczyć jego słowa na polski:

— Jestem jubilerem, bogatym człowiekiem. Przez moje ręce przechodziły bardzo drogie kamienie. I nikt nigdy nie posądził Smitha o kradzież. Nie mam też prawa posądzać kogokolwiek z obecnych. Uważam, że nie należy przedłużać tej upokarzającej sceny. Dla dobra imienia własnego i każdego z państwa kładę na stole pięć tysięcy. I chodźmy stąd, moi drodzy.

Położył na stole plik banknotów, na które rzucił się Pókijaniec. Chwycił je brudnymi paluchami i wcisnął do kieszeni waciaka.

Smith pierwszy podszedł do drzwi. Opuściliśmy chałupę Pókijanca i skierowaliśmy się do pozostawionych na szosie samochodów.

— A druga połówka talizmanu? — szepnęła zrozpaczona panna Helenka. — Miałam ją w ręku...

— Niech diabli wezmą tę blaszkę — powiedział ze złością pan Dohnal. — Herr Smith zachował się jak dżentelmen. Zresztą, miałaś w ręku tę drugą połówkę. Obejrzałaś ją. Potrafisz chyba odtworzyć ją z pamięci?

— Właśnie, że nie potrafię — jęknęła Helenka. — W izbie było ciemno, blaszkę oglądałam tylko pobieżnie...

Otwierałem drzwiczki wehikułu, gdy panna Helenka całą swoją złość skierowała na moją osobę.

— Spodziewał się pan Bóg wie czego, a tymczasem to pan, ja, każdy z nas, okazał się złodziejem. Ktoś z nas połakomił się na drugą połówkę talizmanu.

Otworzyłem drzwiczki, gwizdnąłem na Prota.

— Chodź! — rzuciłem mu rozkaz i wraz z psem pomaszerowałem w ciemnościach w stronę chałupy Pókijańca.

— Co pan zamierza? — zapytała mnie panna Helenka idąc krok w krok za mną. — Chyba nie myśli pan swojego psa puszczać na tego Bogu ducha winnego człowieka?

Przyłączyli się do nas Baśka i Ludmiła. Reszta towarzystwa siedziała w samochodach i obserwowała nas. Z Protym u nogi, zapukałem do drzwi.

— Czego tam znowu? — usłyszałem niechętny głos Pókijańca. Otworzył drzwi i cofnął się na widok ogromnego psiego łba.

— Czy pan był tu sam, panie Pókijaniec? — zapytałem.

— Sam. A bo co?

— A gdzie ma pan korki od elektryczności?

— A tu, w sieni koło drzwi — odparł po chwili.

Zaświeciłem latarką elektryczną i znalazłem umieszczony w ścianie licznik z dwoma korkami. Przez chusteczkę wykręciłem korek i dałem go do powąchania Protowi. To samo zrobiłem z drugim korkiem.

— Prot! Szukaj! Szukaj! Szukaj! — powtarzałem rozkaz.

Pies na chwilę zamarł. A potem nagle wyskoczył z sieni i przepadł w ciemnościach.

— Za nim! — krzyknąłem. — Za nim!

Zorientowaliśmy się, że pies popędził w kierunku jeziora. Rosło tam trochę krzaków. Prot wpadł w nie z głośnym szelestem gałęzi. Usłyszeliśmy warknięcie, potem szczekanie. Głośne, zajadłe.

— O tam, tam, ktoś ucieka! — krzyknął Baśka wskazując jezioro oświetlone smugą księżycowego blasku.

W srebrzystym potoku światła widać było podłużny kształt kajaka, który odbił się od brzegu w tym miejscu, gdzie ujądał Protazy.

— Panie Tomaszu, to znaczy, że ktoś wykręcił korki, zgasił światło, w ciemności wszedł do izby i ukradł talizman! A teraz ucieka — mówił pośpiesznie Baśka.

— Ucieka! Ucieka! — rozpacziała panna Helenka. — Ucieka prawdziwy złodziej. Ach, gdybyśmy mieli drugi kajak!

Skinąłem im ręką, żeby pobiegli za mną. Baśka wiedział, o co chodzi. Ale Ludmiłę i pannę Helenkę musiałem poganiać.

— Prędzej, prędzej do wehikułu! — wołałem.

Gwizdnąłem na psa, który kręcił się po brzegu i tylko czekał na rozkaz, by wskoczyć do wody.

Dopadliśmy szosy i wehikułu. Obok samochodów stał Smith, Marczak, Skwarek i pan Dohnal. Dla nich też już było jasne, że osobnik, który uciekał kajakiem, był złodziejem talizmanu.

— Siadajcie! Szybko siadajcie! — rozkazałem młodym i Helence.

— Co pan zamierza? — zapytał mnie Skwarek.

Nie odpowiedziałem. Gdy Prot wskoczył na tylne siedzenie, zapuściłem silnik i ostro ruszyłem z miejsca, prowadząc wóz w stronę jeziora.

— Pan chyba nie myśli pływać samochodem po jeziorze — przeraziła się panna Helenka.

— A tak. Właśnie, że popłyniemy — mruknąłem przez zęby. Ominąłem krzaki, odkryłem dogodny zjazd do wody. Rozpędziłem wehikuł.

— Nic się nie bój. Wehikuł świetnie pływa — Baśka uspokajał Ludmiłę. Mówił po polsku, ale z tonu jego głosu wywnioskowała, że nie grozi jej niebezpieczeństwo.

Wehikuł wpadł do jeziora. Na chwilę przednią szybę zalała woda i zdawało się, że tonie. Ale po sekundzie już się wynurzył.

Uruchomiłem śrubę napędową. Śmigło zaczęło obracać się coraz szybciej i szybciej.

W strudze blasku wyraźnie widziałem płynący wzdłuż brzegu kajak. Wehikuł zbliżał się ku niemu jak łódź motorowa. Jeszcze tylko sto metrów nas dzieliło. Jeszcze tylko pięćdziesiąt. Jeszcze dwadzieścia metrów...

Człowiek na kajaku rozpaczliwie wymachiwał wiosłami. Zapaliłem światła reflektorów. Nie mógł mi umknąć w ciemność. Jeszcze kilka minut i dogonię go, dobiję burtą wehikułu do kajaka.

— Pański samochód... — szepnęła panna Helenka. — Teraz już rozumiem, dlaczego pan nim jeździ, choć jest taki brzydki...

Złodziej zdawał sobie sprawę, że nie umknie. Raptem wstał i w ubraniu skoczył do wody, pozostawiając kajak na łasce losu. Był chyba świetnym pływakiem. Zniknął nam z oczu na długą chwilę. Gdy się wynurzył, zobaczyliśmy, że płynie o kilkanaście metrów od nas.

Skręciłem wehikułem i puściłem się w pogoń. Ale jemu pozostało do brzegu zaledwie kilka metrów. Finiszował cawłem w znakomitym stylu. Wskoczył na brzeg w miejscu, gdzie rosły gęste krzaki i gdzie nie mogłem wyjechać wehikułem.

— Niech pan wypuści Prota. On go już znajdzie — gorączkował się Baśka.

Zamierzałem to właśnie zrobić. Dobiłem bokiem do brzegu, chcąc umożliwić Protazemu skok w najdogodniejszym miejscu, tam gdzie wyszedł z wody złodziej, aby pies mógł pójść po śladzie.

Lecz oto w krzakach zapaliło się światełko reflektora i usłyszałem warkot silnika. Po kilku sekundach zobaczyliśmy motocykl, który, klucząc między krzakami, kierował się na szosę.

— To on! Ucieka motocyklem! — krzyczała panna Helenka, tak jakbym ja tego nie widział.

— Dogonią go! Zaraz go złapią — wrzasnął Baśka.

Bo przecież byli świadkowie tej sceny: Skwarek, Smith, Marczak i Dohnal, którzy pościg za kajakiem oglądali z samochodów na szosie.

Za motocyklem natychmiast ruszyły obydwa samochody, biały porsche i fiat 125p.

Przez jakiś czas śledziliśmy wzrokiem pogoń, dopóki szosa nie skręciła w bok od jeziora. O dziwo, motocykl oddalał się coraz bardziej, a samochody pozostawały w tyle.

Znalazłem nareszcie dogodny wyjazd z wody. Wydostałem się na szosę i również popędziłem za motocyklem.

Boże, cóż to była za szaleńcza jazda! Noc — i pusta bieszczadzka szosa. Wkrótce licznik szybkościomierza wskazywał sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Zwolniłem tylko, przejeżdżając przez Uherce, i znowu dodałem gazu. Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę!

— Pan ma jednak sportową żyłkę — oświadczyła panna Helenka, nieco przerażona szybką jazdą. — A w ogóle jakim cudem osiąga pan taką szybkość?

— To jeszcze nie wszystko. Jeśli będzie trzeba, wyduszę z niego znacznie więcej — powiedziałem nie bez uczucia dumy.

A wehikuł to wspinał się raptownie na wzgórza, to znów opadał w doliny, aż w dołku ścisnęło. Na ostrych wirażach piszczwały opony, ale samochodem nie zarzucało, ponieważ był niski, rozkraczony i znakomicie trzymał się szosy. Zapaliłem lampy diodowe, które kupiłem podczas swego pobytu we Francji — na szosie przed nami zrobiło się jasno jak w dzień.

Pod Leskiem dogoniłem fiata magistra Skwarka. Zatrąbiłem na niego, aby ustąpił mi drogę. Z najwyższym zdumieniem obserwowałem, jak pokraczny wehikuł, który w Pradze wzbudził jego drwiny, teraz wyprzedza go bez żadnego wysiłku.

W Lesku znowu zwolniłem. Widziałem już przed sobą tylne światła porsche. A kilkaset metrów przed nim — pojedyncze czerwone światełko motocykla.

— To nie może być zwykła emzetka albo wufemka — mruknąłem. — Zdaje mi się, że wiem, z kim mamy do czynienia, z chłopakiem na hondzie.

Za Leskiem motocyklista skręcił na Baligród. Przejechaliśmy most na Sanie i klaksonem dałem Smithowi znak, że będę go wyprzedzał. Ustąpił dopiero za trzecim sygnałem, widać długo nie mógł uwierzyć, że szkaradny wehikuł jest szybszy od porscha.

Dodałem gazu. Szosa była tu wąska i kręta, ale miejscami mogłem osiągnąć nawet i sto pięćdziesiąt kilometrów. Zwalniałem przed wirażami i, dzięki znakomitemu przyśpieszeniu, natychmiast odzyskiwałem utraconą szybkość.

W Bystrym nareszcie dopadłem hondę. Światłami dałem znak, że będę wyprzedzał. Ustąpił natychmiast ze środka szosy. Przcisnąłem pedał gazu, wyprzedziłem motocykl i zatrzymałem się w poprzek szosy.

— Panie! Co się stało? — chłopak wyhamował hondę i udawał, że nie rozumie, o co chodzi. Jakby nie wiedział, że był ścigany aż przez trzy samochody.

Wyskoczyłem z wozu i podszedłem do motocyklisty. Spodziewałem się zobaczyć puciołowatą gębę chłopaka, który dziś po południu na stacji benzynowej w Lesku wyśmiewał się z wehikułu. A tymczasem na siodełku hondy siedział trochę starszy chłopak, o podłużnej twarzy i dużym nosie.

Dotknąłem jego ubrania. Było suche, a przecież sam widziałem, jak ten ktoś z kajaka wyskoczył w ubraniu do wody. Potem wyszedł z wody i zaraz usłyszałem warkot motocykla. A więc nie zdążyłby się przebrać w suche ubranie. Innymi słowy — to nie był ten sam osobnik, który umknął na kajaku.

— Pan uciekał — powiedziałem.

— Uciekałem? — wzruszył ramionami. — Po prostu jechałem dość szybko.

— Ścigaliśmy pana trzema samochodami.

— A dlaczego? Co się takiego stało?

Znakomicie udawał, że nie wie, co mam na myśli. Obejrzałem go od stóp do głowy, zanotowałem w pamięci numer hondy. Czyżby w okolicach Leska były aż dwie hondy? Jedną jeździł puciołowaty chłopak, a drugą ten z dużym nosem?

Bez dalszych wyjaśnień wróciłem do wehikułu. Ustąpiłem samochodem ze środka drogi. Chłopak natychmiast odjechał w stronę Cisnej. Zbliżył się porsche Smith z dyrektorem Marczakiem.

— Chłopak na hondzie miał suche ubranie — wyjaśniłem. — Nabrali nas. Osobnik, który uciekał kajakiem i wyskoczył z wody w krzaki, pozostał tam. A drugi wyjechał z krzaków hondą i my rzuciliśmy się w pogoń. Tamten, mokry, jest już teraz daleko...

Wróciliśmy na camping w Lesku, gdzie czekał na nas magister Skwarek.

— Rajdowcy — powiedział z uznaniem. — Nie miałem żadnych szans, aby wam dorównać, więc wróciłem do domu.

Kładłem się już do snu, gdy na mój biwak przysłała panna Helenka.

— Nie mogę zasnąć — stwierdziła. — Głowią się nad tą sprawą i ciągle nie mogę czegoś zrozumieć. Domyślam się, że zgasili światło, żeby wśliznąć się do izby Pókijańca i ukraść ze stołu drugą połówkę talizmanu. Tylko jak oni to zrobili? W izbie było ciasno, staliśmy wszyscy dookoła stołu... I skąd oni wiedzieli, że Pókijaniec ma drugą połówkę? Proszę mi powiedzieć, rozumie pan coś z tego?

— Tak. Niemal wszystko. Ale dziś pani tego nie powiem.

Te słowa ją dotknęły. Zaciśnęła usta i wróciła na camping. Znowu zapewne obraziła się.

Po chwili zaś zjawił się u mnie Baśka.

— Czy pan wie, kto uciekał przed nami na hondzie? To był młody Gnat. Franek Gnat, panie Tomaszu.

Chwyciłem Baškę w ramiona i uściskałem go mocno.

— Może to jest właśnie brakujące mi ogniwo? A nie wiesz ty, czy Franek ma młodszego brata? Pucółowatego chłopaka, blondyna? Obydwaj może jeżdżą na jednej hondzie?

— Nie wiem tego, panie Tomaszu.

— To nic, Baśka. Już wkrótce będę to wiedział.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WYNIKI NARADY WOJENNEJ • AKTORSKI TALENT MARCZAKA • WYPRAWA DO JASKINI LWA • CZY JESTEM ZAGŁOBĄ • FORTELE • WALKA BEZ ROZLEWU KRWI • ZWYCIĘSTWO PROTA • TAJNE PRAKTYKI SMITHA • ODNALEZIENIE TALIZMANU • ADAM I EWA

Wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem, odbyłem z dyrektorem Marczakiem „naradę wojenną”.

— Za wcześnie, panie dyrektorze, aby krzycheć „hurra”, trafiliśmy jednak na właściwy trop — powiedziałem. — Musimy działać ostrożnie, aby nie spłoszyć ptaszków. Przede wszystkim należy, nie wzbudzając podejrzeń, zdobyć fotografię obydwu chłopaków, którzy jeżdżą na hondzie. Zdjęcia ich przedstawimy ludziom, którzy sprzedali ikony motocyklicie. Jeśli potwierdzą, że to był jeden z nich, damy znać milicji. Na razie nie ma potrzeby podnosić alarmu.

Ustaliwszy plan dalszego działania, poszliśmy na śniadanie. Zaraz potem magister Skwarek wyjechał fiatem z campingu, aby — jak mi powiedział — przywieźć prezent dla panny Helenki. Ja zaś poprosiłem do siebie Ludmiłę, Baškę oraz kolegę przyzwiskiem Piątek.

— Potrzebna mi będzie fotografia Franka Gnata i drugiego chłopaka na hondzie, zapewne jego brata — oświadczyłem trójce młodych ludzi. — Ty, Ludmiło, zrobisz swoją kamerą zdjęcie Frankowi. Głowa Baški i Piątka w tym, aby on tego nie zauważył i nie nabrał podejrzeń.

— Oni może widzieli mnie w pańskim wehikule — przypomniała Ludmiła. — Gdy zechcą ich sfilmować, nabiorą podejrzeń.

— Podrzucę was w okolice Cisnej swoim wehikułem. Wy pójdziecie dalej niby to na spacer, trójka młodych turystów, dwóch chłopaków, a wśród nich dziewczyna z aparatem filmowym. Cóż w tym podejrzanego? A może w moim wehikule znalazłaś się przypadkiem, jako autostopowiczka. Będziesz udawała, że filmujesz Cisną, góry, przejeżdżające samochody, chałupy. Niby to przypadkiem filmujesz także kiosk z „dziełami sztuki”, a w nim Franka Gnata. Może zresztą będą tam obydwaj bracia?

Wyjaśniłem im, do czego potrzebne mi są te zdjęcia. I pojechaliśmy do Cisnej. Ale po dwóch godzinach wróciliśmy z bardzo smętnymi minami. Okazało się, że w kiosku z pamiątkami siedział stary Gnat, a jego fotografia nie była nam do niczego przydatna.

Odbyliśmy znowu małą „naradę wojenną”. Podczas narady dyrektor Marczak wystąpił z następującą propozycją. Otóż trójka młodych znowu wyruszy do Cisnej, ale tym razem autobusem. A dyrektor Marczak zostanie przeze mnie podwieszony wehikułem w okolicy Bystrego. Objuczony swym sprzętem turystycznym uda się do zagrody Gnatów.

— Przyjdę do nich jako zabłąkany turysta — opowiadał Marczak. — Mam przy sobie aparat fotograficzny. I tak się urządzę, że jeśli młody Gnat będzie w domu, zrobię mu zdjęcie pamiątkowe.

Miałem pewne obawy, czy dyrektor Marczak potrafi dobrze odegrać rolę zabłąkanego turysty, ale on już podjął decyzję z wysokości swej urzędowej władzy.

— Pan mnie zupełnie nie docenia — oburzył się. — Znakomicie odegram swoją rolę. Jeśli tylko młody Gnat będzie w domu, zdjęcie jego zrobię z całą pewnością. Jeśli zaś pojedzie do Cisnej, tam zdjęcie zrobi mu Ludmiła. W ten sposób weźmiemy go w dwa ognie.

A potem dyrektora Marczaka poniosła fantazja:

— Czy nie sądzicie państwo, że samotny turysta może wydawać się podejrzanym? Co powiecie na to, jeśli zaproponuję, aby do zagrody Gnatów udała się wraz ze mną panna Helenka oraz pan Tomasz? Trójka turystów zabłąkanych w górach to już wygląda bardziej prawdopodobnie. I do tego jeszcze czeskich turystów, bo będziemy udawać Czechów, co pannie Helence przyjdzie bez trudności.

Wywnioskowałem, że Marczakowi potrzebna była widowia, która podziwiałaby jego aktorskie talenty.

Wtajemniczyliśmy we wszystko pannę Helenkę. Sam pomysł spodobał jej się, ale wyraziła zastrzeżenie co do jego wykonania.

— W wehikule pana Tomasza widział mnie chłopak przed stacją benzynową. I widział mnie chyba młody Gnat, gdy dopędzaliśmy go koło Bystrego.

Ale dla Marczaaka nie istniały żadne trudności.

— Mało to ładnych kobiet na świecie? — stwierdził. — Załóży pani chusteczkę na głowę i zakryje swoje jasne włosy.

Był to pomysł w istocie rzeczy bardzo błazeński. Ale w swej praktyce stwierdziłem niejednokrotnie, że często najbardziej idiotyczne i na prędcę organizowane pomysły przynosiły dobre rezultaty, a brały w łeb precyzyjnie przygotowane akcje.

A zresztą, czy mieliśmy jakieś inne wyjście, aby zdobyć fotografię młodego Gnata?

O naszej wyprawie wiedziała tylko trójka młodych ludzi. Nie wtajemniczyliśmy w tę sprawę ani pana Dohnała, ani Smitha, nie mówiąc o Skwarku, który wyjechał.

Baśka wyrysował plan drogi do zagrody Gnatów. Zaznaczył miejsca, gdzie najlepiej będzie zaparkować wehikuł oraz którądy pójść dalej pieszo, aby trafić do Gnatów.

Tego popołudnia pogoda była fatalna, ale nam wydała się bardzo sprzyjająca, albowiem uzasadniać mogła fakt naszego zabłąkania się w górach. W dolinach siąpił deszcz, wyżej zalegały niskie chmury i snuły się gęste mgły. Nie wiał nawet najlżejszy wiaterek i odnosiło się wrażenie, że chmury zaczęły się o szczyty. W wyższych partiach górskich widoczność była bardzo niewielka, w dolinach ograniczała widok mgła i siąpiący bez ustanku deszcz.

W Bystrym skręciłem w dolinę Rabego Potoku i pojechałem wyboistą drogą wzdłuż rzeczki. Minąłem zabudowania leśnictwa, gdzie to w swoim czasie Baśka pytał drwala o drogę do Gnatów. Tym jednak razem przy leśniczówce nikogo nie było, nikt chyba nie widział naszego samochodu, więc w miejscu zaznaczonym na planie skręciłem w krzaki. Niewidoczny z drogi, mój wehikuł mógł oczekiwać bezpiecznie naszego powrotu.

— Zabiera pan psa? — zdumiał się Marczak, gdy kazałem Protowi opuścić wehikuł. — Po co nam to bydłę? Natychmiast rozpoznają pana po tym pańskim psie.

— Nie wiem, kiedy wrócimy — wyjaśniłem Marczakowi — i nie mogę na dłuższy czas pozostawić Prota w samochodzie. Ale to posłuszne psisko i na pewno nie pomiesza nam szyków. Każę mu leżeć gdzieś za krzakami w pobliżu zagrody Gnatów.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Lecz w tym miejscu warto chyba wspomnieć, jak wyglądaliliśmy. Otóż ja nałożyłem ciemne okulary i miałem... czarną brodę. Panna Helenka zawiązała na głowie chusteczkę. Dyrektor Marczak był opasany grubą liną taternika, dźwigał ogromny plecak i podpierał się wspaniałym czekanem. Na jego piersi kołysał się na rzemykach aparat fotograficzny marki zorka 4.

Najpierw wspięliśmy się po niewysokim wzgórze, potem zeszliśmy w skalistą dolinę, gdzie na dnie sączył się mały strumyk. Minęliśmy ruiny spalonej wioski, znowu zdobyliśmy niewysokie wzgórze. Gdy zeszliśmy z niego, natrafiliśmy na mały potoczek górski. Innymi słowy — z powodu mgły wróciliśmy w to samo miejsce. Spostrzegłem, że od czasu do czasu

pies strzyże uszami i spogląda w stronę pobliskiej doliny. Gdy wsłuchaliśmy się w otaczającą nas ciszę, usłyszeliśmy stłumione przez mgłę szczekanie psa.

— Baśka wspomniał, że w zagrodzie Gnatów jest duży pies — przypomniała Helenka.

Przekroczyliśmy niezbyt głęboką dolinę, potem znów zaczęło się strome wzgórze. Szczekanie psa stawało się coraz wyraźniejsze i bliższe. Zajrzałem do planu Baški i stwierdziłem, że nareszcie znaleźliśmy się na właściwej drodze. Za szczytem wzgórza powinien być głęboki jar, a w jarze, na drugim brzegu strumienia, należało oczekiwać widoku zagrody Gnatów.

Tak było w istocie. Przykucnęliśmy za leżącymi na szczycie wzgórza ogromnymi załomami skalnymi i zobaczyliśmy u swoich stóp głęboki jar, którym płynął wartki potok. Zagroda stała po drugiej stronie, odgradzona od nas wodą. Długa chałupa z bali drzewnych wyglądała jak przyklejona do stromej ściany skalnej. Z pni drzewnych była palisada i wysoka brama od strony drogi, biegnącej dnem jaru, ale również po drugiej stronie potoku.

Nie dostrześliśmy nikogo. Ujadał tylko wielki brytan uczepiony łańcuchem do budy koło szopy.

Z miejsca, gdzie znajdowaliśmy się, do zagrody można było zejść w dół tylko po stromej ścianie jaru. Nad potokiem przerzucono kładkę drewnianą, bardzo zresztą wysoko. Trzeba było dostać się na tę kładkę.

— Schodzimy — zdecydował bez namysłu dyrektor Marczak.

I pierwszy zaczął zsuwać się po stromej ścianie jaru.

— Waruj! Waruj tutaj! — dwukrotnie powtórzyłem rozkaz Protazemu.

Pies położył się posłusznie za załomem skały, wielki łeb wtulił między przednie wyciągnięte łapy.

Poszedłem w ślady Marczaka, a za mną wyruszyła panna Helenka. Po kilku krokach stwierdziłem, że stromizna tylko z góry wydawała się tak ostra. Raz po raz trafiliśmy na występy skalne, na krzaki, których można się było złapać, co ułatwiało schodzenie.

Dyrektor Marczak maszerował w dół szybko i zręcznie, niczym prawdziwy taternik. Wielki pies Gnatów dojrzał nas wreszcie i zaczął wściekle ujadać. Myślę, że ktoś tam z okna chałupy zerknął do jaru i musiał nas także zobaczyć. Widok Marczaka, śmiało schodzącego po stromiźnie, chyba każdemu musiał nasuwać przekonanie, że oto nadchodzi alpiniści najwyższej klasy.

Lecz fortuna lubi płać figle. Nie należało zapominać o deszczu, który od południa nieustannie siąpił w tej okolicy. Raptem Marczak pośliznął się na jakiejś skale, zatrzepotał rękami jak ptak, który zamierza wzlecieć, potem chwycił się wątlej kosodrzewiny i... zjechał w dół. Szczęściem — na pośladkach, i to z niezbyt dużej wysokości. Gorzej, że zjechał nie na kładkę, tylko prosto w potok. Klapnął w wodę jak wielka żaba.

— Do licha! — jęknął wcale nie po czesku, a przecież miał Czecha udawać.

Nic mu się nie stało. Tyle tylko, że przemoczył spodnie aż do pasa. Podniósł się zresztą zaraz z wody i pomrukując wściekle pod nosem, przelażł na drugi brzeg, ślizgając się na mokrych gładkach.

Pies ujadł jak oszalały. Z chałupy wyszła starsza kobieta w chustce i obrzuciła Marczała ponurym wzrokiem.

— Czego pan chce? — zapytała niechętnie.

— My są Czesi — łamaną polszczyzną wyjaśnił Marczak pokazując na swoje mokre spodnie.

Zrozumiała, że zapytuje ją, czy nie ma suchych spodni na zamianę.

— Nie mam spodni — burknęła.

— Suszyć... suszyć — tłumaczył jej Marczak.

— Aha, wysuszyć — domyśliła się. — No dobrze, w piecu napalone. Może pan spodnie wysuszyć.

W tym czasie ja i panna Helenka szczęśliwie zleźliśmy do jaru i po chwiejnej kładce przedostaliśmy się na podwórze.

Panna Dohnalowa płynnie po czesku próbowała wyjaśnić kobiecie, że jesteśmy turystami z Czechosłowacji i chcemy dojść do Leska, ale zabłądziliśmy w górach z powodu mgły i deszczu. Zapytała, czy kobieta może sprzedać nam mleka i chleba. Zrozumiała te słowa.

— Nie. Krowy nie trzymam. Ani kur. Chleba też mi zabrakło — oświadczyła.

Wskazała na ławę stojącą pod okapem chlewu, przytykającego do szczytowej ściany chałupy. Na Marczała kiwnęła głową, żeby poszedł za nią suszyć spodnie.

Nie była gościnna. Wprawdzie udawaliśmy tylko zbłąkanych czeskich turystów, ale jakie wrażenie odnieśliby prawdziwi turyści, gdyby zdarzyło im się trafić do Gnatów? Jaką opinię wynieśliby podróżni o polskiej gościnności w Bieszczadach?

„Baśka ma rację. Ci ludzie muszą mieć coś na sumieniu, skoro tak nie lubią obcych” — pomyślałam.

Ale należało stosować się do życzeń Gnatowej. Marczak poczłapał do kuchni, a ja i panna Helenka usiedliśmy na ławie pod okapem, który chronił nas od deszczu.

Nagle panna Helenka trąciła mnie łokciem. Koło ławki stała drabina prowadząca na stryszek nad chlewem. A pod drabiną, okryta płachtą brezentową, znajdowała się honda. Najlepszy dowód, że przynajmniej jeden z młodych Gnatów przebywał w domu. Teraz odczuwałam zadowolenie z braku gościnności Gnatowej. Na ławie koło chlewu mniej byliśmy narażeni na rozpoznanie.

Siedzieliśmy z Helenką dość długo w zupełnym milczeniu. Pies, przywiązany do budy z drugiej strony chałupy, wciąż wściekle ujadł, aż ochrypl. Deszcz padał bez ustanku,

pomyślałem więc, że w takiej sytuacji chyba nie nadarzy się sposobność, aby zrobić młodemu Gnatowi zdjęcie. I nasza wyprawa do Gnatów okaże się bezowocna. Należało zaryzykować rozpoznanie, aby pomóc Marczakowi w wykonaniu zadania. Wstałem z ławki i w towarzystwie panny Helenki przespacerowałem się pod oknami chałupy, gdzie suszył spodnie dyrektor Marczak.

Po jakimś czasie skrzypnęły drzwi. Ktoś wyszedł na podwórze, ale go nie widziałem, bo znowu siedzieliśmy zasłonięci węglem domu.

Nagle usłyszałem czyjś głos:

— Uciekajcie po drabinie na stryszek! Pies urwał się z łańcucha!

Do naszych uszu doszło straszliwe ujadanie, niemal charkot wydobywający się z psiej gardzieli.

— Na stryszek! Prędkiej! — chwyciłem za rękę pannę Helenkę i pomogłem jej wspiąć się po szczeblach drabiny.

W samą porę. Wielki kosmaty brytan, skrzyżowanie boksera z wilkiem, wypadł zza węgła. Z pyska ciekła mu piana, oczy połyskiwały krwawo.

Dopadł drabiny i usiłował wdrapać się na nią. Kilkakrotnie, rycząc wściekle, skakał do góry, lecz my znajdowaliśmy się poza zasięgiem jego kłów. Siedzieliśmy na stryszku pełnym siana i patrzyliśmy na dół przez otwarte drzwiczki.

— To jest dopiero bestia — mruknąłem spoglądając w rozwartą paszczę psa, który miotał się w dół koło drabiny.

Zza węgła wyszedł młody Gnat. Popatrzył na nas, siedzących na stryszku, potem chwycił psa za obrozę.

— A teraz pan — powiedział do kogoś, kto także wyszedł z chałupy. — Maszeruj pan do nich na strych. No, prędkiej, bo puszczę psa — zagroził.

I oto naszym oczom ukazał się dyrektor Marczak. Ale jakże żaloszny, a zarazem śmieszny przedstawiał widok!

Wyobraźcie sobie zażywnego pana, owiązanego liną taterniczą, ale bez spodni. Tak, dyrektor Marczak trzymał w ręku swoje mokre spodnie i maszerował w gimnastycznych czarnych majteczkach. Na nogach miał wielkie buty do wspinaczki wysokogórskiej, które uwypuklały chudość jego łydek. Przy tym wszystkim dyrektor Marczak kroczył z ogromną godnością.

— Na górę! Prędkiej, prędkiej! — poganiał go młody Gnat trzymając za obrozę wściekłego psa, który wyrывał mu się, aby chwycić Marczaka za gołe łydki.

Dyrektor wdrapał się po drabinie na stryszek. A wtedy młody Gnat puścił psa i zabrał drabinę.

Marczak zaczął mu wygrażać pięścią:

— Czy pan wie, na co się pan naraża?

— O, proszę, jak dobrze mówi pan po polsku — z ironią stwierdził chłopak. — A podawał się pan za czeskiego turystę.

Na podwórzu pojawił się drugi chłopak — puciołowaty blondyn, który na stacji benzynowej w Lesku wyśmiewał się z mego wehikułu. A więc nie myliłem się chyba, ci dwaj byli braćmi i jeździli na jednej hondzie.

Z chałupy wyszła również Gnatowa. Zadarła głowę i spoglądając na nas, w zdumieniu kręciła głową.

— Jak tylko ich zobaczyłam, zaraz mnie coś tknęło. Ani chybi, jakieś zbóje!

Franek Gnat przyglądał mi się bacznie.

— Jakby mu tak zdjąć brodę i okulary — powiedział — to najpewniej byłby ten, który mnie ścigał na szosie.

— A co on od ciebie chciał? — zapytała Gnatowa.

— Nie wiem. Może myślał mnie obrabować? Ale nadjechał jakiś facet porsche i go spłoszył.

— On jeździ takim śmiesznym samochodem — dodał drugi Gnat.

— Teraz wiem, że to dla niepoznaki. Jego wóz ciągnie jak wszyscy diabli.

— I tę babkę też już gdzieś widziałem — zastanawiał się Franek Gnat.

Pomyślałem, że obydwaj dobrze grają swoją rolę. Ani im się wymknęło słowo o tym, że wehikuł pływa po wodzie. Nie chcieli się zdemaskować, że brali udział w historii u Pókijańca.

Dyrektor Marczak przemawiał z wysokości strychu:

— Panowie, to jakieś nieporozumienie. Jesteśmy turystami, którzy zabłąkali się w górach.

Wychyliłem głowę ze stryszku i zawołałem:

— Natychmiast nas wypuście! Nie wolno nikogo więzić.

— A czy was kto więzi? Możecie zejść, jeśli macie wolę — powiedział młodszy brat, ten puciołowaty. — Nasz pies może chodzić po podwórku, bo to nasze podwórko. Nie my przyszliśmy do was, tylko wy do nas.

Franciszek Gnat rozkazał młodszemu bratu:

— Wsiadaj, Zdzichu, na motor i pędź po ojca do Cisnej. A ja tu ich dopilnuję z naszym pieskiem.

Młodszy Gnat odrzucił płachtę okrywającą hondę.

Szepnąłem do Marczaka.

— Niech pan im teraz zrobi zdjęcia.

Marczak błyskawicznie zdjął z szyi aparat fotograficzny, wycelował obiektywem w obydwu Gnatów. Sfotografował ich raz, drugi, trzeci, czwarty, za każdym razem zmieniając przesłonę i czas naświetlania, aby choć jedno zdjęcie było udane.

— Patrzcie no — krzyknęła Gnatowa — on was fotografuje!

Franek Gnat znowu zadął głowę do góry.

— Ej, panowie, co to za żarty? — zaniepokoił się.

— Do filmu was chcemy zaangażować! — odkrzyknąłem. — Świetni z was artyści.

Pogroził nam pięścią.

— Odechce wam się żartować, jak ojca i kolegów tu sprowadzę. Najpierw was przepytamy, a potem sprawimy lanie. I żaden się tu więcej nie pokaże.

Gnatowa powiedziała:

— Najlepiej dajcie znać milicji. To jakieś zbójce, które się po górach wałęsają.

— A pewnie, że damy znać milicji — zgodził się z nią młodszy z braci.

Zapalił silnik hondy i wyjechał z podwórza. Gnatowa jeszcze jakiś czas spoglądała ku górze, potem poszła do chałupy. Pod chlewem został tylko pies i Franek Gnat.

— A to żeśmy wpadli... — burknął dyrektor Marczak. — I co teraz będzie?

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zrobił pan zdjęcie Gnatowi, piękne zdjęcie na motocyklu. A o to przecież nam chodziło.

Dyrektor złapał się za głowę:

— Co za hańba! Dyrektor departamentu zamknięty w chlewie na strychu.

— Pan Zagłoba także siedział na strychu chlewni i jakoś nie czuł się pohańbiony — odparowałem.

— Zagłoba miał fortele. A pan?

— Może i ja wynajdę jakiś fortel.

— Temu Gnatowi źle z oczu patrzy — mruknął Marczak. — Siedziałem w ich chałupie, susząc spodnie, a pan właśnie spacerował pod oknami. Nawet mu brew nie drgnęła, że pana

rozpoznał. Odczekał chwilę, potem wyszedł na podwórze i grożąc psem, kazał wam się wdrapać na strych. Następnie za mnie się zabrał.

— Szkoda, że pan zostawił w chałupie swój czekan — powiedziałem. — Może pies zląkłby się czekana i w ten sposób utorowałby nam pan drogę na wolność?

Panna Helenka popatrzyła w dół na miotającego się pod chlewem psa i rzekła westchnąwszy sentymentalnie:

— W dawnych czasach dama, jeśli chciała wypróbować swego rycerza, rzucała rękawiczkę na arenę między walczące ze sobą dzikie zwierzęta. Mogłabym i ja coś zrzucić, ale obawiam się, że żaden z panów nie odważyłby się zejść na dół.

— Z całą pewnością nie zrobiłbym tego — oświadczył Marczak.

— I ja również.

— No, proszę, proszę — kpiła. — Oto dwaj mężczyźni. Jacy są odważni i skorzy do poświęceń. Czy już naprawdę nie ma na świecie prawdziwych mężczyzn!

Odparłem filozoficznie:

— Skoro ubywa prawdziwych kobiet, to podobnie dzieje się z prawdziwymi mężczyznami.

— Fortele! — jęknął dyrektor Marczak. — Gdzie są pańskie fortele? Jak długo mam tu siedzieć na strychu z mokrymi spodniami w garści?

Panna Helenka zapytała po chwili namysłu:

— W jakim celu wpędzili nas na strych? Co im to da? Czy naprawdę zamierzają nas obić?

— Nie sądzę — odparłem. — Młodszy z braci pojechał po ojca, który tu zapewne wszystkim rządzi. Przypuszczam, że stary Gnat zechce najpierw dowiedzieć się od nas, w jakim celu przyszedliśmy do jego zagrody. Nie ma chyba czystego sumienia, skoro tak lęka się obcych. Myślę, że wszystko skończy się na posterunku milicji. Gnatowie zechcą nas oskarżyć o najście na ich dom, czyli zastosują starą metodę: łapaj złodzieja. Potem, gdy my zechcemy wysunąć pod ich adresem jakieś zarzuty i podejrzenia, będzie to wyglądało na zemstę, że nas zamknęli na strychu.

— Takie rozumowanie jest bardzo krótkowzroczne — stwierdził Marczak.

— Zgadzam się. Ale Gnatowie nie wyglądają na wielkich spryciarzy. Może zresztą młodszy Gnat wcale nie pojechał po ojca, ale postanowił porozumieć się z Robertem, który, jak sądzę, już tutaj przybył z Pragi?

— Ach, pan ciągle o tym Robercie — westchnęła panna Helenka. — Przestałam wierzyć w istnienie tego człowieka.

— Fortele! Gdzie są pańskie fortele? — powtórzył żałośnie dyrektor Marczak.

Wystawił głowę ze strychu i rzucił w psa garścią siana.

— Co za wściekła bestia! Miałem rację stroniąc od psów. Pana pies jest taki sam i nigdy nie dam się do niego przekonać.

Tknęła mnie pewna myśl.

— Protazy? Pan wspomniał o Protazym — szepnąłem radośnie.

— Zdaje mi się, że przychodzi mi do głowy fortel.

Przytknąłem dwa palce do ust i gwizdnąłem głośno. A gdzieś z góry, z drugiego brzegu jaru, odezwało się donośne psie szczekanie. Gruby niski głos Prota wyróżniłbym spośród dziesiątków innych psich głosów.

Gwizdnąłem powtórnie, zachęcając psa, aby opuścił swoje stanowisko i przyszedł do mnie.

— Co pan robi? — zaniepokoiła się panna Helenka. — Chyba pan nie zamierza szczuć Prota na tę kosmatą bestię? Nie znoszę widoku gryzących się psów.

— A jednak zapewne z wielką przyjemnością czytała pani „Biały kieł” Londona?

— Co innego czytać, a co innego oglądać taką walkę.

— Postaram się nie dopuścić do walki — wyjaśniłem. — Zależy mi tylko na tym, aby widok Prota wywabił kosmatego diabła na drugą stronę potoku. Wówczas bezpiecznie zejdziemy na podwórko, bo przecież Franek Gnat nie odważy się nas zatrzymać.

Wystawiliśmy głowy ze strychu i patrzyliśmy w stronę jaru. Franka Gnata zaniepokoił mój gwizd. Zorientował się, w jakim kierunku patrzymy, i również spojrzął w tamtą stronę.

— Jest! — zawołałem.

Albowiem dojrzałem Prota na krawędzi jaru. Na razie pies stał nieruchomo jak statua — wspaniały, wielki, błękitny dog. Patrzył w dół na potok, kładkę, podwórze.

Gwizdnąłem ponownie. Ostrzej, rozkazująco.

Prot szczeknął głośno, aż echo odbiło się po górach. A potem zaczął wolno zsuwać się po stromiźnie jaru, kierując się do kładki.

Kosmaty diabeł usłyszał go i dojrzał. Z gardzieli dobyło mu się głuche warczenie, zjeżyła mu się sierść na grzbiecie.

— Bierz go! Bierz go! — Franek Gnat poszczuł na Prota kosmatego diabła, który jak oszalały rzucił się w kierunku potoku. Ale zatrzymał się na brzegu tuż koło kładki i warcząc czekał na nadejście Prota.

Franek Gnat zerknął ku nam i powiedział:

— Nic wam nie pomoże ten piesek. Zaraz się z nim rozprawię. To mówiąc podniósł z ziemi gruby kij i zrobił kilka kroków w stronę potoku.

— Może teraz spróbujemy ucieczki? — zaproponował Marczak.

— A jeśli kosmaty diabeł zechce wrócić? — powstrzymałem te zapędy.

Lecz była to zbyt duża przezorność. Pies Gnatów nie widział już niczego poza wielkim dogiem, który stał po drugiej stronie strumienia, oddzielony od niego długością kładki nad potokiem. Obydwa psy, warcząc z cicha, patrzyły na siebie z ogromnym napięciem. „Jak długo będą tak stały?” — zastanawiałem się.

W Protazym odezwał się duch bojowego psa. Jego protoplasci bronili karawan przemierzających stepy, walczyli na arenach z dziką zwierzyną, z lampartami i tygrysami. Karol Hagenbeck, założyciel jednego z najsłynniejszych ogrodów zoologicznych, zestawił kiedyś dla tresury kolekcje z blisko czterdziestu gatunków różnych zwierząt. Gdy go zapytano, które z nich uważa za najgroźniejsze, odparł, że dwa dogi znajdujące się w kolekcji. One to trzymały w szachu wszystkie inne zwierzęta, a były wśród nich para białych niedźwiedzi i nawet lwy. Straszliwa jest siła dogów i nieustraszony duch bojowy, który sprawia, że raczej zginą, niż ustąpią z pola walki.

I oto błękitny dog — chyba jednak przez kogoś znakomicie tresowany — stał naprzeciw kosmatego skrzyżowania boksera z wilkiem. Na grzbiecie również zjeżyła mu się sierść, uszy sterczały jak diable rogi. Potężna masa sześćdziesięciu kilogramów ciała sprężyła się do walki.

Czy pies Gnatów był groźnym przeciwnikiem? Myślę, że tak, bowiem krzyżówki różnych ras potrafią stworzyć niesamowicie groźne i dzikie osobniki. A ten, wychowany na odludziu, był na pewno krwiożerczą bestią.

Ale nie chciałem dopuścić do walki.

— Prot, na miejsce! — krzyknąłem do niego dając mu znak, aby wracał na górę.

Mój rozkaz okazał się jednak spóźniony. Dog już wszedł na kładkę, zmierzając wprost do kosmatego diabła, który postąpił krok naprzód, przednimi łapami stając na kładce. Było jasne, do czego zmierzał pies Gnatów. Chciał przyjąć przeciwnika w niewygodnej dla niego pozycji, a dog musiał zbliżyć się po chwiejnej, wąskiej kładce.

— Prot! Wracaj! — krzyknąłem groźnie.

Lecz i ten rozkaz nie poskutkował. Dog szedł powoli, krok za krokiem, ostrożnie, lecz pewnie. Kto wie, czy nie nauczono go chodzić nawet po szczeblach drabiny?

W połowie kładki zatrzymał się, jakby zdając sobie sprawę, że przeciwnik jest w lepszej od niego sytuacji. Stał i zawarczał.

A kosmaty diabeł zaczął się miotać na brzegu. Z pyska wydobywał mu się dziki charkot. To przyczynał się, gotowy do skoku, to znów nieomal wskakiwał na kładkę, tak go ponosiły nerwy i wściekłość.

Prot zrobił jeszcze kilka kroków do przodu. Potem nagle cofnął się, jakby świadomy, że na wąskiej kładce nie zdoła zwyciężyć przeciwnika.

A kosmaty diabeł okazał się rozszalałą bestią, która potrafi tylko gryźć i szarpać, ale nie umie pracować psim mózgiem. Rozwścieczony spokojem Prota, rzucił się nagle na kładkę, aby kłami dosięgnąć dogę.

Prot jeszcze się cofnął. A potem błyskawicznie skoczył do przodu i ogromną klatką piersiową uderzył w przeciwnika, który spadł do potoku na ogromne głazy.

Aż jęknęło. Strugi wody wznosiły się do góry.

Teraz Prot przebiegł po kładce i spotkał się oko w oko z Frankiem Gnatem.

— Ja ci pokażę! — wrzasnął chłopak i zamierzył się na Prota grubym kijem.

Pies uskoczył w bok. Koniec kija ominął jego łeb i zawisnął w powietrzu. Franek Gnat aż zachwiał się, tracąc równowagę. A wtedy Prot skoczył, jakby podrzucony jakąś ogromną siłą i uderzył go piersią. Chłopak przewrócił się, a wówczas Protazy stanął nad nim z rozwartą paszczą.

— Ratunku! — darł się rozpaczliwie chłopak.

Ale kosmaty diabeł stał nieruchomo po drugiej stronie potoku — oszołomiony czy też ogłuszony upadkiem.

Z chałupy wybiegła Gnatowa. Trzymała w ręku siekiere.

Prot odskoczył od leżącego chłopaka i warcząc groźnie obiegł dookoła Gnatową.

— Franek do domu! Uciekaj do domu! — wołała.

Chłopak pobiegł na czworakach do drzwi chałupy. Gnatowa cofała się także, wymachując siekiere. A Protazy biegł wokół niej, to zbliżając się, to znów uskakując. Wyglądało na to, że po prostu igra sobie z nią, a niebezpieczeństwo, które mu groziło, traktuje jak zabawę.

W tym czasie zeskoczyłem ze strychu i pomogłem zejść pannie Helence i Marczakowi.

— Prot, do nogi! — krzyknąłem na psa.

W półotwartych drzwiach chałupy krył się młody Gnat i wołał w stronę potoku:

— Chodź tu! Do mnie!

Lecz kosmaty diabeł, ociekający wodą, stał wciąż nieruchomo. Ani myślał wrócić na podwórze, gdzie szalał ogromny dog. Zdałem sobie sprawę, że pies doznał szoku i jeszcze długo potrwa, zanim dojdzie do siebie.

Z Protem przy nodze podszedłem wolno do chałupy. Przerażony Franek wciągnął do wnętrza matkę i zatrzasnął drzwi.

Zapukałem lekko.

— Bardzo proszę o czekanik, który u państwa zostawił mój kolega — oświadczyłem grzecznie.

Po chwili drzwi odemknęły się odrobinę i przez szparę ktoś wysunął czekan Marczaka.

— Do widzenia państwu — powiedziałem.

Przeszliśmy podwórze, otworzyliśmy bramę i pomaszzerowaliśmy koło potoku. Po kilkunastu minutach już siedzieliśmy w wehikule.

— Zupełnie inteligentny ten pana piesek — stwierdził z uznaniem dyrektor Marczak. — Pozwoli pan, że po naszym powrocie do Warszawy kupię mu aż dwa kilo kaszanki. Czy zwrócił pan uwagę, że on walczył bez rozlewu krwi, nie używając zupełnie swoich kłów? Kto go tak wytresował, panie Tomaszu?

— Nie mam pojęcia. Ten mój pies jest jeszcze jedną tajemnicą. Dostałem go w podarunku i nawet nie miałem czasu, żeby porozmawiać z jego poprzednim właścicielem.

Na wyboistej drodze do Bystrego napotkaliśmy hondę, na której jechał młodszy z braci, a z nim jego ojciec, Józef Gnat.

Na widok wehikułu honda zatrzymała się na poboczu drogi. Wychyliłem się z okienka i mijając ich pomachałem im ręką. Młodszy Gnat aż gębę otworzył ze zdumienia.

W Lesku dyrektor Marczak poszedł natychmiast na poszukiwanie zakładu fotograficznego, ja zaś wyjąłem z walizki duży notatnik i zająłem się rysunkami oraz matematyką.

Przed wieczorem przyjechał skądś swoim porsche pan Smith. Nie mówił nikomu dokąd i po co jeździł, i zaraz po kolacji zamknął się w swoim domku.

Przed kolacją powróciła również do Leska trójka młodych. Oczywiście, nie zrobili żadnych zdjęć, co było do przewidzenia, skoro obydwaj bracia znajdowali się w swojej zagrodzie. Panna Helenka zdała im relację z przebiegu wydarzeń, nie wspominając jednak dyskretnie o tym, jak to dyrektor musiał bez spodni wdrapywać się po drabinie do chlewu.

Na kolację zdążył także przyjść Marczak. Asystował fotografowi przy wywoływaniu zdjęć.

— Zdjęcia są dobre — powiadomił nas. — Ale odbitki fotograf zrobi dopiero na jutro. Kazałem wykonać dziesięć sztuk.

Nadszedł zmierzch, a magistra Skwarka ciągle jeszcze nie było. „Może zepsuł mu się samochód?” — pomyślałem i wróciłem do siebie, do rysunków i matematyki.

Wkrótce zajrzał do mnie dyrektor Marczak. Minę miał niezwykle tajemniczą.

— Coś mi się zdaje, że nasz różokrzyżowiec — powiedział — odbywa w swym domku jakieś magiczne praktyki. Baśka i Ludmiła zauważyli, że zakrył kocem okno. Nigdy tego nie robił.

— Może się myje?

— Przecież na campingu są natryski.

— Może przewija film?

— Nie ma aparatu fotograficznego.

Chciałem znowu zająć się rysunkami, bo mało mnie interesowały tajne praktyki różokrzyżowca, ale dyrektor Marczak zmusił mnie, żeby wyjść na dwór. Koniecznie chciał, abym zapukał do domku Smitha i wszedł tam pod byle jakim pretekstem.

Okazało się to zbyteczne. Na ławce przed domkiem, gdzie mieszkały panny Dohnalowe, siedziało całe towarzystwo i gorączkowo coś komentowało.

— Podpatrzyliśmy go — szepnął mi Baśka. — Nie zakrył całego okna i mogliśmy zajrzeć do wnętrza.

— Bardzo brzydko kogoś podglądać — zgromiłem go.

— To przecież różokrzyżowiec — bronił się chłopak. — A pan dyrektor Marczak twierdzi, że oni zajmują się magią. Byłem ciekawy, jak wyglądają magiczne obrzędy.

— I co widziałeś?

— On ma drugą połówkę talizmanu! I zestawia ją z pierwszą — rzucił mi jak bombę.

Jak należało postąpić w tej sytuacji? Usiadłem z wszystkimi na ławce i rozpoczęliśmy naradę. Panna Helenka mówiła, że należy wkroczyć do domku Smitha i odebrać mu drugą połówkę talizmanu. Pan Dohnal przeciwstawił się temu, uważając, że byłby to wielki nietakt towarzyski. Albowiem pan Dohnal był człowiekiem dobrze wychowanym i bardzo kulturalnym. Krewki Marczak skłaniał się ku poglądom panny Helenki, Baśka zaś i Ludmiła wysunęli propozycję, aby wywołać Smitha. Gdy wyjdzie z domku, panna Helenka wejdzie cichcem i obejrzy talizman.

— A jeśli on zabierze go z sobą? — odrzucił tę propozycję dyrektor Marczak.

Mnie żaden z tych projektów nie przypadł do gustu. Po prostu poszedłem i zapukałem do drzwi Smitha.

— Przepraszam pana, panie Smith — powiedziałem. — Zjawy, które mam na swych usługach, szepnęły mi, że udało się panu zdobyć drugą połówkę talizmanu. Zwracam się z prośbą: czy mógłbym ją obejrzeć?

W domku przez dłuższą chwilę trwała cisza. Potem zaszurały kroki i w drzwiach stanął Smith. W rękę trzymał drugą połówkę talizmanu.

Był zmieszany, zawstydzony, jak złodziej schwytany na gorącym uczynku.

— Nie myślicie, że ukradłem talizman u Pókijańca, znalazłem na oknie swojego domku ten oto list.

Przeczytałem list. Był napisany na kartce wyrwanej z zeszytu po niemiecku, ale z błędami ortograficznymi i gramatycznymi.

Autor listu rozkazywał Smithowi przyjechać o zmroku do mostu na Sanie, przywieźć sto dolarów i czekać w samochodzie na szosie. Smith tak zrobił. Czekał w samochodzie na szosie, nagle ktoś podszedł do wozu, podał mu przez okienko talizman i zabrał sto dolarów. Potem zniknął w ciemnościach.

— Widział pan tego człowieka? — zapytałem.

— Nie. Było zupełnie ciemno. Księżyc jeszcze nie wzeszedł.

— A dlaczego pan nas o tym nie powiadomił? Może zorganizowalibyśmy pułapkę na tego osobnika?

Smith znowu bardzo się zmieszał.

— Bardzo chciałem mieć tę połówkę... Myślałem, że jeśli zestawię swój falsyfikat z tą prawdziwą drugą połówką, może sam rozwiązę zagadkę.

— I udało się?

— Nie. Zestawiam te dwie połówki i nic mi z tego nie wychodzi.

Otoczony przez młodzież, Helenkę, Marczaka i Dohnalą, oglądałem uważnie talizman. Nie ulegało wątpliwości, że był to ten sam, który widzieliśmy u Pókijańca.

— Ale to również falsyfikat — stwierdziłem w końcu.

— Co też pan mówi? — oburzył się Smith. — Dałem za niego sto dolarów.

— I źle pan zrobił. Podwójnie źle. Kupił pan falsyfikat i zapłacił pan dolarami, co w naszym kraju jest przestępstwem dewizowym — powiedziałem.

— Wygląda na autentyk — szepnęła Helenka.

— Owszem. Wygląda na autentyk — przyznałem. — Ale ten, kto go kazał wykonać, nie zna się na talizmanach. Talizman Kelleya był kwadratem magicznym Jowisza.

— Zgadza się. Z góry na dół cyfry tworzą sumę 34 — rzekł Smith.

— Ale sumę 34 powinny tworzyć cyfry również z lewa na prawo, albo jak kto chce, z prawa na lewo. A o tym już ten ktoś nie pomyślał. Po drugiej stronie talizmanu kazał powtórzyć rysunek z pierwszej połówki: druga część palmy i człowiek pod palmą. Napis „Kelley” i obydwie daty.

— Straciłem sto dolarów — mruknął Smith. — Myślałem, że to autentyk. Przecież oglądaliście ten talizman u Pókijańca...

— Nie miałem go w ręku — odpowiedziałem Smithowi.

— Było ciemno. Oglądałam go przez krótką chwilę — tłumaczyła się panna Helenka.

Dodałem:

— Myślę, że właśnie o to chodziło, aby pan Smith nabrał przekonania, że talizman jest autentyczny.

— W takim razie... Pókijaniec jest współnikiem oszusta! — zawołała panna Helenka.

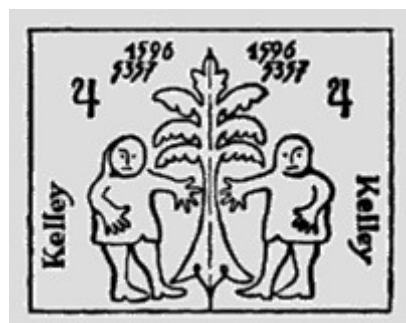
— Ach, to są tylko moje domniemania — zbagatelizowałem tę sprawę. I nie chcąc, aby dalej wałkowano historię Pókijańca, zaprosiłem wszystkich na swój biwak. — Ja także, proszę państwa — oświadczyłem — zajmowałem się produkcją drugiej połówki talizmanu. Tylko że robiłem to nie na srebrnej blaszce, a na papierze. I podobnie jak oszust doszedłem do wniosku, że być może druga strona z rysunkiem miała obydwie połówki identyczne. Natomiast nieco inaczej wyglądały obydwie połówki z cyframi. Oto moje wyobrażenie całego talizmanu.

To mówiąc otworzyłem im mój notatnik z rysunkami.

— Tak, moim zdaniem, wyglądał kwadrat magiczny, czyli jedna strona całego talizmanu:

4	14	15	1
9	7	6	12
5	11	10	8
16	2	3	13

— A tak oto, moim zdaniem, wyglądała druga strona całego talizmanu:



— No i co? Rozumiecie coś z tego? — zapytałem.

Panna Helenka wzruszyła ramionami.

— I pana zdaniem wystarczy pójść z tymi pańskimi rysunczkami do grobu Löwego, aby znaleźć klejnoty Katza i Kelleya? Nie. Druga połówka talizmanu musiała wyglądać zupełnie inaczej. I nie odkryjemy klejnotów, jeśli jej nie znajdziemy.

Pozostali byli tego samego zdania, co i Helenka. Rozczarowani powrócili na camping.

Przywołałem na chwilę pannę Helenkę i poprosiłem ją, aby jeszcze raz obejrzała moje rysunki.

— Czy nic pani nie przypominają dwie postacie pod drzewem? — zapytałem.

Odpowiedziała po długim namyśle:

— W ten sposób przedstawia się zazwyczaj Adama i Ewę pod Drzewem Wiadomości Dobrego i Złego.

— Ma pani rację. Mnie przyszły do głowy podobne skojarzenia.

— Tylko że nic z tego dla nas nie wynika — stwierdziła.

I z tym także musiałem się z nią zgodzić.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

PANNA HELENKA OTRZYMUJE PREZENT • PROJEKCJA FILMU I CO Z TEGO WYNIKŁO • NOWE PLANY I DECYZJE • WYJAZD DO PRAGI • HARCERZE ZOSTAJĄ ZNOWU DETEKTYWAMI • NA GRANICY • GDZIE JEST SKARB • U STUDNI MĄDROŚCI... • ROZUMOWANIA • ODNAJDUJEMY KLEJNOTY • CO SIĘ STAŁO ZE SKARBEM

Magister Skwarek powrócił do Leska dopiero następnego dnia. Przywiózł pannie Helence ludowy drewniany ołtarzyk, zamykany na dwoje drzwiczek, misternie rzeźbiony. W środku była płaskorzeźba przedstawiająca scenę ukrzyżowania. Podobne ołtarzyki sprzedają niekiedy cepeliowskie sklepy, ale etnografowie nie bardzo chcą uznać te dzieła za wykwit sztuki ludowej, a raczej za jarmarczną tandetę.

Skwarek uważał swój ołtarzyk za prawdziwe dzieło sztuki, pojechał nawet do Rzeszowa i w tamtejszym wydziale kultury wystarał się o zezwolenie na wywóz ołtarzyka za granicę.

Panna Helenka uprzejmie podziękowała za prezent, choć — jeśli się nie mylę — nie była nim specjalnie zachwycona. Natychmiast schowała go do walizki, a nie pokazywała wżem i wobec, co zazwyczaj czyni ktoś uszczęśliwiony z prezentu.

O naszych wczorajszych przygodach nie zdążyliśmy opowiedzieć Skwarkowi, gdyż zaraz rano Ludmiła zaprosiła nas na pokaz swego krótkiego filmiku z Pragi. Zorganizowała go w Domu Kultury, gdzie znalazł się projektor na taśmę ośmiomilimetrową.

Dzięki filmowi Ludmiły jeszcze raz przeżywałem swój pobyt w Pradze. Zobaczyłem siebie koło Domu Fausta, ujrzałem Zdenka Blachę idącego uliczką, gdzie mieściła się piwiarnia „U Kalicha”. Ludmiła sfilmowała nawet scenę, gdy Blacha odjeżdżał swoją jawą, a ja wskakiwałem do wehikułu, by go ścigać. Zobaczyłem znowu Hradczany, Złotą Uliczkę, pracownię alchemiczną.

Kończyła film duża sekwencja poświęcona staremu cmentarzowi na Josefovie. Najpierw był widok ogólny cmentarza, panorama spiętrzonych nagrobków. Potem zobaczyłem siebie przechadzającego się wolno po ścieżkach. Długą chwilę stałem obok grobu Löwego, a Ludmiła, jakby goniąc za moim spojrzeniem, panoramowała sąsiednie ozdobne tumbę. Koniec filmu stanowiło zbliżenie grobowca Löwego jako tego miejsca, który kryje nie rozwiązana zagadkę.

— Prawdziwy kryminal — stwierdził Marczak po pokazie. — Gdyby nie ta przydługa i nudna scena na starym cmentarzu, powiedziałbym, że ten film jest o wiele ciekawszy niż niejeden reportaż, jaki oglądałem w naszej telewizji.

Milczałem. Dookoła mnie chłopcy wypytywali Ludmiłę o różne szczegóły z filmu, o Blachę, o jego ucieczkę jawą, o talizman Kelleya i Złotą Uliczkę, która obudziła w nich zachwyty.

— Co to? Pan śpi? — oburzył się Marczak, który zauważył, że choć w salce projekcyjnej zapalono światło, ja wciąż siedzę na krześle i mam zamknięte oczy.

Nie spałem. Raptem zerwałem się z krzesła i zawołałem do Ludmiły:

— Proszę cię, wyświetlij jeszcze raz scenę na starym cmentarzu!

Nie wiedziała, dlaczego tak mi na tym zależy, ale z wyrazu mej twarzy domyślała się, że kryje się w tym coś niezwykle ważnego.

Posłusznie przewinęła taśmę filmu i jeszcze raz puściła na ekran scenę ze starego cmentarza.

— Dziękuję — powiedziałem nieco ochryłym głosem, gardło miałem ściśnięte wzruszeniem.

Opuściliśmy Dom Kultury. Wraz z Marczakiem odłączyłem się od reszty towarzystwa. Chciałem z nim porozmawiać na osobności.

— Muszę wracać do Pragi. Jeszcze dzisiaj — oświadczyłem nieoczekiwanie. — Jestem na tropie zagadki Kelleya.

— A sprawa gangu przemytników? Chce pan porzucić nasz nowy trop?

Zachnąłem się.

— Ależ skąd, panie dyrektorze. Sprawa zdemaskowania przemytników i złodziei ikon jest dla mnie stokroć ważniejsze od rozwiązania zagadki Kelleya. Ale właśnie dlatego chcę udawać, że jest odwrotnie.

— Czemu, panie Tomaszu?

— Zbyt dużo szumu podnieśliśmy wokół braci Gnatów, co może wzbudzić czujność gangu. Ukryją skradzione ikony, zatrą po sobie wszystkie ślady. Moim zdaniem należy stworzyć wrażenie, że zlekceważyliśmy sprawę Gnatów. Zniechęceni śledztwem w sprawie gangu, machnęliśmy ręką i wyjechaliśmy do Pragi, aby zająć się zagadką tajemniczego talizmanu. Na tę wiadomość członkowie gangu odetchną z ulgą i wznowią działalność. Jestem przekonany, że pewni swej bezkarności spróbują przemyścić ikony za granicę. A ponieważ mniej więcej domyślam się już, kto jest szefem gangu, w chwili gdy ów osobnik będzie przekraczał granicę, celnicy zajmą się nim i schwytają przestępcę na gorącym uczynku.

— A co ze zdjęciem Gnatów. Porzucimy ten trop?

— O nie, panie dyrektorze. Tylko że dla dobra sprawy lepiej będzie, jeśli uśpimy czujność przeciwnika i znikniemy z pola widzenia. Osobą młodego Gnata powinien się zająć ktoś, kto nie będzie budził podejrzeń.

— Ma pan na myśli jakąś konkretną osobę?

— Raczej kilka osób. Mam adresy ludzi, od których nie znany im z nazwiska osobnik kupował ikony. Trzeba dotrzeć do tych ludzi, pokazać im zdjęcie i upewnić się, czy to jemu sprzedali ikony. Zrobić to mogą na przykład harcerze z profesorem Hilarym.

— Chce pan młodzież szkolną wplątywać w sprawy kryminalne? — oburzył się Marczak. — To bardzo niepedagogiczne!

— Każdy z tych chłopców pragnąłby przeżyć coś ciekawego. Proszę, oto przygoda: pomóc w walce z przemytnikami ikon. Oświadczam panu, że do końca życia każdy z nich będzie interesował się losem naszych zabytków. I pan to uważa za niewychowawcze?

— No cóż, jeśli profesor Hilary się zgodzi... — skapitulował dyrektor Marczak.

Profesor Hilary wyraził zgodę. A chłopcy? Nie muszę chyba pisać, jak bardzo zapalili się do mojego projektu. Planowane przez nich wycieczki w okolice nagle zyskały zupełnie nowy sens, przestały być tylko turystyczną rozrywką, a zyskały niemal rangę wagi państwowej.

Pozostawiliśmy Baśce odebrane od fotografa zdjęcia i poszliśmy z Marczakiem do domku panny Helenki, gdzie zastaliśmy także Ludmiłę, pana Dohnała, Smitha i Skwarka.

— Wyjeżdżamy do Pragi — oświadczył im dyrektor Marczak.

— Co się stało? — zdumiała się panna Helenka.

Marczak ujął się pod boki i triumfującym wzrokiem powiódł po wszystkich twarzach. Uwielbiał takie chwile.

— W moim departamencie, proszę państwa, nie zwykło się zasypywać gruszek w popiele. Otóż pan Tomasz jest już na tropie rozwiązania zagadki Kelleya. W tym celu udajemy się obydwaj do Pragi.

— A ja? — oburzyła się panna Helenka. — Ja mam tkwić w Lesku?

Ukloniłem się jej i wskazałem widoczny za oknem wehikuł.

— Samochód jest do pani dyspozycji...

— Ja też jadę z wami — zagrzmiął pan Smith.

Skwarek zrobił ponurą minę.

— Właśnie otrzymałem wiadomość, że muszę na kilka dni wpaść do Warszawy. Zamierzałem tam zaprosić pannę Helenkę. Lecz skoro tak... to życzę szerokiej drogi.

I opuścił nasze towarzystwo. Robił wrażenie obrażonego. Minę obrażonej księżniczki miała także Ludmiła. Mrugnąłem do niej znacząco, aby wyszła przed domek.

— Gniewasz się na mnie? — zapytałem.

— Do tej pory myślałam, że jestem pańskim pomocnikiem i nie ma pan przede mną żadnych tajemnic.

Położyłem jej dłoń na ramieniu i spojrzałem w oczy.

— Czy wiesz, Ludmiło, że gdyby nie ty, przenigdy nie wpadłbym na nowy trop? Gdyby nie ty i twój film, nie jechalibyśmy teraz do Pragi.

— Pan to mówi serio? A co ja takiego zrobiłam?

— W Pradze wszystko wyjaśnię. A teraz trzeba się pakować — powiedziałem.

Zamówiłem z poczty rozmowę „błyskawiczną” do Warszawy. I w dwie godziny później trzy samochody opuściły camping nad Sanem: porsche, fiat 125p i mój wehikuł. W domkach nad rzeką pozostali jedynie harcerze z profesorem Hilarym. Od jutra zamierzali robić piesze wycieczki do zagród ludzi, którzy sprzedali kiedyś stare ikony tajemniczemu motocykliście. A na wypadek, gdyby okazał się nim któryś z Gnatów, przekazałem Baśce dokładne instrukcje, do kogo w Komendzie Powiatowej MO w Lesku lub Sanoku powinien się zgłosić z informacją o tej sprawie. Dałem także adres pana Dohnała w Pradze.

W Sanoku pożegnaliśmy się z magistrem Skwarkiem. On pojechał przez Rzeszów do Warszawy, obiecując zjawić się w Pradze za dwa dni. My natomiast ruszyliśmy na Rymanów i Duklę, aby po przebyciu przepięknej Przełęczy Dukielskiej — znaleźć się w Czechosłowacji.

Na granicy polscy celnicy przeprowadzali bardzo dokładną lustrację porscha pana Smitha, w którym jechał również dyrektor Marczak i pan Dohnal. Wszystkim kazano otworzyć walizki i przeszukano je starannie. Lecz gdy przyszła kolej na mój wehikuł, celnicy po przejrzeniu moich dokumentów tylko grzecznie zaszalutowali, co bardzo zdumiało dyrektora Marczaka.

Jeszcze bardziej się zdumiał, gdy celnicy zaczęli ze mną przyjazną rozmowę, z której wynikało, że doskonale się znamy. Potem dopiero przypomniał sobie, że to właśnie mnie wydelegował na naradę z celnikami, którym referowałem sprawę przemyconych ikon. Zresztą, jak wiemy, z Głównym Urzędem Celnym pozostawałem w ciągłym kontakcie. Właśnie w swej błyskawicznej rozmowie telefonicznej podałem celnikom listę osób, które podczas przekraczania granicy powinny być poddane szczególnie uważnej kontroli. Pan Smith i jego porsche figurował tam na czołowym miejscu. A że dyrektor Marczak jechał jego wozem, przy okazji zrewidowano dokładnie także bagaże Marczaka.

Gdy byliśmy już na terenie Czechosłowacji, zwróciłem uwagę, że panna Helenka cichutko się śmieje.

— Co wprawiło panią w taką radość? — zapytałem zdziwiony.

— Śmieję się do własnych myśli...

— A o czym pani myśli?

— O przemytnikach ikon, panie Tomaszu. Jeszcze w Lesku zastanawiałam się, co by było, gdybym to ja była złodziejką ikon. W jaki sposób bym je przemycała, aby bez żadnych podejrzeń przebyły granicę.

— I jaki pani znalazła najlepszy sposób?

— W pańskim wehikule, panie Tomaszu — odparła panna Helenka i znowu cichutko zachichotała.

— Pani ma bardzo bujną fantazję — powiedziałem zmarszczywszy brwi.

Wyznaję, że poirytował mnie jej dowcip. Dla mnie sama myśl o czymś podobnym wydała się nie śmieszna, ale przerażająca. I niemożliwa do realizacji.

Schować ikonę w moim wehikule tak, abym ja o tym nie wiedział? Nie, to było niemożliwe, choćby z tego względu, że dopiero dzisiaj zdecydowałem jechać do Pragi. O mojej decyzji nie wiedział wcześniej żaden obcy człowiek. A od chwili, gdy postanowiłem jechać do Pragi, Protazy nie opuszczał wehikułu.

W Pradze mimo zachęty pana Smitha, który obiecał, że potrafi mnie zakwaterować nawet w „Jałcie”, zatrzymałem się znowu na tym samym co poprzednio campingu. Uczyniłem to ze względu na psa, z którym w hotelu są zawsze kłopoty. Natomiast Marczak, jak przystało na wysokiego dygnitarza państwowego, zamieszkał w „Jałcie”. Umówiłem się z nim u państwa Dohnalów. Panna Helenka rozumiała przez to, że zjemy z nimi obiad. A że wciąż jeszcze przebywała na urlopie i miała dość czasu na przygotowanie obiadu, możecie sobie wyobrazić, cóż to był za wspaniały posiłek.

— Pani jest cudowna — szepnąłem jedząc z apetytem. — Wybitny i rzadko spotykany talent kulinarny.

Tym razem panna Helenka nie słuchała komplementów z dawnym oburzeniem. Powiedziałbym nawet, że przyjmowała je z pewnym zadowoleniem, co wyrażało się w coraz nowych porcjach kładzionych na mój talerz. A może po prostu chciała, abym wreszcie „rozpuścił język” i wyjaśnił zagadkę Kelleya i Katza?

Wszyscy zresztą w domu Dohnalów spoglądali na mnie z niemym pytaniem w oczach. A ja?

Jadłem i jadłem, chwaliłem talent gospodyni. W końcu dyrektor Marczak zerknął na mnie spod oka i też go chyba złość wzięła na moją powściągliwość.

— Jestem oburzony — szepnął. — Korzystając z gościnności panny Helenki, pan się po prostu... obżera.

— To dlatego, że ciągle jadam w stołówce naszego ministerstwa — odparłem beztróska.

Otarłem usta chusteczką, co powitane zostało przez wszystkich z westchnieniem ulgi.

— Szkoda, że taki wspaniały talent kulinarny zostanie zmarnowany — stwierdziłem, z wyrzutem patrząc na pannę Helenkę.

— Ach, to jeszcze nie wiadomo — powiedziała. — Być może kobiety ostatnio tak niechętnie biorą się za gotowanie, ponieważ mężczyźni rzadko chwalą ich robotę. To prawdziwa przyjemność gotować dla kogoś, kto umie poznać się na umiejętnościach kulinarnych. Na przykład pan Skwarek chwalił każdą kuchnię. I w „Jałcie”, i moją. Jemu było wszystko jedno, co je.

— To pan Skwarek mieszkał w „Jałcie”? — zdumiałem się. — Ile tam kosztuje pokój, panie Smith?

— Sto czterdzieści pięć koron...

Aż gwizdnąłem.

— Tyle? I stać było na to stypendystę, który pisze prace doktorską o różokrzyżowcach?

— Może miał jakieś specjalne stypendium — stwierdził pan Dohnal.

Zamyśliłem się na chwilę, a potem zwróciłem się do Ludmiły:

— Masz chyba w domu projektor do wyświetlania swoich filmów?

— A tak. Czy go przynieść?

— Domyślam się, że w twoim projektorze jest urządzenie, które pozwala zatrzymać film w dowolnym miejscu i przyrzeć się poszczególnym klatkom?

— Naturalnie.

— To bądź łaskawa wyświetlić nam końcową część filmu i gdy powiem „stop”, zatrzymaj projektor.

Zasłonięto okna w jadalni państwa Dohnalów, ustawiono mały ekran. Po chwili zaterkotał projektor, zobaczyliśmy na ekranie moją wędrówkę do grobu Löwego. Zatrzymałem się przy ozdobnej tumbie. Kamera panoramowała teraz widok cmentarza, przesuając wolno oko obiektywu po grobach sąsiadujących z tumbą Löwego.

— Stop! — krzyknąłem.

Na ekranie pozostała nieruchoma fotografia bogato rzeźbionego grobowca.

— Proszę się przyjrzeć uważnie — powiedziałem. — Czy rysunek wryty na grobowcu nie wam nie przypomina?

Odpowiedziało mi milczenie. Widocznie nikt jeszcze nie wpadł na trop, który odkryłem.

Podszedłem do ekranu, przysłoniłem sobą połowę grobowca.

— Widzę postać ludzką pod połówką palmy... Jak na talizmanie Kelleya! — zawołała Ludmiła.

Uzupełniłem jej spostrzeżenie.

— Jeśli jedna połówka talizmanu wygląda tak, jak druga, to całość powinna dać rysunek dwóch postaci ludzkich pod tą samą palmą. Ustaliliśmy z panną Helenką, że symbolizuje to Adama i Ewę. Ciekaw jestem, na jakiej zasadzie postacie Adama i Ewy pod Drzewem Wiadomości Dobrego i Złego widnieją na grobowcu?

— Mogę to wyjaśnić — odezwała się panna Helenka. — Płaskorzeźba Adama i Ewy symbolizuje imię zmarłej, które brzmiało: Chawa, co znaczy po hebrajsku Ewa.

— Jeśli się nie mylę — uzupełnił pan Dohnal — owa Chawa była pierwszą żoną Löwego. On kazał zbudować dla niej tę wspaniałą tumbę[7].

Wskazałem palcem obraz na ekranie.

— Na tumbie widać jeszcze jakieś napisy hebrajskie. Należałoby je odczytać...

— W takim razie musimy pójść na cmentarz — oświadczyła panna Helenka. — Fotografia nie jest dostatecznie wyraźna.

Zapalono światło, wyłączono projektor. Zauważyłem rumieniec podniecenia na twarzy panny Helenki. Również panowie Dohnal i Smith byli bardzo podekscytowani.

— Tak, tak, pan Tomasz wpadł na właściwy trop — wymachiwał rękami pan Dohnal. — Śpieszmy na cmentarz.

Szybkim krokiem opuściliśmy mieszkanie. Niemal siłą powstrzymywaliśmy się, aby nie biec. Lecz przecież widok trzech panów i dwóch pań pędzących na stary cmentarz musiałby obudzić ogólne zainteresowanie przechodniów.

Szliśmy więc powoli, statecznie, jak turyści, którzy wybrali się, aby obejrzeć jeden z zabytków starej Pragi.

Była godzina szesnasta trzydzieści, gdy wkroczyliśmy na Stary Hrzbitov i ścieżką wśród grobów i kamiennych tablic zawędrowali do tumby wielkiego mędrca.

— „A jeśli umrę, przyjdziecie do mego grobu” — szeptała Ludmiła. — Tak reb Löwe powiedział do czarnoksiężników. I oto przyszli. Przynieśli dwie połówki tego samego talizmanu. U grobu Löwego zostawili je i czekali na znak od zmarłego...

— Lecz żadnego znaku nie było — podjęła wątek Helenka. — Wówczas powinni byli zacząć się niecierpliwić i niepokoić, rozglądać dookoła...

Teraz ja podchwyciłem ten sam wątek.

— Niepokój, zniecierpliwienie, rozglądanie się magów... to wszystko chyba reb Löwe przewidział, planując miejsce ukrycia klejnotów. Miał też prawo sądzić, że któryś z magów dość szybko odkryje fakt, że rysunek na talizmanie jest identyczny z płaskorzeźbą na sąsiednim grobowcu. Oczywiście pod warunkiem, że reb Löwe jeszcze za swego życia wiedział, gdzie będzie znajdował się jego własny grób.

— Sądzę, że znał miejsce, gdzie będzie pochowany stwierdził pan Dohnal. — Ludzie w dawnych wiekach, a zresztą niekiedy i dzisiaj, wykupują jeszcze za życia miejsce na cmentarzu. W tym przypadku reb Löwe zapewne chciał leżeć w pobliżu swej pierwszej żony Chawy.

I ja tak sądzę. Miał on też prawo myśleć, że obydwu magów zainteresuje napis na grobowcu jego żony, ponieważ rysunek na talizmanie i płaskorzeźba na grobowcu były identyczne. Obydwaj magowie znali hebrajski, studiowali przecież kabałę.

I spojrzałem pytająco na pannę Helenkę. Ona też znała hebrajski, mogła nam odczytać napis na grobowcu.

— „Bchachmat haber tymca ewen iekara whamchir ein lszaer” — sylabizowała.

Smith aż przestępował z nogi na nogę.

— Co znaczą te słowa, proszę pani? Co one znaczą? — niecierpliwił się.

— Chwileczkę, chwileczkę... — mruzczała Helenka szukając w pamięci słów hebrajskich. — Już wiem. To znaczy: „U studni mądrości znajdziesz klejnot nieoceniony”.

Zapadła cisza. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy o krok od ujawnienia prawdy. Lecz jednocześnie ogarnęło nas rozczarowanie. Spodziewaliśmy się jakichś wyraźnych wskazówek, a tymczasem usłyszeliśmy słowa, które były jeszcze jedną zagadką.

Pierwszy zabrał głos pan Dohnal powtarzając zdanie z nagrobka Chawy:

— „U studni mądrości znajdziesz klejnot nieoceniony”. No cóż, moi drodzy. Nie wiem, jak wy, ale ja nie znajduję w tych słowach klucza do tajemnicy. To piękne zdanie wyryte zostało na nagrobku żony wielkiego mędrca, należy przypuszczać, że on był autorem tej maksymy. Tkwiąc przez całe swoje życie w mądrych księgach, reb Löwe był przekonany, że mądrość jest najwyższą wartością, czymś najdrogocenniejszym. I to swoje przekonanie wyraził.

Spojrzałem na dyrektora Marczaka. Ten mrugał oczami, jakby wysilając cały swój mózg dla zgłębienia pięknego zdania.

Zerknąłem na Helenkę. I dostrzegłem jej wzrok na sobie. Patrzyła na mnie z nadzieją, że powiem coś, co wszystkim nagle rozjaśni w głowach. Schlebiała mi ta jej wiara, czułem się jednak bezradny, tak jak i oni.

Mój mózg pracował bardzo intensywnie. Ciało moje ogarnęło lekkie drżenie. Tak zawsze reagowałem, gdy wydawało mi się, że jestem na właściwym tropie. Stokroć szybciej niż na filmie przesuwają się w mej pamięci strzępki jakichś zdań, obrazów, spostrzeżeń, skojarzeń...

— Pozwólcie mi pomyśleć — szepnąłem i przyłożyłem dłoń do czoła, jakby chcąc uspokoić myśli.

— Tak jest, pozwólcie mu pomyśleć — zarządził dyrektor Marczak.

Mruczałem do siebie, a oni słuchali tego mruczenia z zapartym tchem:

— Kelley i Katz przyszli do Löwego, aby ukrył ich wspólny majątek. Chcieli także otrzymać gwarancję, że klejnoty nie zostaną wydane tylko jednemu z nich, ale odbiorą je obydwaj. Było to łatwe i proste w przypadku, gdyby przyszli obydwaj za życia Löwego. Lecz przecież różnie się mogło zdarzyć, nikt z nich nie wiedział, jak potoczą się ich losy i kiedy będą mogli zgłosić się razem po swój skarb. W tej sytuacji Löwe musiał wybrać takie miejsce, które obydwaj magowie potrafiliby sami odszukać nawet wówczas, gdyby on już nie żył... Gdyby woreczek z klejnotami miał schować kapitan statku, jakiś korsarz czy ktoś w tym rodzaju, wyrysowałyby mapę miejsca ukrycia skarbu, zarys lądu czy wyspy. Oznaczyłyby dokładnie strony świata, naniósłby na mapę punkty orientacyjne, wyliczył w stopach odległość tych punktów od miejsca ukrycia skarbu. Ale zarówno reb Löwe, jak Kelley i Katz, byli czarnoksiężnikami. O tym wciąż należy pamiętać. Bo o tym na pewno myślał Löwe wybierając miejsce na ukrycie skarbu. Zażądał od Kelleya talizmanu, wyrysował na nim symbol imienia swej żony, pamiętając o napisie, który kazał wyryć na jej nagrobku. Ten napis musiał mu być w jakiś sposób przydatny dla określenia miejsca ukrycia skarbu. Trzeba brać pod uwagę, że byli to magowie, ludzie, którzy mieli do czynienia z kryptografią, z tajemniczymi znakami kabalistycznymi, często posługiwali się metaforą...

— Tak, tak — kiwał głową Marczak i patrzył na innych z dumą, jakby pragnąc dodać: „Oto moja szkoła logicznego myślenia, proszę państwa”.

A ja kontynuowałem rozważania:

— Wbrew pozorom nie było Löwemu łatwo znaleźć miejsce na ukrycie klejnotów. Schować je w zakamarku swego domu? Nonsens. Nie mógł Löwe przewidzieć, kto po jego śmierci

zajmie jego dom i czy nowy właściciel pozwoli tam wejść Kelleyowi i Katzowi. Należy więc wykluczyć wszelkie pomieszczenia zamknięte, trudno dostępne. Musiało to być miejsce, do którego każdy mógł przyjść bez wzbudzenia czyjegokolwiek zainteresowania czy podejrzenia. Miejsce publiczne i uczęszczane...

— Tak, tak — kiwał głową Marczak. — Słusznie pan rozumuje.

— Jeśli więc w drodze eliminacji odrzucimy budynki, pozostają place, ogrody, ulice. Ogrody także można odrzucić, gdyż bywają przekopywane. Ktoś nawet przypadkiem mógłby trafić na skarb. I taką ewentualność Löwe musiał brać pod uwagę.

— Place i ulice — stwierdził Marczak. — To nam pozostaje.

— Odczytajmy więc jeszcze raz zdanie z grobowca Chawy. — proponowałem. — „U studni mądrości znajdziesz klejnot nieoceniony.” Jest to filozoficzna maksyma. Lecz zastanawiające brzmi w niej słowo „klejnot”. My szukamy klejnotów i w tym zdaniu jest mowa o klejnocie. Odrzucmy więc metaforyczną formę i przyjmijmy, że słowa te są po prostu wskazówką. Wówczas treść tego zdania brzmiałaby: klejnotu szukaj u studni...

— Ba, u jakiej studni? — westchnęła panna Helenka.- U studni na jakimś placu lub na ulicy, prawda?

— Tak jest. Tu przy cmentarzu musiała być jakaś studnia — oświadczyłem.

— Musiała być! — krzyknął gromko pan Dohnal. — Żydzi mieli przecież zwyczaj mycia rąk po opuszczeniu cmentarza po obrzędzie pogrzebowym. Tak, tak, coś sobie przypominam. Gdzieś widziałem studnię przy starym cmentarzu...

Mruknął coś niewyraźnie i pobiegł w kierunku wyjścia. Domyślaliśmy się, że udał się do domu po jakąś książkę.

Czekaliśmy na niego chyba z kwadrans, pełni napięcia. Wyjaśniłem po niemiecku panu Smithowi tok mojego rozumowania. Zrobił zdumioną minę.

— Czyżby to było takie proste? Reb Löwe przy studni zakopał woreczek z klejnotami? — zdziwił się.

Te słowa rozgniewały pannę Helenkę.

— Proste? — zawołała. — To wcale nie było proste. Jakoś nikt nie wpadł na ten pomysł.

Nadbiegł pan Dohnal, radośnie wymachując niewielką książeczką.

— Mam! Mam! — mówił zdyszany. — Znalazłem studnię! Na rysunku z końca XVIII stulecia, a ściślej z 1773 roku. Proszę, oto przewodnik zatytułowany „Stary żydovsky hrzbitov u Praze”. Na stronie dwudziestej czwartej jest rysunek. Widać wyraźnie wyjście ze starego cmentarza i przy studni Żydów myjących ręce. Studnię zasypano prawdopodobnie przed stu laty, gdy doprowadzono wodociągi.

Obejrzałem rysunek w przewodniku i oddałem go pannie Helence.

— Teraz wszystko zależy tylko od pani — oświadczyłem kłaniając się jej grzecznie. — Jeśli potrafi pani wydebić od władz zezwolenie na zdjęcie chodnika w miejscu, gdzie była studnia, i przy pomocy archeologów pogrzebie pani w ziemi, może odnajdziemy skarb Katza i Kelleya. Myślę, że nie trzeba głęboko kopać. Starego bruku chyba nie ruszono, co najwyżej zasypano samą studnię, a na wierzchu położono z czasem płyty chodnikowe.

Dyrektor Marczak wyprostował się dumnie:

— Widzi pani, nie przyjechaliśmy do Pragi z pustymi rękami, przywieźliśmy wskazówkę, gdzie szukać skarbu.

— I nie wyjedziecie z pustymi rękami — odrzekła panna Helenka.

Ale ja nie zwróciłem uwagi na jej słowa i nie wziąłem ich sobie do serca. Byłem bardzo szczęśliwy. Oto udało mi się poznać „tajemnicę tajemnic”.

Ostateczne wyjaśnienie nastąpiło szybciej niż mogliśmy przypuszczać. Już nazajutrz po południu na uliczkę U stareho hrzbitova przybyły dwie ciężarówki z prowizorycznym płotem. Ogrodzono miejsce, gdzie była kiedyś studnia, osłonięto je przed wzrokiem ciekawych. Przechodnie mogli sądzić, że będzie się w tym miejscu naprawiać kanalizację. A tymczasem za ogrodzenie wkroczył profesor archeologii z ekipą studentów. Nas także dopuszczono do ich zajęć.

Ostatecznie zdjęto płyty chodnikowe i zgodnie z przypuszczeniem odkryto kamienne cembrowanie zasypanej piaskiem studni. Wokół studni zalegał stary bruk, jeszcze z czasów późnego średniowiecza.

Z dużym pietyzmem i ze znanstwem rzeczy studenci wyjmowali z ziemi poszczególne kamienie. Nie trwało to długo. Pod trzecim kamieniem, tuż koło cembrowiny, znaleziono żelazną, przeżartą zupełnie przez rdzę szkatułkę ze szlachetnymi kamieniami. Były tam: rubiny, szafiry, opale, topazy, agaty, akwamaryny, granaty, szmaragdy, ametysty, turkusy i onyksy. Prawdziwy skarb!

Pan Smith, który był przekonany, że klejnoty te miały przyozdabiać „stół przymierza”, dokładnie zapisał, jakiego rodzaju kamienie i ile ich krył skarb.

Obejrzelśmy z zachwytem szlachetne kamienie, potem powędrowały one do skarbcza Ministerstwa Kultury i Sztuki. Stary bruk starannie ułożono na dawnym miejscu, przykryto go płytami chodnikowymi i sprzątnięto ogrodzenie.

Przedstawiciel czeskiego ministerstwa serdecznie podziękował dyrektorowi Marczakowi i mnie za pomoc w rozwiązaniu „tajemnicy tajemnic”. Pamiętam, że ścisnąłem wiele dłoni, a wśród nich dłoń profesora oraz jakiegoś jegomościa, który wyglądał na skromnego urzędnika państwowego.

Ten jegomość poszedł z nami na ulicę Paryską, gdyż pan Dohnal postanowił przyjąć nas wystawną kolacją.

— Czy aby nie nadużywamy pańskiej gościnności? — zapytałem.

— To oburzające, co też pan mówi?! — zawołał pan Dohnal naśladowując styl dyrektora Marczaka. — Dzięki wam moja książka o starej Pradze zyska nowy rozdział. Jestem waszym niewypłacalnym dłużnikiem. Niech żyje przyjaźń polsko-czeska! — zawołał gromko pod swoim domem.

Tego wieczoru mieszkanie Dohnalów rozbrzmiewało radosnymi okrzykami. Albowiem pan Dohnal uraczył wszystkich znakomitym winem.

— Szkoda, że nie ma między nami magistra Skwarka — oświadczył w pewnym momencie gospodarz domu. — Brał udział w poszukiwaniach, zapewne ucieszyłby go nasz sukces. Jest to człowiek wybitnie inteligentny.

Panna Helenka parsknęła śmiechem. Wyszła do drugiego pokoju i wróciła z jakąś gazetą w ręku. Był to niemiecki „Stern”.

— Tutaj, w tym piśmie, papo — powiedziała — znajdziesz wszystkie wiadomości o towarzystwie „Mensa”. Jest tu także wydrukowany wstępny test na inteligencję oraz jego prawidłowe rozwiązanie. Pan Skwarek umie po niemiecku i jak można się domyślić, od czasu do czasu, podczas swych podróży zagranicznych, czyta „Sterna”.

— To tak? — zdumiał się pan Dohnal. — Chcesz przez to powiedzieć, że on nas wszystkich nabrał z tą swoją wybitną inteligencją?

— Nie wszystkich, papo. Mnie nie nabrał. Albowiem ja także czytam „Sterna”.

— Nie dałaś się oszukać — zdziwiła się Ludmiła. — Tylko udawałaś, że jesteś bezgranicznie zachwycona jego inteligencją?

— Udawałam — uśmiechnęła się triumfująco panna Helenka — albowiem, podobnie jak i pan Tomasz, wydaje mi się, że mam... żyłkę detektywistyczną. Gdy przekonałem się, że testem na inteligencję Skwarek nas nabiera, zaciekało mnie, do czego on faktycznie zmierza. Postanowiłam udawać, że wszystko, co mówi i co robi, przyjmuję z zachwytem.

Pan Dohnal bezradnie rozłożył ręce.

— Przecież on tak znakomicie rozwikłał zagadkę talizmanu!

— A właśnie. To było najbardziej podejrzane, papo — roześmiała się panna Helenka. — Doszłam natychmiast do wniosku, że on już wcześniej musiał się zetknąć z tą sprawą. A jeśli tak, to może miał coś wspólnego z włamaniem na Złotą Uliczkę? I tak starałam się zachowywać, aby połówka talizmanu Kelleya, ta oryginalna, prawdziwa połówka, nigdy nie znalazła się w jego ręku.

— No, jak widzisz, Helenko, twoje podejrzenia okazały się bezpodstawne — oświadczył pan Dohnal. — Magister Skwarek w ogóle nie zainteresował się sprawą ostatecznego rozwikłania „tajemnicy tajemnic” i nie wrócił z nami do Pragi.

— Ale wróci, papo. Wróci — uśmiechnęła się zjadliwie panna Helenka.

Zza stołu podniósł się dyrektor Marczak i złożył oświadczenie:

— Panna Helenka nie ma racji. W tej chwili zdradzam tajemnicę służbową, ale w tym gronie wolno mi to chyba uczynić. Otóż magister Skwarek zostanie zatrzymany na granicy pod zarzutem przemytu ikon. Przeprowadzone przez nas śledztwo dostarczyło nam danych, że miał on związek z gangiem przemytników i najpewniej w swoim fiacie zechce przemycić skradzione u Sekundusa ikony. Kto wie, czy w tej chwili nie znajduje się już w areszcie milicyjnym. Tak więc reasumując: magister Skwarek już tu nie wróci...

W tym momencie rozległ się ostry dzwonek u drzwi. Protazy, który z uwagi na swój ogromny wzrost przebywał w łazience, zaszczeakał głośno. Ludmiła pobiegła otworzyć i oto przed nami stanął... magister Franciszek Skwarek.

— Dzień dobry państwu — powitał nas radośnie. — Prosto z drogi pozwoliłem sobie zawitać do was, aby zameldować, że już jestem w Pradze.

Patrzyliśmy na niego jak na upiora. Dyrektor Marczak zapowiedział jego aresztowanie. Czyżby więc był niewinny?

Pierwszy odzyskał głos pan Dohnal. Podniósł się od stołu, powitał Skwarka i szerokim gestem zaprosił go do naszego grona.

— Odnaleźliśmy klejnoty Kelleya i Katza — opowiadał. — I z tej okazji urządziliśmy małe przyjęcie.

— Gratuluję — kłaniał się wszystkim magister Skwarek. — Jestem naprawdę bardzo rad, że panna Helenka dokonała tak wspaniałego odkrycia.

— To nie ja, lecz pan Tomasz — odparła piękna Czeszka. — To on rozwiązał zagadkę. Co do mnie, mogę z dumą stwierdzić, że dokonałam innego odkrycia, myślę zresztą, że równie ważnego.

— Yhm — chrząknął Marczak, który już zdążył opanować zdumienie. I żeby pokryć swoje poprzednie zmieszanie, chwycił kieliszek wina, wstał i zaproponował:

— Wypijmy toast za odkrycie panny Helenki.

— Wiwat! — krzyknąłem.

Ludmiła uśmiechnęła się sceptycznie.

— Ciekawa jestem, co to za odkrycie?...

Lecz słowa jej utonęły w ogólnym gwarze. Na przemian, pan Dohnal po czesku i pan Smith po niemiecku, opowiadali Skwarkowi, w jaki sposób trafiliśmy do kryjówki ze skarbem. Skwarek jadł za trzech, kiwał głową, co chwila wyrażał głośno swój zachwyt. Tylko dyrektor Marczak mierzył go ponurym wzrokiem i od czasu do czasu rzucał w moim kierunku pytające spojrzenie. Bo to przecież ja zasugerowałem mu, że po naszym wyjeździe do Pragi Skwarek zdecyduje się na przemyt ikon do Czechosłowacji, a później dalej, do Wiednia, być może

wykorzystując w tym celu wóz pana Smitha. Ale mogłem się omylić. Popełniał omyłki nawet Sherlock Holmes, największy detektyw wszechczasów.

Raptem delikatnie trącił mnie w ramię jegomość wyglądający na skromnego urzędnika państwowego.

— Czy mógłby pan swojego psa wypuścić z łazienki na korytarz? — poprosił szeptem.

Skinąłem głową na Ludmiłę i powtórzyłem jej prośbę jegomościa. Ludmiła wyszła z jadalni, a po chwili wróciła zamykając za sobą starannie drzwi, co znaczyło, że Protazy buszuje na korytarzu.

A wtedy jegomość dał pannie Helence ledwie dostrzegalny znak głową.

Piękna Czeszka zawołała, przekrzykując głośną rozmowę Skwarka z jej ojcem i Smithem:

— Czy naprawdę nie jesteście ciekawi mojego odkrycia?

Uciszyło się.

— Prosimy, prosimy o informacje — błagalnym gestem złożył dłonie magister Skwarek.

Helenka wstała, przeszła do drugiego pokoju i wróciła do nas trzymając w ręku ołtarzyk ludowy.

— Czy wiecie, co odkryłam w tym podarunku od pana Skwarka? — zapytała.

Szybkim ruchem usunęła maleńką deseczkę i zza ołtarzyka, ze zręcznie zrobionej skrytki wyjęła srebrną małą ikonę. Tę skradzioną Sekundusowi. Szesnastowieczną.

Zbaranieliśmy, tak się to chyba określa.

Skwarek zerwał się z krzesła.

— Ja nie mam z tym nic wspólnego! — wrzasnął.

— Czyżby? — zapytała go ironicznie panna Helenka. — Przecież to podarunek od pana.

Skwarek rzucił się do drzwi jadalni.

— Stać! Stać! — krzyknął skromny jegomość.

Lecz Skwarek już otworzył drzwi. I stanął jak wryty, albowiem zobaczył przed sobą warczący wściekle pysk mojego doga.

Zatrzasnął szybko drzwi i oparł się o nie, jakby lękając się, że Protazy przyciśnie łapami kłamkę i dostanie się do jadalni.

— Proszę podejść bliżej — rozkazał skromny jegomość idąc w kierunku Skwarka. — Jestem z milicji czeskiej. Jest pan aresztowany. Proszę tu usiąść i poczekać na radiowóz.

Ujął Skwarka za ramię i posadził go na krześle. Potem podszedł do telefonu.

Skwarek nie patrzył na nikogo z nas, głowę miał spuszczoną. Nam również jakoś niemiło było spoglądać na niego. Siedzieliśmy przy stole sztywno i w zupełnym milczeniu, które Skwarkowi wydało się chyba stokroć gorsze od wymysłów czy drwin.

— I czego tak milczycie?! — wrzasnął w pewnej chwili. — Myślicie, że milicji uda się cokolwiek mi udowodnić? Owszem, to ja dałem pannie Helence ludowy ołtarzyk, ale to może on — wskazał na mnie — podłożył do ołtarzyka ikonę, aby mnie oskarżyć.

Wzruszyłem ramionami, tak bezsensowne były jego słowa.

— Zastawił pan tu na mnie pułapkę! — krzyknął znowu Skwarek patrząc z nienawiścią.

— Myli się pan — odparła Helenka. — To ja zorganizowałam tę pułapkę zapraszając tutaj oficera milicji. Wiedziałam, że pan przybędzie do Pragi i przyjdzie do nas, żeby przy byle jakiej okazji opróżnić drewniany ołtarzyk. Zorganizowałam to wszystko w moim domu, aby panu udowodnić, że nie jestem taką idiotką, za jaką mnie pan uważał.

— Ja panią zawsze wysoko ceniłem! — zapewnił żarliwie Skwarek.

— To nieprawda. Pan Tomasz przynajmniej nie ukrywał, że podobam mu się jako kobieta. A pan? Udawał pan zachwyt dla mojej wiedzy, inteligencji, a w gruncie rzeczy widział pan we mnie tylko idiotkę, od której będzie można wyciągnąć połówkę talizmanu Kelleya, gdy nie udało jej się panu ukraść. A potem posłużył się pan moją osobą dla przemycenia ikony za granicę.

— Nie mam nic wspólnego z przemytem! — wykrzyknął Skwarek.

— O tym przekonamy się, gdy doprowadzimy do spotkania pana ze Zdenkiem Blachą — wtrącił się do rozmowy oficer milicji.

Usłyszeliśmy dzwonek u drzwi. Skwarek zerwał się z krzesła myśląc, że to przyjechał po niego milicyjny radiowóz. Lecz był to tylko listonosz.

— Telegram z Polski do pana Tomasza — powiedziała Ludmiła wracając do jadalni.

Podawała mi telegram. Rzuciłem na niego okiem i odczytałem głośno:

Podjejrzenia potwierdzone — na zdjęciach rozpoznano Franka Gnata — został aresztowany — Baśka.

— I co pan na to? — zapytałem Skwarka. — Franek Gnat powie, dla kogo kupował ikony i kto je potem przemycał za granicę. Wyjaśni się historia u Pókijańca. To obydwaj bracia włamali się do domku Sekundusa, prawda?

— Nie mam z tym nic wspólnego. Ja w tym czasie byłem w Pradze — burknął Skwarek.

— Nikt pana nie oskarża o włamanie. Ale to pan kupił skradzioną ikonę — stwierdziłem. — I zamierzał ją pan przemycić do Wiednia.

Znowu rozległ się dzwonek u drzwi. Zamknąłem Prota w łazience, a Ludmiła wpuściła milicjantów. Skwarek wyszedł z nimi bardzo posłusznie, może nawet szczęśliwy, że już dłużej nie musi patrzeć nam w oczy.

— Hm, tak... — mruknął Marczak.

Zauważyliśmy, że milicjant, który aresztował Skwarka, pozostał w mieszkaniu Dohnalów.

— Czyżby jeszcze nie wszystko było wyjaśnione? — spytał go pan Dohnal.

— Tak jest — skinął głową oficer czeskiej milicji. — Jeszcze nie wszystko jest jasne. Ale mam nadzieję, że pewne zawiłe kwestie wyjaśni nam pan Smith.

— Ja? — oburzył się nasz różokrzyżowiec.

— A tak. Pan. Gdzie pan woli? Tutaj czy u nas na milicji?

— Nie mam nic wspólnego z kradzieżą i przemytem ikon — oświadczył z powagą pan Smith.

— I nikt pana o to nie oskarża. Prosimy pana o wyjaśnienia: Jak zaczęła się pańska znajomość z Franciszkiem Skwarkiem...

ZAKOŃCZENIE

Kiedy i gdzie po raz pierwszy zacząłem podejrzewać Skwarka, że ma on ścisły związek ze sprawą przemytu ikon?

Czy wydał mi się podejrzany już wówczas, gdy z taką ogromną łatwością, w ciągu kilku chwil, wyjaśnił zagadkę połówki talizmanu? A jeszcze wcześniej — chlubił się pragnieniem należenia do towarzystwa „Mensa” i pokazał nam test na inteligencję?

Wyznaję, że nie wzbudził wtedy mej nieufności. Albowiem, w odróżnieniu od panny Helenki, nie czytałem artykułu w „Sternie”. Nie należę także do zarozumiałców i znam wielu ludzi inteligentniejszych i zdolniejszych ode mnie. Dlatego miałem prawo sądzić, że takim człowiekiem jest również Skwarek. Jeśli, nawet czułem do niego niechęć, to tępiłem ją w sobie, mniemając, że dyktuje mi ją zazdrość, był bowiem przystojniejszy ode mnie i zyskiwał względy pięknej panny Helenki.

I dopiero, gdy zginęła z sarkofagu Löwego niebieska kartka Zdenka Blachy i na wyznaczonym przez Blachę miejscu oraz w tym samym terminie zjawił się Smith, zacząłem powoli rewidować swój stosunek do Skwarka. Wszystko bowiem wskazywało na to, że

Blacha pisał do Roberta, którego znał i z którym się już kilkakrotnie spotykał. Smith nie mógł być Robertem, bo przyszedł na spotkanie ze znakiem rozpoznawczym, a Blacha zjawił się w przebraniu, aby wtrynić mu falsyfikat talizmanu. Innymi słowy: Robert pragnął, abyśmy sądzili, że Smith jest Robertem. A skoro tak — to znaczyło, że Robert wiedział o odkryciu przez nas listu i „skrzynki kontaktowej”.

W jaki sposób Robert mógł uzyskać podobną informację? W chwili, gdy wraz z Ludmiłą czytałem list, nikogo na cmentarzu nie było. Znacznie później przyszła na cmentarz panna Helenka, a z nią Skwarek, grupa włoskich turystów i wreszcie pan Smith. Nagle odkryliśmy zniknięcie listu. I tylko okrzyk Ludmiły mógł zdradzić naszą znajomość treści niebieskiej kartki.

Kto słyszał ten okrzyk? Helenka, Skwarek, Smith. Pannę Helenkę wyeliminowałem natychmiast, później ze strefy podejrzeń odsunąłem i Smitha. Pozostał więc jedynie Skwarek.

On chyba również zdawał sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo naraził się zabierając list niemal na naszych oczach. Zrozumiał, że wiemy o liście i prawdopodobnie znamy jego treść. Cóż mógł zrobić w tej sytuacji? Uprzedzić Blachę i odwołać termin spotkania na Hradczanach? Albo nie przyjść na to spotkanie? Ależ właśnie to mogłoby obudzić nasze podejrzania, że Robert dowiedział się, że my znamy treść listu, a w grę wchodzi tylko dwie osoby: on i Smith. Odwiedził więc Blachę, odwołał z nim swoje spotkanie, a w tym samym miejscu i czasie kazał mu się spotkać z panem Smithem. Chodziło o to, aby rzucić podejrzania wyłącznie na Smitha. Nie przypuszczał, że po kupnie falsyfikat Smith przyjdzie na Paryską i opowie nam o swej przygodzie.

Pora też teraz wyznać szczerze: nie istniał żaden gang przemytników. Działała tylko jedna osoba — magister Franciszek Skwarek. A ściślej — żaden magister i w ogóle żaden historyk. Skwarek miał tylko średnie wykształcenie i przez lat kilka pracował jako zaopatrzeniowiec w jednej z warszawskich spółdzielni budowlanych. On też nie od razu stał się przemytnikiem. Nikt bowiem nie rodzi się przestępcą.

Przed trzema laty Franciszek Skwarek wyjechał do swej ciotki, która w Wiedniu pracowała jako służąca w domu państwa Smithów, właścicieli wielkiego sklepu jubilerskiego. Od niej dowiedział się Skwarek o dziwactwach jej pani, która wraz z mężem należała do Bractwa Różokrzyżowców. Od swej ciotki usłyszał również Skwarek o kłopotach, jakie miał pan Smith w związku z ambicjami swej żony. I Franciszek Skwarek postanowił mu pomóc. Oczywiście nie za darmo.

Przeczytał kilka książek o różokrzyżowcach, zaopatrzył się w Wiedniu w licznie wydawane tam broszurki na tematy okultystyczne. Był inteligentny, to trzeba przyznać. Wkrótce napisał dla pana Smitha pracę zatytułowaną: „Przyczynek do działalności różokrzyżowców, czyli o Edwardzie Kelleyu i Johnie Dee oraz ich kryształowym zwierciadle”. Praca ta ukazała się drukiem pod nazwiskiem Smitha w formacie „in quarto”. Niestety, nawet dzięki niej Smith nie uzyskał żadnej godności w Bractwie Różokrzyżowców. Natomiast Skwarek otrzymał od Smitha honorarium, za które kupił sobie honde.

Po powrocie do Polski pewnego dnia Skwarek przeczytał w gazecie wywiad z panem Sekundusem. W wywiadzie tym wspomniano o posiadanym przez Sekundusa białym krukem, książce Dawida Katza „O właściwościach szlachetnych kamieni”.

I nagle zrodził się w głowie Skwarka wspaniały — w jego mniemaniu — pomysł, który pozwoliłby znowu wyciągnąć od Smitha trochę pieniędzy.

Zdobyć taką książkę, zawieźć ją Smithowi i zaproponować, aby przystąpił do sprzedaży klejnotów odpowiednio dobranych do astrologicznego horoskopu klienta. Smith na tym zarobi i wynagrodzi autora pomysłu.

Ale jak zdobyć książkę Dawida Katza? Kupić od Sekundusa — nonsens, przecież jej nie sprzeda. Pozostawała więc tylko jedna droga: kradzież.

Skwarek pojechał swoją hondą do Zagórza, odwiedził domek Sekundusa, zorientował się, gdzie leży książka. Doszedł do wniosku, że mieszkanie Sekundusa jest słabo zabezpieczone i kradzież pójdzie mu łatwo, co też się zresztą stało. Zanim jednak tego dokonał, przez kilka dni, dla lepszego zorientowania się w sytuacji, krążył po szosach bieszczadzkich, aby stworzyć sobie alibi, że był tu jedynie w charakterze turysty. W ten sposób trafił do Cisnej, do kiosku niejakiego Gnata.

Franciszka Gnata, który do kiosku w Cisnej jeździł na nędznej wuefemce, zachwyliła honda Skwarka. No cóż, demon motoryzacji drzemie niemal w każdym młodym człowieku. „Panie — powiedział do Skwarka — mam dla pana coś fajnego, ikonę, którą kupiłem od jednego znajomka. Mogę się panu postarać jeszcze o kilka ikon, a pan mi da tę hondę.”

I tak się stało. Do Wiednia wyjechał Skwarek już bez hondy, ale za to ze skradzionym dziełem Katza oraz z przemyconą ikoną, którą następnie sprzedał z dużym zyskiem.

Sporą sumkę otrzymał także Skwarek za skradzioną książkę Dawida Katza. Niestety, pomysł Skwarka ze sprzedażą klejnotów dobranych do horoskopu klienta jakoś nie chwycił i Smith nie dał Skwarkowi żadnego honorarium. A Skwarek miał duży apetyt — kupił sobie w Wiedniu polskiego fiata, zamierzał zdobyć większą sumę pieniędzy i zająć się w przyszłości poważniejszymi interesami.

Od tego momentu dwukrotnie udało mu się przemycić do Wiednia — kupione od obydwu młodych Gnatów — stare ikony. Albowiem i u nich budziły się coraz większe apetyty. Jeden z braci miał już hondę, chciał mieć hondę i drugi brat.

Nie będę opisywał szczegółowo, w jaki sposób potrafił Skwarek przemycać ikony. Jeden sposób opisałem — ostrzegam, że jest nieaktualny, celnicy doskonale o nim wiedzą. Wróćmy więc do naszej sprawy.

Czas mijał, źródło nabywania ikon — wyschło. Franek Gnat powiadomił Skwarka, że dalszych ikon nie udało mu się nigdzie kupić. A Skwarek przyzwyczaił się już do posiadania dużej gotówki, do wystawnego trybu życia. Myśl więc jego powróciła znowu do osoby pana Smitha. Powróciła, gdy Skwarek pojechał do Wiednia, wioząc ostatnią kupioną ikonę. W Pradze, prawdopodobnie z nudów, odwiedził Złotą Uliczkę, a pamiętając o swej „pracy naukowej” o Kelleyu i Dee, zainteresował się pracownią alchemiczną urządzoną w jednym z tamtejszych malowniczych i uroczych domków. Uwagę jego przykuła połówka talizmanu Kelleya.

Nie posiadał Skwarek wybitnej inteligencji. Ale przecież sprytny był, nie da się temu zaprzeczyć. Smith kazał przetłumaczyć książkę Katza na niemiecki, Skwarek poznał

dokładnie jej treść. Znał wynurzenia Katza związane z dwiema połówkami talizmanu i „stołem przymierza”.

Ukryty skarb? Nie, takie sprawy nie interesowały Skwarka. Ale zastanowił się, ile też mógłby mu ofiarować pan Smith za połówkę talizmanu Kelleya — prawdziwą relikwię różokrzyżowców. Jeśli obecny prezes Bractwa Różokrzyżowców zdobył tę godność dzięki usiłowaniu kradzieży słynnej „kryształowej tarczy” z British Museum, to może pan Smith otrzyma godność sekretarza, gdy zdobędzie talizman Kelleya z muzeum na Złotej Uliczce w Pradze? Rzecz jasna, nie musi tego dokonywać osobiście. On, Skwarek, już to za niego załatwi, też zresztą nie osobiście.

Pozostał Skwarek w Pradze i wysłał list do pana Smitha. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Zdobądź talizman”. Potem Smith wyjechał do Pragi, aby wyglądało, że to on dokonał włamania, czyli poświęcił się dla dobra różokrzyżowców.

Skwarek nie miał pieniędzy na pobyt w Pradze i opłacenie włamywacza, którego znalazł w osobie Zdenka Blachy. Sprzedał więc ikonę. Blacha włamał się do muzeum, został złapany, talizman pozostał w muzeum, pan Smith był w drodze do Pragi.

Co pozostało Skwarkowi? Zainteresować się przystojną kustoszka muzeum w Złotej Uliczce. Dzięki niej obejrzał talizman Kelleya, odrysował go i kazał Blasze zrobić falsyfikat, który zamierzał wtrzyknąć Smithowi.

Tak się przedstawiała sytuacja, gdy oto ja zjawiłem się w Pradze, powiadomiony przez pana Dohnalę o sprzedaży ikony w sklepie na Vaclavskim Namiesti.

Dalszy ciąg już znacie, prawda?

Ale pewne szczegóły wymagają wyjaśnienia.

Gdy Skwarek odjechał z ostatnią ikoną, Gnatom zrobiło się żal, że już więcej nic u niego nie zarobią. I skoro nie mogli kupić następnych ikon, zdecydowali włamać się do Sekundusa. Być może, zachęcił ich do tego i Skwarek, skoro pozostawił im swój adres w Pradze, oczekując na wiadomość od nich.

Zaszyfrowana wiadomość nadeszła. I wtedy Skwarek, który nie miał już co przemycić do Wiednia, albowiem ikonę sprzedał w Pradze, zainicjował wyprawę do Leska. Panna Helenka i Smith mieli tam pojechać po drugą połówkę talizmanu, on, Skwarek — po skradzione ikony. Zapewne jeszcze w Pradze zrodził się w głowie Skwarka pomysł, w jaki sposób przemycić ikonę przez polską granicę, a mianowicie w podarunku dla panny Helenki. Nawet mu chyba przez myśl nie przeszło, że przemyci ikonę ktoś jeszcze inny, ktoś zupełnie poza podejrzeniami, czyli właśnie ja.

Była też i druga przyczyna wyjazdu do Leska. Wykonano w Pardubicach dwie połówki talizmanu. Jedną kupił Smith w Pradze, drugą należało mu sprzedać w Lesku. Skwarek wciąż rozmyślał o pieniądzach jubilera.

Na tym tle zrozumiała staje się historia u Pókijańca. Śledztwo w tej sprawie nie zostało jeszcze zakończone, nie mam żadnych danych, aby twierdzić, że Pókijaniec brał udział we

włamaniu do domku Sekundusa i kradzieży ikon. Prawdopodobnie został przez Skwarka zaangażowany tylko raz i przypadkowo.

Skwarek wiedział, że nauczony praskim doświadczeniem pan Smith nie da się tak łatwo nakłonić do kupna drugiej połówki talizmanu, w obawie przed oszustwem. Należało więc u Smitha stworzyć przekonanie, że druga połówka jest oryginalna. I to właśnie my: panna Helenka, ja, pan Dohnal i Marczak — mieliśmy dać Smithowi tę pewność oglądając pobieżnie talizman w chałupie Pókijańca. Za inscenizację sceny odnalezienia talizmanu w skrzynce z rupieciami Pókijańcowi obiecano pokazać sumę. Z czyich pieniędzy? Oczywiście Smitha.

Z pomocą ukrytych w sieni braci Gnatów tak wyreżyserowano tę scenę, że gdyby ktokolwiek z nas zechciał dokładniej obejrzeć talizman, światło miało zgasnąć, a talizman zniknąć.

Kto go schował? Oczywiście sam Pókijaniec. Nie było, moi drodzy, żadnej kradzieży. W ciemnościach nikt nie wszedł do chałupy i nie zabrał ze stołu talizmanu. Gnatowie zapalili znowu światło i uciekli. Zdemaskował ich Protazy, ale jak wicie, nie przeszkodziło to potem jednemu z Gnatów wyłudzić od Smitha aż sto dolarów. Albowiem, jak to on sam wyznał, był dzięki nam przekonany, że kupuje oryginalną połówkę.

Cóż jeszcze dodać? Aha, drugą ikonę skradzioną Sekundusowi znalazła milicja na stryżku nad chlewem w zagrodzie Gnatów. Siedząc tam mieliśmy ją niemal na odległość ręki. Ale kto mógł o tym wiedzieć?

Teraz, gdy znacie już całą historię, przyznacie chyba, że dobrze kojarzyłem ze sobą fakty, wciąż dreptałem po właściwym tropie, wiążąc ze sobą z pozoru tak odległe sprawy, jak przemyt ikon, kradzież książki Katza z Zagórza i włamanie do muzeum na Złotej Uliczce. Trzeba jednak stwierdzić, że miałem do czynienia z niezwykle sprytnym przeciwnikiem. Podejrzewając go, jednocześnie nie miałem przeciw niemu żadnych dowodów. Zastanawiam się nawet, co by było, gdyby panna Helenka nie odkryła ikony w darowanym jej przez Skwarka drewnianym ołtarzyku?

Myślę, że wówczas cały ten węzeł musiałby zostać rozplątany od strony braci Gnatów. Fakt, że to oni skupywali ikony przemycane potem za granicę, wystarczyłoby do aresztowania i rewizji. A rewizja odkryłaby w zagrodzie Gnatów drugą ze skradzionych ikon. Wobec tego dowodu bracia zapewne przyznaliby się do winy, nie oszczędzając Skwarka. Tylko że Skwarek być może zdołałby zabrać od Dohnalów ukrytą w ołtarzyku ikonę i kto wie, czy nie siedziałby już z nią w Wiedniu, oferując ją na aukcji dzieł sztuki.

— Zawdzięczam pani bardzo wiele — oświadczyłem pannie Helence podczas naszego pożegnania w Pradze. — Zdemaskowanie Skwarka i schwytanie go w pani mieszkaniu to był prawdziwy majstersztyk, który zaskoczył nawet mnie, przywykłego do przeróżnych niespodzianek. Niech mi pani powie, panno Helenko, od kiedy wiedziała pani, że w drewnianym ołtarzyku kryje się skradziona ikona?

— Domyśliłam się tego na granicy. Pamięta pan, że wtedy roześmiałam się, bo przyszła mi do głowy myśl, że gdybym to ja była przemytnikiem ikon, właśnie w pańskim wehikule dokonałabym przemytu. Pamiętałam również o ołtarzyku, który wiozłam w walizce. Gdy mi go Skwarek darował, nawet go nie oglądałam dokładnie, bo wydał mi się brzydki. Ale nie wypadało go nie przyjąć.

Pokiwałem głową ze szczerym ubolewaniem:

— Nie da się ukryć, że to właśnie ja przemyciłem skradzioną ikonę. Ołtarzyk mi się nie podobał, dlatego podobnie jak pani nie przyjrzałem mu się dokładnie. Myślę, że i to przewidywał Skwarek. Gdyby ofiarował pani jakiś piękny przedmiot, oglądalibyśmy go z uwagą i sztuczka z ukryciem ikony być może nie udałaby się tak łatwo... No cóż, schwytała pani sprawcę przemytu ikon, a był to cel mego przyjazdu do Pragi.

Panna Helenka uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— Pan odkrył skarb Katza i Kelleya, a powinnam to ja była zrobić. Natomiast ja pomogłam panu w zdemaskowaniu przemytnika. Powiedziałam, że nie wyjedzie pan z Pragi z pustymi rękami. Jesteśmy kwita, prawda?

— Tak — przyznałem całując dłoń panny Helenki, czego bardzo nie lubiła ta zwolenniczka ruchu wyzwolenia kobiet.

Nie wyrwała mi jednak swojej dłoni. Ośmielony więc, jeszcze raz ucałowałem ją. A potem zapytałem z nadzieją w głosie:

— Czyżby coś się w pani zmieniło? Przystaje pani walczyć o prawdziwe wyzwolenie kobiet?

Zmrużyła filuternie jedno oko.

— Czy naprawdę w naszych krajach, panie Tomaszu, kobiety żyją aż w takiej niewoli mężczyzn?

Po tych słowach nabrałem w piersi potężny haust powietrza i odważyłem się powiedzieć:

— Zapraszam panią do Polski na prawdziwy urlop. W sierpniu nad morze. Będziemy się kąpać, opalać i dyskutować o ruchu wyzwolenia kobiet.

Popatrzyła mi w oczy.

— Do sierpnia jeszcze pozostało trochę czasu. Kto wie, czy nie przyjmę pana propozycji...

Tak skończyła się moja przygoda w Pradze. Pożegnałem Smitha, który z informacjami o kamieniach szlacheckich do „stołu przymierza” wyjechał do Wiednia i być może w tej chwili, jako sekretarz Bractwa Różokrzyżowców, wraz z żoną swoją, Emmą, zajmuje się wywoływaniem zjaw. Ucałowałem serdecznie Ludmiłę i uściskałem pana Dohnala. Nigdy nie zapomnę ich gościnności.

W Warszawie, w skrzynce pocztowej znalazłem list z Indii od doktora W.

Wielce Szanowny Panie Tomaszu!

Bardzo się cieszę, że jednak przyjął Pan Prota. To miły piesek i na pewno zyska Pan w nim oddanego i wiernego przyjaciela. Żałuję, że nie spotkaliśmy się przed moim wyjazdem,

dlatego dopiero teraz mogę Pana poinformować, że Protazy został wychowany i wytresowany przez znanego tresera zwierząt, który zmarł na skutek wypadku samochodowego. Potrafi świetnie walczyć z innymi zwierzętami oraz mógłby chyba oddać ogromne usługi jako pies śledczy lub obronny. Przez rok — ma dopiero trzy lata — zachwycał ludzi niezwykle pokazami na arenach, wystarczy mu dać byle jaką rzecz, a odnajdzie jej właściciela, choćby w największym tłumie. Zresztą zna dziesiątki przeróżnych sztuk i sztuczek, nawet ja nie wiem o wszystkich jego umiejętnościach, ale Pan zapewne zdoła je odkryć w codziennym z nim obcowaniu. Życzę Panu wiele radości z Prota, ściskam serdecznie

W.

Protazy leżał na tapczanie i ziewał głośno.

— Toś ty taki, piesku... — mruknąłem patrząc na niego z nowym zainteresowaniem.

Raptem Protazy zastrzygł uszami i cichutko warknął. A zaraz potem usłyszałem dzwonek u drzwi.

Po chwili w mym mieszkaniu zjawił się bardzo dziwny jegomość, który opowiedział mi bardzo dziwną historię...

1 Teozofia — (Teo — bóg, sophia — mądrość) poglądy filozoficzno-religijne, uznające możliwość bezpośredniego kontaktu człowieka z Bogiem, nawiązujące do wierzeń Wschodu.

2 Okultyzm — wiedza tajemna, dostępna rzekomo tylko wtajemniczonym. Dotyczy ona zjawisk takich, jak: jasnowidztwo, telepatia, obcowanie z duchami i istotami pozaziemskimi.

3 Kabała — po hebrajsku znaczy „tradycja” (nauka otrzymana od przodków). W judaizmie do V wieku oznaczała zbiór norm postępowania, przekazanych przez ustną tradycję. W średniowieczu rozwinęła się w system filozoficzny, zajmujący się rozważaniami nad istotą Boga i jego działania. Podstawowym dziełem kabały jest książka wiedzy tajemnej tzw. „Zohar”. Zawarte w niej elementy magii i symbolizmu czynią z niej dzieło wieloznaczne, nieczytelne i niezrozumiałe.

4 Księga Henocha — wg Starego Testamentu patriarcha Henoch po 365 latach bogobojnego życia został żywcem wzięty do nieba. Pozostawił rzekomo księgę, pełną mistycznych przepowiedni i wizji. Prawdopodobnie jednak tzw. „Księga Henocha” została spreparowana w II wieku naszej ery.

5 Z przekładu francuskiego Carppe'a — przekład polski Juliana Świącickiego.

6 Stonenenge — miejscowość w pld. Anglii. Istnieje tam ogromna konstrukcja kamienna, składająca się z kilku kręgów głazów o wysokości do 4 m. Zbudowano ją prawdopodobnie 1900 lat przed naszą erą, przypuszczalnie była miejscem kultu słońca.

7 Na starym żydowskim cmentarzu w Pradze znajduje się także jeszcze inny grobowiec z symbolicznie przedstawionym imieniem „Ewa”. Należy on do żony Gabriela Arona Haklicha, zm. w 1667 r.